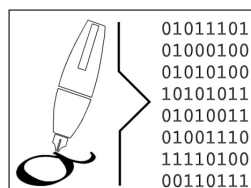


John Morressy

Kedrigern i wilkołaki

Przełożyła: Joanna Kłaput



Data wydania oryginalnego, rok 1990

Data wydania polskiego, rok 1998

...O, któż zdoła zamknąć w słowa ukrytą moc ziół i magicznych zaklęć siłę?

SPENSER

1. Nocleg w opactwie

Nieprzeniknione ciemności zapadły szybko, posępnie kończąc ohydny zimowy dzień. Okrągłą tarczę księżycy zakryły ciężkie chmury. Z nieba coś się nieustająco sączyło — ni to deszcz, ni to śnieg. Niewielki konik, ze smętnie spuszczonego łbem, powoli włókł się leśną drogą, grzęznąc co krok w błotnej brei, lecz szczęśliwie unikając upadków. Kedrigern strząsnął grudki błota z płaszcza, naciągnął mocniej kaptur i pograżył się w ponurych rozmyślaniach: był sam, na zmęczonym koniu, w środku zimy, z dala od domu i ukochanej Księżniczki.

Jako czarnoksiężnik miał powody do satysfakcji. Zdjął niezwykle zawiłą klątwę z miłego młodego króla i otrzymał za to godziwą zapłatę. Ale byłby nieporównanie szczęśliwszy, praktykując bliżej domu, i to w piękny czerwcowy dzień. Ludzie z małych, odległych królestw mieli doprawdy talent do ulegania czarom o najgorszej porze roku...

Lato i jesień — czas suchych dróg, błękitnego nieba i łagodnego wiatru minęły spokojnie, lecz gdy tylko pojawiły się pierwsze chłody, śniegi i wczesne zmierzchy, co najmniej dwunastu zdyszanych posłańców przybyło z rozpaczliwym błaganiem o natychmiastową pomoc dla swoich chlebobawców, którzy padli ofiarą czarów. A pomoc ta zawsze wymagała obecności czarnoksiężnika. Co gorsza, wszyscy ci nieszczęśnicy mieszkali daleko od siebie, z dala od wszystkich i wszystkiego — w zapadłych dziurach, do których trudno było trafić.

Lecz teraz wszystko to miał już za sobą i wracał właśnie do domu na Górze Cichego Gromu, Tylko chęć powrotu do Księżniczki mogła zmusić Kedrigerna do podróży w taką noc. Chociaż jako człowiek rozsądny powinien był zrobić wszystko, aby w ogóle nie wyjeżdżać. Nie musiałby teraz wracać. Tak, tak — najlepiej wcale nie ruszać się z domu. Chyba że chodzi o przyjaciela w potrzebie lub o bardzo poważne czary, którym nikt nie może sprostać, lub o ogromne wynagrodzenie. Lub jak w tym przypadku — o wszystkie te trzy rzeczy razem wzięte.

Nagły podmuch wiatru sypnął mu w twarz zimnymi kroplami. Gdzieś z lewej strony z głębi lasu dobiegło żalosne wycie. Porzucony pies, może wilk, w każdym razie wygnaniec; istota bezdomna, jak on sam w tej chwili. Kedrigern rozczulił się nad sobą — on

też był skazany na przemierzanie nocą ciemnych, wilgotnych lasów, z dala od miłego towarzystwa i ciepłego ognia.

Właśnie zastanawiał się, czyby się nie zatrzymać i nie wyczarować trochę światła i ciepła, kiedy poprzez splątane konary, w oddali spostrzegł światełko. Popędził konia i zobaczył jeszcze jedno światełko, i jeszcze jedno, jakby wioskę na zboczu góry. Zaniepokoił się. Wiedział, że przy tej drodze nie ma wiosek. Zaczął przywoływać w pamięci po kolei wszystkie punkty orientacyjne, które precyzyjnie opisał król Comerance — rozszczepiony górski szczyt, podwójny wodospad, rząd starych dębów strzegących drogi niczym sękaci wojownicy, aż wreszcie odgadł, gdzie się znajduje i skąd pochodzą światła. Odetchnął z ulgą. Dziś wieczorem dobrze się naje i wyśpi porządnie, pod dachem i wygodnie, w opactwie na szczycie góry.

Kedrigern nie miał zwyczaju nosić się jak czarnoksiężnik. Jego koledzy chlubili się srebrzystymi brodami do pasa i kaskadami białych loków, paradowali w czarnych szatach przystrojonych błyszczącymi kabalistycznymi symbolami. Ich oczy miały błyskawice spod nastroszonych brwi, a głosy grzmiały jak wezwanie na sąd ostateczny. To nie dla niego. Chociaż był czarnoksiężnikiem, i to dobrym, lekceważył konwenanse w tym względzie. Nosił proste samodziiałowe ubranie i wygodne, stare buty; co parę dni się golił. Nie lubił zwracać na siebie uwagi. Wyglądał raczej jak dobrze prosperujący aptekarz lub złotnik, niż jak czarnoksiężnik o wspaniałej reputacji. Tej właśnie nocy, przemoczony, głodny i zmarznięty, tak daleko od domu, cieszył się ze swojego wyglądu. Wiedział bowiem, że nawet najbardziej uprzejmi i szczodroblivi mnisi nie zaofiarowaliby gościny czarnoksiężnikowi.

Mimo uprzedzenia mnichów wobec magii żywił dla nich wiele szacunku. Byli mądrzy. Nie marnotrawili czasu na wędrówki. Kiedy znajdowali właściwe miejsce, osiadali tam i czynili wiele dobrego, ciężko pracując. To, że nie witali czarnoksiężników z otwartymi ramionami, też łatwo było zrozumieć. Kedrigern sam miał kilku kolegów po fachu, z którymi przebywanie pod wspólnym dachem niejednokrotnie wystawiło jego cierpliwość na próbę.

Mnisi z opactwa na górze byli wyjątkowo tajemniczym zgromadzeniem, ale to nie budziło niepokoju czarnoksiężnika. Uważali, że ludzie, którzy odwrócili się plecami do świata, mieli prawo — nie, nawet obowiązek — milczeć na swój temat. W przeciwnym razie pobudziliby tylko języki i dali pożywkę plotkom. A plotki zawsze są głupie i złośliwe. Tu Kedrigern wspomniał kilka zasłyszanych plotek o czarnoksiężnikach i aż parsknął ironicznym śmiechem. Bzdury, steki bzdur — nie należy się nimi przejmować.

Historie opowiadane o opactwie były tak mgliste i sprzeczne ze sobą, że żadna rozsądna osoba nie powinna im dawać wiary. Nikt nie miał pewności, jaka jest misja zakonu ani w jaki sposób i dlaczego mnisi ją wypełniają, toteż ludzie puszczali wodze nieokiełznanej fantazji. Krążyła legenda o wielkiej budowli, w której przechowywano

kopie ksiąg z całego świata. Prawdopodobnie mnisi rzeczywiście mieli bibliotekę, i to bardzo dobrze wyposażoną — ale wszystkie księgi świata? To oczywisty absurd. Co najmniej połowa ksiąg świata opisywała rzeczy o których mnisi nie życzyliby sobie czytać. A gdyby nawet sobie zażyczyli z jakiejś niepojętej przyczyny, wcale nie potrzebowaliby wielkiej wieży na ich zgromadzenie. Kedrigern sądził, że nawet w swoim domu mógłby pomieścić kopie wszystkich ksiąg znanych ludzkości, a jeszcze zostałyby dość miejsca na półkach na pamiątki i bibeloty.

Na myśl o przytulnym, odległym domu westchnął ciężko. Tam chciałby być... niestety, znajdował się tutaj, a jedynym pobliskim schronieniem było opactwo. Im wcześniej tam dotrze, tym lepiej.

W opactwie zawsze mile widzianym gościem był adept nauk, a w szczególności poważny, uczony mąż dojrzały wiekiem. Kedrigern w pewnej mierze był badaczem (aczkolwiek studiującym zjawiska, na które w klasztornych murach patrzono z dezaprobatą), toteż postanowił tak się przedstawić. Nie chciał nikogo zwodzić; przeciwnie — miał szczerzy zamiar zbadać tajemnice biblioteki oraz pracy mnichów. Wzmianki, które dosięgły jego uszu, choć zapewne mocno ubarwione, pobudzały ciekawość. Był więc wdzięczny losowi za zesłanie mu jednocześnie schronienia i możliwości zdobycia wiedzy. Ruszył dziarsko ku klasztorowi, zadowolony z nadarzającej się sposobności.

Ponownie dobiegło go wycie z lasu, tym razem z mniejszej odległości. Przypominało bardziej wycie wilka niż psa. Czarnoksiężnik spał konia. Współczuł każdej samotnej i bezdomnej istocie, ale nieroztropnie byłoby dać dowód sympatii wilkowi, podając mu siebie na kolację. Jego koń był, oczywiście, tego samego zdania.

* * *

Furtian — olbrzymi mnich o bladej cerze — przywitał Kedrigerna z wielką serdecznością. Parobek stajenny zajął się koniem czarnoksiężnika, a furtian zabrał przemoczoną derkę i utykając poprowadził Kedrigerna do kuchni, aby go przekazać pod opiekę bratu piwniczemu. W drodze cały czas wyrażał ubolewanie z powodu złej pogody, jak gdyby sam był jej sprawcą.

Brat piwniczny, okrągły i siwy jak gołąbek, żwawy i o bystrym spojrzeniu, wziął ociekającą wodą płaszcz gościa. Głośno użalając się nad przybyszem, powiódł go do ławy przed kominkiem. Kiedy Kedrigern ściągał buty, inny mnich położył przed nim na stole bochen chleba i postawił dzban ciepłego mleka.

— Wdzięczny jestem wielce za gościnę — dziękował Kedrigern, rozcierając żywo dłonie i wyciągając je do ognia.

Rozpromieniony zakonnik odparł:

— Czyż Capitularia Regum Francorum* nie poucza nas, że każdego pielgrzyma na-

*Capitularia Regum Francorum (łac.) — ustawy królewskie za panowania Karolingów w państwie frankijskim, dotyczące zarówno spraw świeckich, jak i kościelnych. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza)

leży przyjąć pod dach, napoić wodą i nakarmić chlebem?

— To ciepłe mleko jest mi dziś miłsze od najlepszej wody.

— O tak — zgodził się piwniczny, a jego uśmiech znikł na chwilę. — Nasza woda jest... nie jest zdrowa dzisiaj. Nie. Ale mleko tak, zapewniam, i chleb też jest dobry i pożywny — skrzywił się, jakby niechcący powiedział coś przykrego, więc Kedrigern pośpieszył go uspokoić:

— Na pewno będą mi smakowały. Pachną zachęcająco.

— Podamy jeszcze wędzone mięsiwa — oznajmił piwniczny, odzyskując dobry nastrój.

— Wspaniale. Jeszcze raz dziękuję. Lecz nie jestem pielgrzymem, zaledwie podróżnym.

— Czyż wszyscy w pewnym sensie nie jesteśmy pielgrzymami?

— Cóż, chyba tak. Można tak to ująć — przyznał czarnoksiężnik, nie spuszczać oczu z jadła.

— Zostawię was teraz, panie, i zajrzę do waszej izby sypialnej. Spożywajcie w spokoju. — Zakonnik wycofał się ku drzwiom.

Chleb był pachnący i chrupki, a mleko tłuste jak śmietana. Kedrigern jadł i pił, pomrukując z zadowolenia i wyciągając ręce i nogi w stronę ognia. Piwniczny pojawił się znów na mgnienie, by porwać dzban. Wrócił po chwili z kawałkiem ciemnozłocistego sera i dzbanem napełnionym po brzegi.

— Człowiek musi się porządnie najeść w taką noc jak dziś — zauważył, a Kedrigern przytaknął. Mnich przyglądał mu się z nieomal rodzicielskim rozczuleniem. — Zamierzałem przynieść wam jeszcze wędzone mięsiwo, ale nasze zapasy... się zepsuły — uśmiechnął się z przymusem.

Czarnoksiężnik odgryzł kawałek sera i aż przymknął oczy z lubością.

— Dziękuję za mięso. Wystarczy mi ser. Wyśmienity.

— Jesteście uprzejmi, panie. Nasza woda słynęła z czystości, a wędzone mięsiwa z wyborczego smaku, lecz dziś... my... ostatnio opactwo prześladowa nieszczęścia.

Mnich był tak zakłopotany, że Kedrigern zapragnął go pocieszyć.

— Jeśli to nawet pech, nie dotknął mleczarni ani piekarni — zapewnił szczerze.

— Powinszować, tobie w szczególności, bracie piwniczny.

Tyleż zadowolony, co skonfundowany zakonnik przemilczał pochwałę. Skierował rozmowę na sprawy gościa, pytając, skąd przybywa i od jak dawna podróżuje.

— Odwiedziłem króla Comerance'a z Białego Lasu. Opuściłem jego królestwo przed ośmioma dniami. Jak dobrze znaleźć się znów pod dachem po tylu dniach podróży.

— Nie było żadnej gospody po drodze?

— I owszem, kilkanaście.

— A wy się nie zatrzymaliście?

— Czyż roztropny człowiek dobrowolnie oddaje się w ręce złodziei i oprawców?
Zakonnik roześmiał się w głos i przysiadł na ławie obok gościa.

— Dochodziły mnie ponure słuchy o gospodarach w tej części świata.

— Jeśli ponure, na pewno były prawdziwe — potwierdził czarnoksiężnik, nie wdając się w szczegóły.

Mnich roześmiał się znowu i trącił go łokciem w żebro.

— Słyszałem, że w zajeździe Zammastera mięso cuchnie, a jadło aż świeci w ciemności. Łoża są plugawe i pełne pcheł wielkich jak myszy. Myszy są jak szczury. A szczury jak... jak... — zająknął się, szukając odpowiedniego porównania.

— Jak gospodarze — dokończył za niego Kedrigern. — Czasem nie sposób ich różnić.

Zaśmiali się porozumiewawczo niczym dwaj spiskowcy. Wśród tej wesołości czarnoksiężnik ziewnął ukradkiem, co poderwało uczynnego mnicha na równe nogi.

— Ależ jestem bezmyślny! Żeby tak mleć jęzorem, podczas gdy wy padacie z nóg ze zmęczenia! Pozwólcie ze mną, panie, odprowadzę was na spoczynek.

* * *

Izba sypialna była mała i przytulna. Mieściła się na najwyższej kondygnacji. Za oknem ciemniały lasy. Mnisi, choć sami podlegali surowym regułom, gościom nie szczędzili wygód. Łoże było czyste, materac miękki, a koc gruby i ciepły. Znużony wędrowiec nie mógł życzyć sobie więcej.

Kedrigern zasnął natychmiast, ledwie zdążywszy szczelnie owinąć się kocem. W nocy na krótko obudziło go wycie wilka. Dochodziło gdzieś z bliska, jakby zza ściany. Zamroczony snem czarnoksiężnik wyobraził sobie, że biedne zwierzę przyszło tu za nim i błaga o schronienie. Lecz wycie umilkło, a on ponownie zapadł w głęboki sen i obudził się dopiero na jutrznię. Właśnie kończył wkładać buty, kiedy w drzwiach pojawił się szczupły mnich.

Był prawie o głowę wyższy od Kedrigerna, lecz niezwykle wychudzony. Miał wymizerowaną twarz, zapadnięte oczy, kościsty nos ostry jak haczyk. Czerstwa cera, jak u osoby stale pracującej na powietrzu, kłóciła się z bielą wypielegnowanej dłoni, którą podał na powitanie.

— Jestem opat Rectoverso — przedstawił się głosem poważnym i głębokim.
— Witam.

— Winny jestem podziękowania, ojcze opacie, za miłą gościnę, która mnie tu spotyka.

— Duodecimo z Arduy, piwniczny, mówi, że byliście na dworze króla Comerance'a. Nasz poprzedni gość opowiadał, że zły czarnoksiężnik rzucił urok na Comerance'a. Czy to prawda?

— Kiedy wyjeżdżałem, urok ten nie dręczył już dobrego króla — wyjaśnił Kedrigern dyplomatycznie, uśmiechając się pod nosem.

— Przynosisz więc dobre wieści. To cenne, szczególnie dzisiaj. Powiedz, drogi gościu, jak się nazywasz? Skąd pochodzisz?

— Jestem Siger z Trondhjem, badacz i podróżnik — obwieścił czarnoksiężnik, podając imię, którym posługiwał się od czasu do czasu.

— A zatem przybywasz z daleka. To dla nas nie nowina, miewamy tu gości z odległych stron. Także wielu spośród naszych zakonników pochodzi z różnych zakątków Europy.

— Zauważyłem to — potwierdził Kedrigern. — Tworzycie niezwykłą wspólnotę. Na przykład wasz piwniczy jest Flamandem, który pobierał nauki w Paryżu. Szczerzej natury człowiek. Choć sam z prostej rodziny, spędził młodość wśród wysoko urodzonych.

— Wiele się dowiedziałeś o Duodecimie w tak krótkim czasie. Dotąd nie słyszałem, by opowiadał obcym o swojej przeszłości — zauważył opat, utkwivszy baczne spojrzenie w czarnoksiężnika.

Kedrigern wzruszył ramionami.

— Nie rozmawialiśmy o przeszłości. Obserwowałem tylko jego zachowanie i słuchałem mowy. Powiedziały mi o nim więcej niż on sam.

— Jesteś niezwykle spostrzegawczy — stwierdził opat. — Powiedz więc, do jakich wniosków doszedłeś po rozmowie z furtianem?

W ustach opata niewinne na pozór pytanie zabrzmiało złowieszczo. Niezwykła powierzchowność tego człowieka sprawiała, że każde wypowiedane przezeń słowo nabierało szczególnej mocy. Czarnoksiężnik zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł uprzejmie:

— Nie wydedukowałem nic poza tak oczywistymi faktami jak to, że za młodu terminował u kowala w Szwabii, po czym udał się na wojnę do Lowlands*, a życiu duchowemu poświęcił się po wyleczeniu z poważnych ran w ramieniu i w nodze.

Odpowiedź Kedrigerna opierała się nie tyle na rzetelnej dedukcji, ile na zwykłych domysłach. Czarnoksiężnik zgrabnie powiązał znajomość ostatnich ważnych wydarzeń z wynikami obserwacji brata furtiana: sposobem intonowania przez niego pewnych słów, okazałą posturą, faktem, że kulał, oraz długą blizną zaczynającą się na prawej dłoni.

Efekt jednak był piorunujący. Opat zamarł na moment, po czym odsunął się i wskazał drzwi.

— Musisz natychmiast wyjechać — rozkazał. — Duodecimo zaopatrz cię w jadło

*Lowlands — nizinne okręgi w Szkocji.

na drogę.

— Miałem nadzieję odwiedzić bibliotekę. Czy nie mógłbym...

— Ruszaj natychmiast! Z nikim już nie rozmawiaj, tylko jedź! — grzmiał opat.

Urażony tym wybuchem Kedrigern przez chwilę bez słowa wpatrywał się w chudą postać przypominającą drogowskaz o jednym chudym ramieniu wymierzonym w drzwi.

— Jak opat sobie życzy — ustąpił w końcu. Skinął krótko głową i wyszedł w poszukiwaniu piwniczego.

Poranek był suchy i rześki. Silny, zimny wiatr ciął jak brzytwa. Śpiesząc do kuchni, czarnoksiężnik zauważył, że wokół wielkiej, ciemnej wieży biblioteki piętrzą się rusztowania. Remonty, przebudowy... może tylko naprawy, dzięki hojnemu wsparciu bogatego patrona... A może jeszcze coś innego? Było zbyt chłodno, by stać i się zastanawiać, a poza tym — cóż to za różnica? Nieuprzejmość opata przepełniła go goryczą.

Odzyskał humor dzięki miłej opiece brata Duodecima. Posiłony owsianką, wzmocniony mlekiem, pokrzepiony chlebem z masłem, pocieszony dżemem truskawkowym, Kedrigern grzał plecy przy ogniu, podczas gdy piwniczy krzątał się wokół. Kiedy Duodecimo oznajmił, że jeden z jego pomocników przygotowuje żywność na drogę dla gościa, a drugi czyści płaszcz i zwija derkę, które zdążyły wyschnąć przez noc, czarnoksiężnik poczuł się całkowicie udobruchany. Po cóż szukać zwady, nie zamierzonej przez nikogo, tłumaczył sobie. Zapracowany opat ma zbyt wiele spraw na głowie i brakuje mu czasu, by opowiadać się każdemu gościowi z osobna ze swego postępowania. Obcesowa odprawa, choć tak niepodobna do tradycyjnej mniszej gościnności, wynikała zapewne z ważnej przyczyny. Bądź wdzięczny za ciepłe łóżko, suchą komnatę i pożywną strawę, uznał w końcu. Usadowił się koło Duodecima, nastrojony do krótkiej przyjacielskiej pogawędki.

— Zauważyłem rusztowania wokół biblioteki — zaczął.

— O tak, tak. Wybieramy kamienie z wieży i używamy ich do budowy nowej biblioteki wewnątrz tamtej.

— Coś mniejszego i wygodniejszego. Bardzo rozsądnie.

— Och, nie. Nowa biblioteka będzie o wiele większa niż obecna.

Kedrigern zastanawiał się nad tym chwilę, potem zmarszczył brwi i zwrócił się do zakonnika:

— Nie rozumiem. Jak można stawiać budynek w budynku i do tego większy od zewnętrznego?

Piwniczy zaśmiał się wesoło.

— Wszyscy zadawali to właśnie pytanie, kiedy opat Rectoverso ujawnił plany. Wbrew pozorom to ma jednak sens. Wkopiemy się bardzo głęboko aż do wnętrza góry. Stamtąd wzniesiemy jeszcze większą wieżę.

— Teraz pojmuje. Ambitne przedsięwzięcie. I niebezpieczne — ocenił Kedrigern.

— Nie zdążymy jej skończyć za naszego życia, niestety. Ale nie możemy ustawać w wysiłkach. Opat Rectoverso twierdzi, że na tym polega nasza misja. — Duodecimo westchnął z rezygnacją, jak gdyby chcąc zaznaczyć, że słowo opata czy cel misji nie podlegają dyskusji.

Czarnoksiężnik nie odmówił sobie podsumowania:

— Cóż, z pewnością pracy wam tu nie zabraknie.

— Mówiąc szczerze, mamy jej zbyt wiele. Tyle rzeczy dzieje się naraz. To straszne — rzekł piwniczny, kręcąc głową. Spojrzał na Kedrigerna i przez moment wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, lecz w końcu tylko spuścił wzrok i ponownie pokręcił głową.

Przez chwilę obaj milczeli, czarnoksiężnik pełen oczekiwania, a zakonnik przygnębiony. W końcu Duodecimo, nie podnosząc oczu, powiedział:

— Ktoś z pewnością już się bardzo napracował. Zrobiono okropne rzeczy. Okropne. Ale nie mogę... Nie wolno mi nawet o tym myśleć.

— Jeśli mógłbym w czymś pomóc... — zaproponował czarnoksiężnik.

Piwniczny rzucił mu szybkie spojrzenie.

— Nie, przyjacielu. Nic nie możesz dla nas zrobić. Jedź, jak tylko będziesz gotów. Nie zwlekaj. A nas pozostaw własnemu losowi.

Bardzo im pilno, by się mnie pozbyć, pomyślał Kedrigern przygnębiony. Zanim jednak zdążył się odezwać, do kuchni wszedł młody mnich, niosąc pakunek owinięty w czyste białe płótno. Skinąwszy głową na powitanie, uśmiechnął się do czarnoksiężnika i wręczył mu zawiniątko.

— Chleb i ser dla was, pielgrzymie — rzekł.

— Dziękuję. Czy mogę nabrać wody na drogę?

Młody mnich zawahał się, zerknął na piwnicznego i odparł niepewnie:

— Źródło... jest przy zakręcie drogi. To niedaleko stąd. Wspaniałe, czyste źródło, pielgrzymie.

— Nigdy nikomu nie żałowaliśmy naszej wody ani wędzonego mięsiwa, ale przybyłście, panie, w niewłaściwym momencie... fatalnym momencie — zauważył Duodecimo ponuro. Z głębokim westchnieniem dźwignął się ciężko i powłókł, niczym skazaniec, w stronę kominka. Stanął i zapatrzył się w ogień. Lecz wtem poruszony nagłą myślą odwrócił się do młodego mnicha i zapytał gwałtownie: — A co się dzieje z tym szaleńcem? Wyzdrowiał? Czy go nakarmiono? Jest pod opieką?

— Wypił trochę mleka i zasnął. Chyba śpi spokojnie — odpowiedział braciszek.

— Biedna duszyczka. Zmierzał tu w nadziei na spokój i wyleczenie... Tymczasem przybył do miejsca.... straszne rzeczy, straszne rzeczy — rozpaczął Duodecimo.

— O jakim szaleńcu mówicie? — zainteresował się Kedrigern.

— Znaleźliśmy go dziś rano. Leżał przed bramą, zaiste godzin pożałowania: cały po-
drapany i umazany błotem, szaty w strzępach, nogi posiniaczone. Bełkotał coś o okrop-
nościach... głośno wykrzykiwał o wilkach i czarnoksiężnikach.

— Czarnoksiężnikach? — podchwycił Kedrigern.

— Tak. I wilkach. Bardzo dziwne. I rzecz zastanawiająca, wzywał imienia błogosła-
wionego Anglika, Kentigerna — wyznał piwniczny.

— Doprawdy?

— Nie, nie błogosławionego Kentigerna — wtrącił się młody mnich. — Imię brzmiało
podobnie, ale nie o niego chodziło. Myślę, że wzywał czarnoksiężnika.

— Niewiarygodne — wymamrotał Kedrigern, wsuwając zawiniątko pod pachę i za-
wracając ku drzwiom. — To doprawdy niewiarygodne. Biedny pomylenieć. Mam na-
dzieję, że wyzdrowieje. Na mnie już czas, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Dziękuję
za wszystko.

— Twój płaszcz, wędrowcze! I koc! — przypomniał mu młody braciszek.

— Ach, tak. Rzeczywiście. Czy mógłbyś je zanieść do stajni? Chciałbym jak najry-
chlej wyruszyć. Droga daleka... i ta pogoda... mój koń... a wy tak zajęci... bywajcie — że-
gnał się spiesznie czarnoksiężnik. Wypadł z kuchni i w kwadrans później był już w dro-
dze.

2. Wilk u drzwi

Po pięciu dniach znoonej podróży Kedrigern dotarł do Cichego Gromu. Jego własna, skromna siedziba, rysująca się wyraziście na tle jasnego nieba, wydała mu się wspanialsza od królewskiego zamku z najbardziej strzelistymi wieżami i najwyższymi iglicami. Pognał strudzonego konia pod górę, zachęcając go kuksańcami i obietnicą smakołyków.

Z oddali już dostrzegł pokracznego Ciapka, podskakującego z radości, a wkrótce uszu jego doszły radosne pokrzykiwania domowego trolla: „Jap! Jap!”, które rozległy się echem nad całą ośnieżoną łąką. Na nasłonecznionym dziedzińcu pojawiła się też Księżniczka; nie mogąc ustać w jednym miejscu z emocji, podfruwiała aż na wysokość dachu i w podnieceniu machała do Kedrigerna. Czarnoksiężnik uniósł się w strzemionach i przywitał ich wylewnie. Nareszcie w domu! Za nic się stąd nie ruszy.

Po długim, niespiesznym obiedzie, suto podlanym znamienitym winem, pochodzącym z winnic Vosconu Otwartorękiego, Księżniczka i Kedrigern zasiedli przed kominkiem. Podczas nieobecności męża Księżniczka poczyniła znaczne postępy w swoich badaniach, ale ponieważ bardzo była ciekawa wieści o dworach i królach, pozwoliła Kedrigernowi opowiadać pierwszemu.

Czarnoksiężnik starał się zdać wierną relację ze swojego pobytu u Comerance’a, lecz choć wspiał się na wyżyny retoryki, nie miał wiele do przekazania. Comerance był człowiekiem młodym, ale surowym i pełnym powagi. Toteż tematy rozmów prowadzonych na jego dworze przy stole lub wśród samych dworzan nie mogły zająć dobrze urodzonej damy. Mogły ją tylko nudzić. Osuszanie moczarów, czyszczenie zbroi czy naprawa mostów są z pewnością pożytecznymi zajęciami, niewdzięczny z nich jednak temat zabawnych opowieści.

Widać było, jak zainteresowanie Księżniczki maleje z każdą chwilą.

Zauważywszy jej drugie z kolei, z grzeczności tłumione ziewnięcie, Kedrigern stwierdził:

- Dobrze się stało, że nie pojechałaś tam ze mną. Zanudziłabyś się na śmierć.
- Z logicznego punktu widzenia masz rację. Ja jednak tak bardzo lubię zmiany, że

wolałabym nudzić się gdzieś indziej niż pozostać tutaj.

— Zmiany nie zawsze są korzystne. Comerance mieszka w twierdzy. Pełno tam długich korytarzy z przeciągami, śniegu na posadzkach, powiewających arrasów... Wszyscy kichają, prychają i kaszlą w nocy, a w dzień mają katar i mówią przez nos. To bardzo przygnębiające.

— Włożyłabym najcieplejsze suknie.

— Nic by to nie dało. Nawet okrywszy skrzydła wełnianymi ocieplaczami, złapałabyś przeziębienie. Tematy rozmów nie były tego warte. Zresztą jedzenie też nie.

— A zapłata?

Kedrigern uśmiechnął się szeroko. Sięgnął do zakamarków tuniki i wyciągnął duży skórzany worek, przyjemnie pobrzękujący. Ocenił jego wagę w dłoni, po czym wręczył żonie.

— Złoto?

— Oczywiście. Klątwa była wyjątkowo uciążliwa, a Comerance nie ma czasu na zbędne dyskusje. Z łatwością więc doszliśmy do porozumienia.

— Mimo wszystko Comerance jest niezwykle hojny.

— Zdjąłem zeń klątwę, zanim zdążyłem otrzepać pył z butów po przybyciu. Klienci cenią sobie szybką obsługę.

Księżniczka powoli wysypała zawartość worka na kolana. Monety spadały jedna na drugą z cichym, metalicznym brzękiem i migotały w świetle kominka, połyskując na tle ciemnoniebieskiej sukni.

— Comerance jest doprawdy szczodry. Tu jest chyba ze czterdzieści koron — stwierdziła.

— Szanuję ludzi, którzy umieją okazać wdzięczność.

— Zrobiłeś na nim zapewne duże wrażenie.

— Pojechać, zdjąć klątwę, odebrać zapłatę, ruszyć do domu — wyliczył czarnoksiężnik, strzelając palcami w rytm wypowiedzianych zdań. — Tak lubię pracować.

— Dlaczego więc powrót zajął ci tyle czasu? — zainteresowała się Księżniczka, uważnie oglądając jedną z monet.

— Nie mogłem przecież od razu wskoczyć na konia i wyruszyć. To byłoby niegrzeczne, a ty zawsze pouczasz mnie, żebym był szczególnie uprzejmy wobec królów. Poza tym musiałem zostać przez parę dni, aby sprawdzić, czy nie pojawią się jakieś niepomyślne następstwa. Dobrze wiesz, że właściwa opieka nad rekonwalescentem po udzieleniu mu pomocy jest tak samo istotna, jak sam szybki ratunek.

— Nie było cię cztery tygodnie. Całkiem długa opieka.

— Większość tego czasu spędziłem w podróży. Naprawdę bardzo się śpieszyłem — nawet skorzystałem ze skrótu zalecanego przez Comerance'a.

— I rzeczywiście zyskałeś na czasie?

Czarnoksiężnik pokręcił głową.

— Comerance nie ma wycucia kierunku. Przez jego skrót mój powrót opóźnił się o trzy dni. Droga była wyjątkowo fatalna, a zajazdy straszne. Zajrzałem do dwóch i uznałem, że wygodniej będzie mi nocować w lesie. Tylko jedną noc spędziłem pod dachem — w opactwie na szczycie góry.

Księżniczka uniosła brwi.

— Zatrzymałeś się w opactwie? Nie sądziłam, że mnisi skłonni są podejmować gościną czarnoksiężników.

— Tego nie robią, natomiast zwykłych podróżnych traktują z należyтым staraniem. Mówiąc szczerze, wspaniali z nich ludzie. Choć wydali mi się rozdrażnieni. Jakby zatrwożeni. Niby bardzo uprzejmi, ale gdy tylko wstałem następnego poranka, ze wszystkich sił starali się nakłonić mnie do natychmiastowego wyruszenia w drogę.

— Może wiedzieli, że jesteś czarnoksiężnikiem?

— Nie, nie sądzę, żeby o to chodziło. Coś ich niepokoiło. Duodecimo, brat piwniczny, ciągle wspominał o strasznych rzeczach, które tam się dzieją, a opat stał się nad wyraz rozdrażniony, kiedy wspomniałem o paru poczynionych przeze mnie obserwacjach. To wszystko było bardzo dziwne.

— Wcale nie takie dziwne, jeśli się głębiej zastanowić. Ludzie żyjący z dala od świata prowadzą bardzo spokojny tryb życia. Każdy najmniejszy incydent może wyprowadzić ich z równowagi.

— Ich życie wcale nie jest takie spokojne; ale nie odniosłem też wrażenia, że pojawiłem się u nich w jakimś szczególnie pracowitym dniu. Za to tego poranka, kiedy wyjeżdżałem, mnisi znaleźli u bram opactwa wrzeszczącego szaleńca.

Księżniczka machnęła dłonią ze zniecierpliwieniem.

— I cóż z tego? W naszych czasach na każdym kroku spotyka się wrzeszczących szaleńców.

— Ten jednak wykrzykiwał moje imię.

— A co jakiś pomyłony ma wspólnego z tobą?

— Pojęcia nie mam. Nie uznałem za stosowne, aby zostać tam i to zgłębiać. Ale, moja droga, zbytnio się tu rozwodzę nad szczegółami nudnej podróży służbowej. A tymczasem bardzo jestem ciekaw usłyszeć nowiny z domu. Co robiłaś podczas mojej nieobecności? Czy ktoś nas odwiedził? Goście? Klienci? Wydarzyło się coś ciekawego?

— Nic się nie wydarzyło. Przybył tylko jeden posłaniec z wiadomością od Vosconu. Nie była poufna, więc ją przeczytałam i kazałam mu przybyć po odpowiedź latem. Nic pilnego. Vosconu chce wyciąć kawał lasu i prosi, abyś sprawdził, czy teren ten wolny jest od czarów i klątw, zanim drwale przystąpią do dzieła.

— Bardzo rozsądnie ze strony Vosconu. Jego zamek znajduje się w krainie driad. W takim miejscu nie wolno wycinać drzew, zdając się jedynie na los szczęścia. Coś jesz-

cze?

— Nic. Zupełnie nic. — Księżniczka ziewnęła. — Resztę czasu spędziłam trenując użycie różdżek i co bardziej skomplikowanych zaklęć. Poza tym obserwowałam Ciapka, który bawił się usuwaniem śniegu.

— Jak dałaś sobie radę z różdżkami?

— Och, dziękuję. Wymagają ogromnej zręczności — wykręciła się Księżniczka, nie chcąc wspominać o niektórych szczególnie frustrujących doświadczeniach.

— Tak, lecz są bardzo pożyteczne, pod warunkiem że się od nich nie uzależnisz. Znałem kiedyś pewną czarownicę. Nazywała się Dalaban, biedactwo. Było to bardzo dawno temu, ale nigdy jej nie zapomnę... — cicho i z zadumą zaczął Kedrigern, zapatrzywszy się w ogień na kominku i powoli kręcąc głową. Chciał napić się wina, ale kielich miał pusty, więc sięgnął po karafkę. — Jeszcze jeden maleńki łyżeczek przed snem. A ty, moja droga? Może kropelkę?

— Co się stało z Dalaban? — zainteresowała się Księżniczka.

— Ach, tak, Dalaban. Biedna Dalaban — westchnął czarnoksiężnik, wracając do tematu. — Była powszechnie znana i lubiana. Chyba nie miała ani jednego wroga, a wiesz, moja droga, że nieczęsto się to zdarza, szczególnie czarownicom. Na jej trzechsetne urodziny wszyscy przyjaciele złożyli się i kupili jej różdżkę. Studiowałem podówczas u Frigusa. Też coś dołożyliśmy. Dalaban otrzymała naprawdę wspaniały prezent. Nigdy przedtem nie używała różdżek, ale zabrała się do nauki ochoczo i wkrótce nabrała wielkiej biegłości w tej sztuce. Z czasem zaczęła polegać wyłącznie na różdżce i zapomniała wszystkie, wcześniej praktykowane czary. I wtedy właśnie ją zgubiła.

— Och, nie! To straszne! — wykrzyknęła Księżniczka. Wyglądała na prawdziwie przejętą.

— Wdała się w utarczkę z demonem. Nie znam szczegółów, ale okazało się właśnie przy tej okazji, że wszystkie czary ulotniły się biednej Dalaban z pamięci. Mając prawie czterysta lat, straciła swą moc. Owszem, pamiętała pomniejszych zaklęcia, co pozwoliło jej egzystować, ale długo nie mogła się pozbierać.

— I co się z nią w końcu stało?

— Z ostatniej wiadomości, którą słyszałem na jej temat, wynikało, że pracowała jako kucharka w zajeździe, gdzieś na Północy. Ale było to już dawno temu.

— Przyjaciele nie mogli jej pomóc?

— Nic nie wiedzieli, a potem było już za późno. Wszyscy więc uznali, że powracanie do tej sprawy mogłoby tylko sprawić przykrość Dalaban. Prawdę mówiąc, nowa praca jej odpowiadała. Dalaban lubiła gotować i przyzwyczała się do spędzania wielu godzin w pobliżu gorącego kotła. Poza tym pokochała życie towarzyskie. Czarownice są bardzo samotne. Zwykle nie mają z kim porozmawiać, oprócz kota. A w zajeździe zawsze znajduje się ktoś chętny do pogawędki.

Po dłuższym milczeniu Księżniczka podsumowała:

— Ta historia wcale nie jest smutna.

Kedrigern zastanowił się przez chwilę, po czym przyznał:

— Nie, rzeczywiście nie. A czy twierdziłem, że będzie smutna?

— Dlaczego wobec tego ją opowiedziałeś? Czemu miała służyć?

— Wniosek jest prosty: nie uzależniaj się od różdżki. Możesz nie mieć tyle szczęścia co Dalaban.

— Nie ma obawy, nie uzależnię się, ponieważ nigdy się tego nie nauczę.

— Nie doceniasz siebie, moja droga. Masz wrodzony talent do czarów. To tylko kwestia treningu. Praca, i tylko praca...

Pierwsze dni od powrotu czarnoksiężnika upłynęły przyjemnie i leniwie. Później Księżniczka i Kedrigern zajęli się swoimi zwykłymi obowiązkami. Ona, przejąwszy się słowami męża, wróciła do różdżek, on do zgłębiania zawilosci kontrkontrkontrzaklęć.

Najbardziej przykry okres zimy minął. Słońce przygrzewało mocniej, każdego dnia zataczając na niebie coraz większy łuk, noce stały się krótsze. Pokrywa śnieżna szybko topniała, aż w końcu skurczyła się tak, że pozostały z niej tylko brudnobiałe łaty zalegające w cienistych kotlinach i na północnych zboczach wzgórz. Wiosna jeszcze się nie pojawiła, ale czuło się ją już w powietrzu, z każdą chwilą coraz wyraźniej.

Pewnego pięknego, słonecznego, nieomal wiosennego poranka, nazajutrz po ostatniej zimowej pełni księżyca, Kedrigern pojawił się w jadalni późno. Miał podpuchnięte oczy i otepiały wyraz twarzy. Opadłszy ciężko na krzesło, rozparł się łokciami na stole. Z westchnieniem podparł brodę dłońmi i utkwiał nieobecne spojrzenie w żonie, siedzącej u przeciwległego końca stołu. Księżniczka znieruchomiała w trakcie smarowania masłem bułki. Spojrzała z dezaprobatą na jego swobodną pozę, lecz nie odezwała się ani słowem.

— Wybacz, moja droga — przeprosił, zdejmując łokcie ze stołu i sadowiąc się wygodniej w krześle. — Mało spałem tej nocy. Wszystko przez to wycie.

— Nie zauważyłam, by tej nocy było bardziej dokuczliwe niż zwykle. Obudziło mnie co prawda koło północy, ale od razu zasnęłam ponownie.

— Można się spodziewać wycia przy pełni, ale to, co się działo ubiegłej nocy...

— Przerwał, by ziewnąć znowu. — Przepraszam, moja droga. Chyba muszę wymyślić zaklęcie na sprowadzanie ciszy.

— Nie łatwiej po prostu zatkać czymś uszy? Zawsze mnie pouczasz, żeby nie marnować niepotrzebnie czarów.

— To nie byłoby marnowanie czarów. Cóż ze mnie za czarodziej, jeśli nie mogę pozwolić sobie nawet na spokojny sen w nocy?

— Powinieneś raczej wypić dzbanek ciepłego mleka przed udaniem się na spoczynek.

Kedrigern mruknął coś z niedowierzaniem, zastanowił się chwilę, po czym odparł:

— Nie, to też na nic. Tamtej nocy w opactwie napiłem się ciepłego mleka tuż przed snem, a jednak wycie obudziło mnie w nocy. A rano byłem tak rozbity jak dzisiaj. Obawiam się, że jedynie zaklęcie może pomóc.

— Jeśli tak uważasz... — Księżniczka zrezygnowała z dyskusji i sięgnęła po dzem.

— Nic wymyślnego, proste zaklęcie jak: „Ciszo, przyjdź ze snem, odejdz na godzinę przed świtaniem”. Będę go używał tylko raz na cztery tygodnie. No to skoro już postanowione, mogę teraz....

Kedrigern urwał w pół zdania, nagle bowiem rozległo się głośne pukanie do frontowych drzwi, a po chwili nastąpiły jeszcze dwa, równie głośne.

Czarnoksiężnik i Księżniczka spojrzeli na siebie, on — niezadowolony, ona — zaciekawiona.

— Ktoś puka do drzwi — zauważyła.

— Ciapiek otworzy.

— Przerazi gościa swym wyglądem.

— Nie szkodzi. Nikogo nie oczekuję. Jeśli więc nieznaną przybysz ma czelność zakłócać mi przyjemny poranek, zasługuje na napędzenie mu strachu.

Pukanie rozległo się znowu. Kedrigern nie drgnął nawet. Księżniczka spojrzała nań chłodno i odłożyła bułkę.

— A jeśli to klient? Może ktoś potrzebuje pomocy? — zaniepokoiła się.

— A ja? Czyż nie potrzebuję snu? I spokoju? Jak mam pracować, kiedy mi coraz to ktoś przeszkadza?

— Jap, jap! — usłyszeli okrzyki trolla, który właśnie człapał spieszenie w stronę drzwi.

— To na pewno do ciebie. Do mnie tu nikt nigdy nie zagląda. Może to urodziwa sierotka szuka pomocy w nieszczęściu? Zajmiesz się nią, czy wolisz, żebym ja to uczyniła? — zapytała Księżniczka obojętnym tonem.

Kedrigern poderwał się szybko.

— Ja otworzę, moja droga. Trzeba zachować ostrożność. Nigdy nie wiadomo, co to może walić w drzwi o tej porze.

— Sama świetnie sobie poradzę.

— Wiem, ale nie mogę pozwolić, byś się niepotrzebnie narażała. — Kedrigern obrócił się i krzyknął do Ciapka: — Ja otworzę!

Mamrocąc do siebie ze złością, pośpieszył do drzwi wejściowych. Po drodze zatrzymał się jeszcze tylko na chwilę, by wypowiedzieć krótkie zaklęcie przeciw przemocy fizycznej, a potem odsunął zasuwę i otworzył drzwi.

Intruz okazał się młodym mężczyzną, którego czarnoksiężnik mógłby określić jednym słowem: podejrzany. Jego szaty były porwane i poplamione, oklejone liśćmi, gałąz-

kami, pogniecionymi jagodami i grudkami błota. Dłonie miał owinięte w brudne gałgany, a stopy — w gałgany jeszcze brudniejsze. Przez dziury w spodniach widać było kolana. Wyglądał na zuchwałego żebraka, który znalazł się w rozpaczliwym położeniu.

Zmrużywszy zaczerwienione oczy, wbił wzrok w czarnoksiężnika i z wyraźnym wysiłkiem wychrypiał:

— Mistrz Kedrigern... Czy to wy, panie, jesteście mistrzem Kedrigernem, wybitnym twórcą przeciwwzakłęć?

Choć brudny i zaniedbany, nie brak mu bystrego umysłu, pomyślał Kedrigern. I potwierdził:

— Tak, to ja.

— Musicie mi pomóc. Jestem u kresu sił. Szukam was... od jesieni — rzekł przybysz słabym głosem. Zachwiawszy się, wyciągnął zabandażowaną dłoń, by wesprzeć się o futrynę.

Kedrigern zauważył krew sączącą się przez gałgany i cała jego złość natychmiast gdzieś uleciała. Ten nieszczęśnik jest ranny i potrzebuje pomocy. Nie można mu jej odmówić.

— Wejdz, wejdz, młody człowieku. Doprowadzimy cię do porządku, nakarmimy, a potem zobaczymy, co dalej. Pamiętaj jednak, że nie jestem lekarzem.

— Nie jestem chory. Potrzebuję przeciwwzakłęcia.

— W takim razie będę mógł ci pomóc. Wejdz. — Kiedy gość chwiejnie przekraczał próg domu, czarnoksiężnik zawołał: — Ciapiek, napełnij balię gorącą wodą i przynieś czyste odzienie. Tylko szybko! — Ujawszy przybysza pod ramię, ostrzegł: — Niech cię nie odstręczy wygląd Ciapka. Troll jest dla nas wielką wyręką w domu.

— Dziękuję... mistrzu Kedrigernie. Jesteście niezwykle uprzejmi — szeptał gość z trudem.

— Tylko nie pozwól Ciapkowi wyszorować ci pleców. Chce być usłużny, lecz robi to za mocno.

— Będę pamiętał.

— Dobrze. Idź do kuchni.

Gość na widok trolla stanął jak wmurowany. Ciapiek to była przede wszystkim wielka głowa, a ta głowa składała się przede wszystkim z nosa, nos zaś — z brodawek. Wielkie uszy kształtem przypominały opuszczone żaluzje okienne; resztę Ciapka w głównej mierze stanowiły wielkie dłonie, stopy i nieproporcjonalnie długie łydki.

— Jap, jap! — przywitał troll przybysza, tonąc w obłoku pary wodnej.

— To nasz klient, Ciapku. Weźmie kąpiel, a ty w tym czasie wyczyść i napraw jego ubranie.

— Jap!

— Niech włoży moją szarą tunikę, dopóki jego szaty nie wyschną.

— Jap!

— Kiedy będzie gotów, przyprowadź go do jadalni.

— Jap!

— I podaj mu jaja na bekonie, owsiankę i dzban mleka.

— Mógłbym dostać sam chleb z masłem? — poprosił przybysz. — Żołądek mam...
bardzo delikatny.

— Oczywiście. Przynies chleb i masło, Ciapku.

— Jap!

Kedrigern zostawił gościa pod opieką trolla, a sam wrócił do zaintrygowanej Księżniczki. Nie umiał jednak zaspokoić jej ciekawości. Młody człowiek bez wątpienia znosił długotrwałe trudy i poniewierkę. Prawdę mówiąc, był bliski wyczerpania. Czy zbiegł skądś? Jeśli tak, to czy uciekał przed wymiarem sprawiedliwości, czy przed niesprawiedliwością? Wyglądał odrażająco, ale miał dobre maniery i niewątpliwie bystry umysł.

Wspomniał, że potrzebuje przeciwwakłęcia, jednak nie sposób było dostrzec żadnych objawów rzuconego nań uroku. Zagadkowa sprawa.

Kedrigern z Księżniczką snuli teorie i domysły, rozważali po kolei różne możliwości. Bez rezultatu. Toteż kiedy w końcu tajemniczy nieznajomy się pojawił, przynosząc ze sobą powiew ciepłego, wilgotnego powietrza z kuchni, przywitali go z entuzjazmem. Kedrigern podjął się dokonania prezentacji.

— Księżniczko, oto nasz nowy klient... którego imienia nie znam. Chłopcze, czy nie zechciałbyś...?

— Zorsch. Nazywam się Zorsch.

— Zorsch, wspaniale. A oto Księżniczka, moja żona i współpracowniczka. Studiuje zawiłości sztuki czarnoksięskiej.

Zorsch złożył głęboki ukłon. Ten niezbity dowód dobrego wychowania młodzieńca uczynił powód jego obecnego położenia jeszcze bardziej tajemniczym. Księżniczka postanowiła nie zwlekać dłużej.

— Miło cię poznać, Zorschu. Powiedz nam, proszę, co cię sprowadza i jak możemy ci pomóc? — zapytała wprost, wskazując mu miejsce przy stole.

— Dziękuję, pani. Jesteś niezwykle uprzejma. Obydwoje jesteście bardzo dla mnie dobrzy — powtarzał Zorsch, ochoczo korzystając z zaproszenia. Usiadł z westchnieniem ulgi, jak człowiek wycieńczony długim trudem.

— Co cię trapi? — naglił Kedrigern.

— Jestem wilkołakiem. Muszę poznać kontrzakłęcie, żeby się uwolnić od tego czaru.

— Wilkołakiem? — zdziwiła się Księżniczka, unosząc brwi.

— Niestety tak, pani.

— Czy to twoje wycie słyszeliśmy ubiegłej nocy? — zapytał czarnoksiężnik.

— Bardzo możliwe, panie. Proszę o wybaczenie, jeśli zakłóciłem odpoczynek. Nie mogę nic na to poradzić.

— Nie zaprzątaj sobie tym głowy, Zorschu. Zapewne myślałeś wówczas o czymś innym.

— Tak sędzę, choć nie mam pewności.

— Nic nie pamiętasz?

— Zupełnie nic. Nie pamiętam ani gdzie przebywałem, ani co robiłem jako wilkołak.

— To niezwykle kłopotliwe! — zawołała Księżniczka, której udało się wczuć w położenie gościa dzięki własnym wspomnieniom, czy też raczej z powodu braku kilku wspomnień w pamięci.

— To mnie rozstraja, pani. Następnego ranka po pełni księżyca budzę się w nieznanym miejscu, pchły po mnie skaczą, plecy mam zdrętwiałe, a dłonie i stopy poobcierane do żywego. Do tego nie mam pojęcia, co robiłem ani jak się znalazłem w tym dziwnym miejscu. W kościach łamię mnie jeszcze przez tydzień, w gardle drapie i nie mogę nic jeść z powodu bólu żołądka.

— Straszne — zaszepił się czarnoksiężnik.

— Ale najgorsze jest poczucie rozdwojenia. To tak jak gdybym był dwiema zupełnie odmiennymi osobami jednocześnie.

— Jedną osobą i jednym wilkiem — sprostował Kedrigern.

— Być może. Sędzę, że w postaci wilka jestem tylko wilkiem, ponieważ w ludzkiej postaci jestem człowiekiem. Skoro jednak nic nie pamiętam, nie mam pewności, czy tak jest rzeczywiście.

— Biedactwo — westchnęła Księżniczka, uspokajająco poklepując Zorscha po dłoni.

— Prawdę mówiąc, wolałbym już zostać wilkiem na zawsze, jeśli nie ma innego wyjścia. Przynajmniej mógłbym coś planować na przyszłość. W obecnej sytuacji nie jestem w stanie utrzymać dłużej żadnej pracy ani nawiązać trwałych znajomości. Wszystkie panny, które spotykam, zawsze chcą spacerować przy pełni księżyca, a to przecież w ogóle nie wchodzi w rachubę.

— Och, absolutnie nie — przyznała Księżniczka.

— Jestem zmuszony szukać różnych wykrętów, a dziewczęta podejrzewają, że w tym czasie wymykam się do innej, i zrywają znajomość.

Kedrigern kiwał głową z powagą, okazując w ten sposób zrozumienie i współczucie.

— Sytuacja jest trudna, nie ukrywam, lecz zrobię co w mojej mocy. Przede wszystkim jednak musisz mi opowiedzieć ze szczegółami, jak zostałeś wilkołakiem. Niczego nie pomijaj. Każdy drobiazg może być bardzo ważny.

— Nie mam wiele do powiedzenia. Pewnej nocy podczas pełni księżyca ugryzł mnie pies. A raczej wówczas sądziłem, że to pies. Podczas następnej pełni nagle poczułem, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Właśnie szedłem przez las na spotkanie z dziewczyną...

Tu Zorsch zamilkł i westchnął. Po chwili ciągnął dalej:

— Miała na imię Meerla. Była córką młynarza. Śliczna panna... Ale, o czym już wspominałem, poczułem, że dzieje się ze mną coś dziwnego, jakby moje ciało zmieniało kształt. Zobaczyłem szorstką sierść wyrastającą mi na dłoniach i ramionach... paznokcie grubiejące w pazury... A potem straciłem świadomość. Kiedy ją odzyskałem następnego ranka w lesie, moje szaty były w strzępach, mięśnie sforsowane, a głos zachrypły. I od tamtej pory w każdą pełnię jest tak samo.

Kedrigern odchrząknął.

— Pogryzienie? A więc nie klątwa, nie zaklęcie ani nie czary?

— Pogryzienie, mistrzu.

— Mogłem się tego spodziewać. Układam kontrzaklęcia, Zorschu, ale nie przeciw pogryzieniom.

— Przecież jesteś wielkim czarodziejem!

— Owszem, lecz nawet wielki czarodziej...

— Keddie, powinieneś spróbować. Nawet musisz. Ten chłopiec liczy na ciebie — wtrąciła się Księżniczka.

— O tak! Mistrzu, proszę! — zawołał Zorsch, padając Kedrigernowi do stóp. — Podróżowałem twoim tropem już od lata. Zjawiłem się w królestwie Comerance'a dwa dni po twoim wyjeździe stamtąd. O mały włos dogoniłbym cię w drodze, ale właśnie nadeszła pełnia... — zakrył twarz dłońmi.

Kedrigern poderwał się z miejsca.

— A więc to twoje wycie dochodziło zza okna w opactwie, to ciebie mnisi znaleźli u bramy!

— Tak. Zanim dobrzy braciszekowie przywrócili mnie do życia, ty, panie, byłeś już daleko. Wiele miesięcy strawiłem, goniąc ciebie.

— Podróżowałaś... w taki czas... tak daleko... Och, wstań, mój chłopcze! Usiądź! Jedz chleb z masłem! — Kedrigern pomógł młodzieńcowi podnieść się i podprowadził go do krzesła. Wracając na swoje miejsce, mrucał w zamyśleniu: — Taką drogę... zimą... w deszczu i śniegu...

— Będę wdzięczny, mistrzu, jeżeli uda ci się chociażby tylko powstrzymać te ciągłe transformacje. Nie mogę już tego znieść. Niech będę człowiekiem na stałe, jeśli potrafisz to sprawić. Jeśli nie, uczyni mnie na zawsze nietoperzem, kotem, ropuchą...

— Tylko nie ropuchą! — ostro zaprotestowała Księżniczka. — Bądź już sobie wilkiem, jeśli chcesz, byle nie ropuchą!

— No dobrze. Niech będzie wilk. Proszę, pomóż mi, mistrzu, a zyskasz we mnie od-
danego sługę.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie możesz mi zapłacić, jak wszyscy?

Zorsch wzruszył ramionami.

— Już mówiłem, że nie mam posady.

— Krewnych też nie?

Gość pokręcił głową.

— Cały nasz majątek stanowią nieruchomości. Mój ojciec jest wielkim właścicielem
ziemskim bez grosza przy duszy.

— Keddie, nie bądź taki wyrachowany — zganiła męża Księżniczka.

— Niepokoję się, jak Ciapek zareaguje na wilka w domu.

— Och, to się wydarza tylko raz na miesiąc — uspokajał Zorsch.

— I nie jest to zwykły wilk — przyszła mu w sukurs Księżniczka.

— Będę się bardzo starał, mistrzu. Mógłbym odganiać nieproszonych gości, dzięki
czemu zaoszczędziłbyś czarów chroniących cię przed nimi. Nauczyłbym się aportować.
Zabawiałbym was tym na świeżym powietrzu.

— No dobrze — zgodził się w końcu czarnoksiężnik, wzdychając. — Skończ teraz je-
dzenie, a potem przyjdź do mojej pracowni. Zobaczymy, co się da zrobić.

3. Wezwanie do Othionu

Minęło dziesięć dni, a zagadka Zorscha wciąż pozostawała nie rozwiązana. Młody człowiek tymczasem ze wszystkich sił starał się być pomocny w domu. Tak się rozochocił, że chciał nawet wkładać Kedrigernowi pantofle po obiedzie. Czarnoksiężnik musiał z całą stanowczością mu tego zabronić.

Lecz w miarę jak ubywało księżyc na niebie, wizja zbliżającej się pełni zaczęła przesładować Zorscha. Coraz trudniej było mu zachować pogodny nastrój. Rosło także napięcie Kedrigerna. Stało się bowiem jasne, że uwolnienie Zorscha od czaru jest przedsięwzięciem wymagającym czasu.

Kiedy w jedenastym dniu wizyty Zorscha Księżniczka zaproponowała, aby wezwać konsultanta, nerwy Kedrigerna odmówiły posłuszeństwa.

— Konsultanta?! Ja mam wezwać konsultanta?! — wykrzyknął z oburzeniem.

— Dlaczego nie? Sam twierdziłeś, że nie masz doświadczenia w tego rodzaju przypadkach. Konsultant może tylko pomóc.

— A czy kiedykolwiek słyszałaś, moja droga, takie powiedzenie: „Kto nie radzi sobie z magią, zwraca się ku alchemii, a nieudolny alchemik zostaje konsultantem”?

— Nigdy nic takiego nie słyszałam. Wymyśliłeś to na poczekaniu.

— To mądre powiedzenie. Konsultanci są całkiem bezużyteczni. Twoja propozycja to zniewaga. Staram się, jak mogę, pracuję dwadzieścia cztery godziny na dobę bez perspektywy zapłaty, a ty chcesz wezwać konsultanta? Czy nie wierzysz już w moje zdolności?

— Do pełni księżyca zostały zaledwie dwa tygodnie i Zorsch bardzo się denerwuje.

— Ja również. Nie chcę, żeby wilkołak plątał mi się po domu, nawet jeśli jest moim gościem. A ty?

Księżniczka przyjrzała mu się z namysłem.

— Czy mogę ci jakoś pomóc?

— Tak. Przestań mówić o konsultantach.

— To była tylko propozycja. Chcę ci pomóc. Czy nie mogłabym zrobić czegoś konkretnego?

— Możesz przejrzeć te księgi. Sprawdź, czy nie ma w nich wzoru zastosowania kontrzakłęk przeciw ukąszeniom — czarnoksiężnik wskazał dłonią cztery wielkie, sięgające mu po szyję stosy ksiąg. — Ja w tym samym czasie przejrzę tamte — tu wskazał równie wielkie cztery stosy, piętrzące się po drugiej stronie komnaty.

— Jesteś pewny, że w nich znajdziemy ten wzór?

— Nie — odparł ponuro Kedrigern. — Nawet nie jestem pewny, czy taki wzór w ogóle istnieje. Może będę go musiał sam wymyślić. Chciałbym jednak uniknąć wszelkiej improwizacji, jeśli nie jest konieczna, ponieważ zwykle wywołuje skutki uboczne.

Nie zdążyli jednak nawet sięgnąć po któryś z tomów, gdy uszu ich dobiegł straszliwy harmider. Najpierw usłyszeli dźwięki trąbek, potem radosne „Jap, jap!” Ciapka, gdy trąbki zagrały powtórnie, następnie jeszcze parę okrzyków trolla, ostatnie fanfary w wykonaniu trąbek, aż wreszcie nadbiegł Zorsch, wykrzykując:

— Mistrzu Kedrigernie! Księżniczko! Przybył herold! W pięknej liberii! Z trębaczami i uzbrojoną eskortą!

— Goście! Ach, jak cudownie! — Księżniczka aż klasnęła w dłonie i wyfrunęła, aby ich powitać.

Kedrigern bezradnie rozłożył ręce.

— Wiecznie mi przeszkadzają! Jak mam pracować nad zakłęciami w takich warunkach? Istny jarmark! — Chciał szukać pocieszenia u Księżniczki, a nie widząc jej nigdzie, westchnął ciężko, jak człowiek udręczony, po czym zrezygnowany opuścił komnatę, starannie zamykając za sobą drzwi.

Tymczasem Księżniczka, zarzuciwszy na ramiona płaszcz, przyjęła w głównym hallu herolda i dwóch krzepkich zbrojnych. Herold rzeczywiście był pysznie ubrany — bogato i w najlepszym guście. Zdjął kapelusz ze strusimi piórami, odrzucił czarny płaszcz i skłonił się zamasyście. Zbrojni prężyli się tuż za nim, prezentując broń, gotowi na rozkazy. Kedrigern, który właśnie nadszedł, przyjrząwszy się noszonym przez nich barwom oraz liberii herolda, przywitał ich ciepło:

— Słudzy króla Ithiana są zawsze mile widzianymi gośćmi w naszym domu.

— Rzekłeś, mistrzu Kedrigernie. — Herold pochylił przed nim dwornie głowę, a potem skłonił się ponownie przed Księżniczką.

— Co słyhać w Othionie? — zapytał czarnoksiężnik.

— Dzieje się nam dobrze, z jednym małym wyjątkiem. Dlatego król raczy szukać pomocy u dawnego przyjaciela i przysłał w tym celu swego niegodnego sługę Uldindala.

— Będę zaszczycony, mogąc pomóc Ithianowi z Othionu.

— Jego Wysokość do tej pory wspomina z wdzięcznością wasze spotkanie w czasach jego młodości.

— Tak, pamiętam tę sprawę z olbrzymem ludożercą... — Kedrigern zamyslił się, uśmiechając z nostalgią. Mocne szturchnięcie łokciem, które wymierzyła mu

Księżniczka, przywróciło go do porządku. Rzekł żywo: — Wejdźmy do komnat. Tam omówimy szczegóły.

— Z przyjemnością, mistrzu — zapewnił Uldindal. Skinieniem głowy odesłał zbrojnych, po czym podążył za gospodarzami.

— Twoi ludzie są zapewne głodni i spragnieni po długiej podróży. Poproszę Ciapka, by ich obsłużył — zaproponowała Księżniczka.

Uldindal skłonił się znowu.

— Jesteś, pani, zbyt łaskawa.

— Chyba pójdę razem z nimi. W przeciwnym razie gotowi się śmiertelnie przerazić na widok trolla.

— Jak uważasz, pani. — Uldindal zgiął się w kolejnym ukłonie. Po odejściu Księżniczki Uldindal zasiadł na podsunętym mu przez Kedrigerna krześle i stwierdził raczej, niż zapytał:

— A teraz, mistrzu, chciałbyś zapewne poznać powód mojej wizyty?

— Owszem — przytaknął czarnoksiężnik. Usiadł naprzeciw herolda, po czym przesunął się wraz z krzesłem bliżej niego. Nachylił się ku rozmówcy, przybierając przy tym pozę świadcząca o najwyższej uwadze i zachęcił: — Mów. Zamieniam się w słuch.

— Wkrótce po pamiętnym zwycięstwie nad olbrzymem ludojadem, który był postrachem królestwa Othionu i paru ościennych królestw, a zginął dzięki twojej, mistrzu, pomocy, za co król Ithian i jego poddani wdzięczni ci będą po wsze czasy, król poślubił promienną Kanvanirę z Dales. Małżeństwo zaowocowało dzieckiem, na świat przyszła prześliczna Berzel.

Niedługo potem ciężka choroba zabrała królową Kanvanirę. Król przez wiele miesięcy pozostawał niepokieszony, lecz w końcu całe swoje uczucie przelał na córkę. Była wszystkim dla niego i dla jego poddanych. Była słońcem i radością Othionu. A teraz... — Uldindal nie mógł dalej mówić. Ukrył twarz w dłoniach. Po chwili podniósł oczy i otarł łzy.

— Co teraz? — przynaglał niecierpliwie Kedrigern.

— Teraz prześliczna Berzel, oczko w głowie królewskiego ojca, róża Othionu, królowa jak z bajki, jest przeklęta, zdeptana. Rzucono na nią urok, złamano życie w sposób podstępny i niegodziwy, właśnie wtedy, kiedy spełniała akt miłosierdzia, kierując się swoim współczującym sercem. Zbezczeszczone jej urodę, splugawiono szczęśliwe lata młodości, zniweczono świetną przyszłość.

— Czy mógłbyś wysławiać się jaśniej?

Uspokoiwszy się trochę, Uldindal kontynuował opowiadanie:

— Pewnego wieczoru Berzel jechała konno przez las. Wiozła ze sobą zabawki i słodycze dla dzieci leśniczego. Zatrzymała się po drodze, aby pogłaskać napotkanego psa i nakarmić go smakołykami. Niewdzięczna bestia ugryzła jawną palec i uciekła. Ponieważ

zęby ledwo drasnęły skórę, Berzel zapomniała o tym wydarzeniu. Ale podczas najbliższej pełni księżyca zamieniła się w wilka.

— Aha. Ciekawy zbieg okoliczności — zastanowił się Kedrigern. Widząc zdziwienie Uldindala, pośpieszył z wyjaśnieniem. Opowiedział o przeżyciach Zorscha i swoich próbach udzielenia mu pomocy. W miarę rozwoju opowieści zmieniał się wyraz twarzy herolda — od ponurego, przez pełny nadziei, do entuzjastycznego wreszcie. Na koniec królewski posłaniec poderwał się, zamknął dłonie czarnoksiężnika w swoich i wykrzyknął:

— Cóż za zesłany przez opatrność przypadek! Jaki szczęśliwy zbieg okoliczności! Wystarczy, że to, co przygotowałeś dla jednej, zastosujesz do dwóch osób!

— To nie takie proste. Prawdę mówiąc, rozwiązanie zagadki jest niezwykle skomplikowane. A może nawet wcale nie ma rozwiązania.

— Dla takiego mistrza wiedzy tajemnej jak ty nie ma rzeczy niemożliwych — zaprotestował skonsternowany Uldindal.

— Wilczego obłądu nie wywołują klątwy, czary czy zaklęcia, lecz pogryzienia, a na nich się nie znam. To nie moja specjalność.

— Lecz możesz użyć gotowego zaklęcia. Lub wymyślić swoje.

— Improwizacja w moim fachu jest nie na miejscu. Uciekam się do niej tylko w ostateczności, po wypróbowaniu wszystkich innych sposobów. A to wymaga czasu.

— Król Ithian miał nadzieję, że uda się coś zrobić przed następną pełnią księżyca.

— Nie mogę nic obiecać — rzekł Kedrigern, a widząc rozczarowanie na twarzy Uldindala, dodał ciepło: — Król Ithian lubi przecież zwierzęta.

— Tak, ale nie w najbliższej rodzinie.

Argument był poważny i Kedrigern musiał przyznać heroldowi rację. Ale po chwili, wypogadzając się znowu, zaproponował:

— Podczas pełni księżyca Berzel powinna przebywać w królewskim rezerwacie. Dzięki temu nie tylko nikomu nie zrobi krzywdy, ale i sama będzie bezpieczna.

— Dobry pomysł, mistrzu, choć jest to tylko tymczasowe wyjście. A musimy szukać ostatecznego rozwiązania, zamiast próbować się przystosować.

— Znajdziemy rozwiązanie. Ale na razie nie możemy dopuścić, żeby Berzel biegała po królestwie gryząc ludzi lub co gorsza, żeby ludzie tropili ją, próbując unieszkodliwić za pomocą srebrnych strzał, czosnku czy podobnych akcesoriów.

Rozmowę przerwało im wejście Księżniczki, która oznajmiła, że ludziom Uldindala przydzielono solidne porcje chleba, sera, zimnych mięs oraz piwa. Kedrigern przedstawił jej cel misji herolda. Historia Berzel poruszyła Księżniczkę do głębi.

— Och, kochane biedactwo! Wiem, jak się czuje. Zmiany postaci są okropnie wyczerpujące, nawet jeśli dokonują się tylko raz na jakiś czas. Keddie, musisz coś zrobić — błagała, zaciskając dłonie.

— Oczywiście, moja droga. Uldindalu — zwrócił się do herolda — powtórz, proszę, Ithianowi, że zajmę się sprawą jego córki. Dam mu znać, kiedy znajdę lekarstwo.

Uldindal nie wyglądał jednak na usatysfakcjonowanego. Z wahaniem w głosie powiedział:

— Jego wysokość miał nadzieję naradzić się z wami osobiście. W imieniu króla mam zaszczyt zaprosić was jako gości honorowych do Othionu.

— Gości honorowych? — powtórzyła Księżniczka z radosnym niedowierzaniem.

— Obawiam się, że to niemożliwe — uciął Kedrigern, kierując się ku drzwiom. Księżniczka przytrzymała go za rękę.

— Chcę być gościem honorowym w Othionie. Chcę cieszyć się towarzystwem króla i księżniczki, i wszystkich wysoko urodzonych przebywających przy dworze. Chcę słuchać dworskich plotek, podziwiać turnieje, brać udział w ceremoniach i jadać przy królewskim stole. Bardzo tego pragnę.

— Othion leży zaledwie o sto mil stąd — dodał Uldindal. Kedrigern rzucił nań groźne spojrzenie.

— Decyzję zawsze łatwo jest podjąć. Zawracanie głowy zaczyna się później — całe to zamieszanie, pakowanie, niepotrzebne wydatki, mnóstwo zmarnowanego czasu.

— Takie rozumowanie prowadzi donikąd — podsumowała Księżniczka.

— Takie jest moje zdanie. Nie cierpię podróży.

— Nie możesz być takim egoistą. Berzel i Zorsch potrzebują twojej pomocy, a ja marzę o wakacjach.

— Moja droga, nie zdołam pomóc Berzel bez moich ksiąg. Tu żywo wtrącił się Uldindal:

— Wszystkie księgi w Othionie będą do waszej dyspozycji, miłościwy mistrzu.

— To nie ma znaczenia. Moja praca wymaga wąsko wyspecjalizowanego księgozbioru.

— Na żądanie króla Ithiana jego osobisty czarnoksiężnik, słynny mistrz Traffeo udostępni wam całą swoją bibliotekę.

Księżniczka rozpromieniła się.

— No proszę. Zorsch może spakować rzeczy, a Ciapek popilnuje domu. Na co jeszcze czekamy?

— Ale to sto mil stąd! Drogi toną w błocie, wszędzie grasują złodzieje i rabusie! Będę musiał zużyć mnóstwo czarów na bezpieczne przeprowadzenie nas do celu, i jeszcze więcej na powrót! — krzyczał z irytacją Kedrigern. Czuł, że przegrywa tę batalię.

Aby ułagodzić czarnoksiężnika, Uldindal pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Nie musicie się obawiać o bezpieczeństwo w podróży, mistrzu. Król Ithian osobiście wybrał ośmiu najlepszych zbrojnych z Othionu, którzy przybyli tu ze mną, aby was eskortować. Kiedy księżniczka Berzel będzie znowu jej książecą wysokością, odprowa-

dzą was również do domu. Jako zapłatę otrzymacie dwieście koron w złocie.

Na wzmiankę o okrągłej sumce powieki Kedrigerna drgnęły. Nie odezwał się jednak ani słowem. Zamiast niego głos zabrała Księżniczka:

— Zostaw nas teraz, Uldindalu. Musimy porozmawiać.

— Tak, pani. Już odchodzę — wycofał się herold, kłaniając się nisko.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Księżniczka z założonymi rękami stanęła przed czar-noksiężnikiem. Wyglądała groźnie. Kedrigern starał się unikać jej wzroku.

— Jesteś nieznośny — zaczęła srogo.

— Cóż, nie mam ochoty jechać do Othionu — wymamrotał.

— Czemu nie, u licha? Nie będziesz musiał marnować żadnych czarów na ochronę w podróży, skorzystamy z królewskiej gościny, a przy tym wynagrodzenie jest bajecz-ne. Poza tym Berzel potrzebuje teraz bliskiej przyjaciółki. My, księżniczki, musimy się wspierać w potrzebie. Po prostu musimy jechać i już! Czy masz jeszcze jakieś wąpli-wości?

— Nie chcę korzystać z cudzych ksiąg. Chcę używać swoich. I do tego w swojej pra-cowni. Praca w Othionie zajmie mi dwa razy więcej czasu.

— Będziesz miał pod ręką drugiego czarnoksiężnika. To raczej pozwoli skrócić czas badań o połowę.

Kedrigern potrząsnął głową.

— Nie z Traffeem. Podobno ma imponującą bibliotekę, ale chodzą słuchy, że nie jest dobrym czarnoksiężnikiem.

— Tym bardziej będzie mu zależało, żebyś jak najszybciej skończył i wyjechał.

— Tym bardziej będzie się starał przeszkadzać mi w pracy, żeby podać w wątpliwość moje kwalifikacje — odparł cierpko Kedrigern.

— Dobrze więc: ja będę ci pomagać, a Traffea gdzieś wyślemy. I po kłopotcie.

— Jeśli chodzi o moją pracę... powiedzmy, że tak. — Kedrigern zawiesił głos, a po chwili podjął ze zniechęceniem: — Ale na eskortę w drodze powrotnej nie ma co li-czyć. Z wynagrodzenia też Ithian potrąci, ile się da. Tak wyglądają interesy z królami. Wiem coś o tym. Najpierw obiecują ci złote góry, a kiedy mają już to, o co prosili, wy-cofują się.

— Nie zapominaj, że ja też pochodzę z królewskiego rodu — zauważyła Księżniczka lodowatym tonem.

— Ty jesteś inna. Obydwoje o tym wiemy.

— Jedno z nas czasem nie pamięta.

Zapadło milczenie. Czarnoksiężnik spojrział na Księżniczkę i uśmiechnął się. Nie za-reagowała. Westchnął głęboko. Przez dłuższą chwilę w komnacie panowała głęboka cisza.

— Cóż, jeśli mi pomożesz, nie potrwa to tak długo. Możliwe też, że Traffeo posiada

księgi, których od dawna poszukuję. A jeśli Ithian będzie próbował się wycofać z obietnic, podejmę stanowcze kroki — zaczął Kedrigern z ociąganiem. — Toteż chyba...

Rysy Księżniczki złagodniały.

— Jedziemy do Othionu?

— Jedziemy! — poddał się czarnoksiężnik.

* * *

Podróż bardzo podobała się Księżniczce. Uldindal okazał się niewyczerpaną kopalnią dworskich ploteczek i anegdotek. Była to nieosiągalna na Górze Cichego Gromu rozrywka, za którą Księżniczka skrycie tęskniła. Choć niewiele pamiętała z dzieciństwa spędzonego na dworze rodziców, wciąż wykazywała ogromne zainteresowanie życiem wysoko urodzonych. Była więc ogromnie szczęśliwa, mogąc słuchać o sprawach godnych jej królewskiej krwi.

Uldindal ze swej strony tak był zadowolony z pomyślnego zakończenia swojej misji i powrotu do domu, że dokładał wszelkich starań, aby być usłużnym we wszystkim. Zorsch, choć początkowo rozczarowany tym, że przestał być jedynym obiektem starań Kedrigerna, ostatecznie uznał tę okoliczność za sprzyjającą szybszemu odnalezieniu kontrzaklęcia lub innego sposobu przeciw wilczemu obłędowi i nabrał otuchy. Do następnej pełni księżyca pozostały jeszcze dwa tygodnie — do tego czasu powinni dotrzeć do Othionu; przy odrobinie szczęścia może będzie mógł uniknąć przemiany w wilkołaka. Na tę myśl poweselał i odtąd bawił towarzystwo wesołymi historyjkami, radosnymi piosenkami i całkiem udatnym pogwizdywaniem.

Kedrigern z kolei słodził sobie trudy znieawidzonej podróży perspektywą sowitej zapłaty. Kiedy mu się to sprzykrzyło, zwrócił swe myśli ku bibliotece Traffea i wyposażeniu jego pracowni. Na pewno były doskonałe. Othion był bogatym królestwem, a Ithian uchodził za hojnego patrona badań wszelkich, w szczególności takich, które mogły okazać się przydatne w nieszczęściu. Należał do nielicznych władców, którzy umieli czytać i wykorzystywali tę umiejętność. Bibliotece jego osobistego czarnoksiężnika na pewno niczego nie brakowało, a i sprzęt czarnoksięski miał Traffeo najlepszy z możliwych.

Sam Traffeo jednak — to dopiero twardy orzech do zgryzienia. Kedrigern nie mógł pozwolić sobie na zignorowanie królewskiego czarnoksiężnika. Byłoby to nie na miejscu. Nie chciał też jego pomocy, choć zapewne jakiś pomocnik by mu się przydał. Miał nadzieję, że wystarczy asysta Księżniczki, która posiadała wrodzony dar wykonywania sztuk magicznych, a poza tym była godna zaufania. Niestety, ciągle się jeszcze uczyła i miała przed sobą długą drogę do poznania wszystkich zawiłości zaklęć. Na razie jej czary zbyt często wywoływały nieprzewidziane komplikacje. Co prawda doświadczonym czarnoksiężnikom też się to przytrafiało od czasu do czasu. Taka jest magia — nie ma w niej nic pewnego.

Starasz się, postępujesz zgodnie z uczonymi wskazówkami i czekasz na wspaniały rezultat. A ten wspaniały rezultat może się okazać totalną klęską, jeśli się współpracuje z czarnoksiężnikiem o wątpliwych umiejętnościach i zranionej dumie, zmuszonym do okazywania gościnności. Kedrigern rozważał to przez chwilę, po czym z ulgą powrócił do rozmyślań o obiecanej zapłacie.

* * *

Kedrigern i Księżniczka podróżowali do Othionu na wierzchowcach z własnej stajni; uznali je za najlepsze na tę okazję. Jej koń był jasnej, opalizującej w świetle maści. Boki okrywał mu bogaty, biało-złoty czaprak. Księżniczka, podróżując na nim, wyglądała jak cudowne zjawisko, ujeżdżające słoneczny promień.

Rosły rumak Kedrigerna był czarny i lśniący jak wypolerowany onyks. Toczył wokół czerwonym, ognistym okiem i strzelał srebrzystymi kopytami. Z czoła wyrastał mu wspaniały srebrny róg długości męskiego ramienia.

Ponuro milczący czarnoksiężnik i jego groźnie wyglądający wierzchowiec sprawili, że zbrojni woleli trzymać się z daleka. Dopiero w ostatnim dniu podróży jeden z nich zebrał się na odwagę, by zbliżyć się do Kedrigerna. Uśmiechnął się i skinął głową na powitanie.

— Dobry dzionek, jaśnie panie czarnoksiężniku — wyjąkał głosem dudniącym jak ze studni. — Niezgorszego macie konia.

— To czarodziejski rumak — odparł Kedrigern, poklepując z czułością i dumą szyję zwierzęcia.

— Nazywa się jakoś?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Ja nie poważyłem się na zuchwalstwo wymyślenia imienia dla takiego rumaka.

Strażnik zmarszczył krzaczaste brwi, aż cień padł na jego garbaty nos i pokryte bliznami policzki. Chwilę ważył słowa czarnoksiężnika, a w końcu uroczyście orzekł:

— Dobrze prawicie.

— A ty jak się nazywasz?

— Zwą mnie Kolma, jaśnie panie czarnoksiężniku.

— To nietutejsze imię.

— Nie, panie. Urodziłem się na wschodzie, na płaskowyżu za górami.

— A więc zwiedziłeś kawał świata w życiu, co?

— O tak. Jeszcze jaki — potwierdził Kolma, uśmiechając się leciutko do wspomnień. — Morza i łądy, tętniące życiem królestwa i wymarłe pustynie, góry i doliny. Byłem rozbitkiem, galernikiem, zwycięzcą królewskich turniejów... Brałem udział w oblężeniu Meodahad i w bitwie czterech flotylli pod Sammidar. Łupiłem Pałac z Kości Słoniowej. A kiedyś... — urwał, rozejrzał się uważnie dookoła, potem nachylił się ku czarnoksięż-

nikowi i, zniżając głos, dokończył: — Kiedyś przemierzyłem Pustkowie Przegranych Władców.

— Trudna podróż — czarnoksiężnik pokiwał współczująco głową.

— Straszna, panie. Trzydziestu nas wyruszyło z Gospody na Skraju. Do gór granicznych dotarłem dwa miesiące później całkiem sam, wlokąc się na czworakach, oszalały z przerażenia.

Przez rok dochodziłem do siebie. Nie chcę pamiętać tej okropnej wyprawy. Czasem wspomnienia wracają do mnie we śnie i budzę się z krzykiem... Przekłete miejsce, panie, przekłete.

— Już nie, Kolmo. Teraz zieleni się tam trawa i kwitną kwiaty. Drzewa stoją całe w pączkach, a w strumieniach znów słodko szemrze krystalicznie czysta woda. Pustkowie stało się całkiem przyjemną krainą.

— Pustkowie... przyjemną krainą? — Zdumienie zagościło na twarzy strażnika. — Jak to możliwe? Któż był w mocy dokonać takiego cudu?

Kedrigern, spuściwszy oczy, uśmiechnął się skromnie i niedbale machnął ręką.

— Zrobiłem, co mogłem.

— Wy, jaśnie panie czarodzieju?

Kedrigern przytaknął. Kolma zamilkł z otwartymi ustami. Przez chwilę jechali w ciszy, przerywanej jedynie miarowym odgłosem końskich kopyt uderzających o twardą ziemię. W końcu przemówił czarnoksiężnik:

— Prawdę mówiąc, tam zdobyliśmy z żoną nasze wierzchowce. Zdarzyło się to podczas wielkiej erupcji nagromadzonej przez lata magii. Wybuch rozprzestrzenił się we wszystkich kierunkach. Cóż tam się działo! Transformacje, transmutacje, przeniesienia, zaczarowania, odczarowania. Mieliśmy pełne ręce roboty. Jako czarnoksiężnik cieszyłem się, mogąc zdobyć tyle doświadczenia, lecz nie chciałbym tego przeżyć ponownie.

Nagle gdzieś nad ich głowami zabrzmiał słodki głosik:

— To Othion! Widzę go już! Ach, jak wspaniale!

Kedrigern spojrział do góry. To Księżniczka, wzbivszy się ponad wierzchołki drzew, wypatrywała celu ich podróży, przysłaniając oczy dłonią. Pomachał jej ręką, a wtedy sfrunęła łagodnie i zawisła przy nim. Jej skrzydełka trzepotały z cichym brzęczeniem.

— Nigdy mi nie mówiłeś, że Othion jest taki ładny, Keddie! Prześliczne miasto! Ach, to będzie wspaniała wizyta, czuję to! — wykrzykiwała, z podnieceniem klaszcząc w dłonie.

— Byłem tu grubo ponad dwadzieścia lat temu. Bliżej dwudziestu pięciu. Miasto zapewne zdążyło rozkwitnąć przez ten czas.

— Całe jest otoczone wspaniałym murem z białego kamienia. Widziałam też wieże wartownicze i pełno kolorowych proporców wszędzie, i przepyszny pałac.

— Przypominam sobie, rzeczywiście Ithian miał miły pałac. Może trochę zbyt rozle-

gły, ale niewątpliwie imponujący.

— Dostrzegłam też pięknie zaprojektowane ogrody. Teraz jeszcze nic nie kwitnie, ale latem będą zachwycające.

Kedrigern zgodził się z żoną.

— Ojca Ithiana nazywano Gurnianem Zielonokciukim. Oczywiście wcale nie miał zielonych kciuków, nadano mu taki przydomek z powodu jego niezwykłych talentów ogrodniczych.

— Utrzymując obecne tempo, staniemy w Othionie koło południa. Rzucę jeszcze raz okiem — zdecydowała Księżniczka, poczym poszybowała w górę.

Od chwili pojawienia się Księżniczki Kolma nie odezwał się ani razu. Teraz jednak oblizął wargi i rozejrzawszy się chyłkiem wokół, rzekł cicho:

— Jaśnie pani ma skrzydła.

— Tak. Bardzo wygodnie jest mieć skrzydła.

— Ona fruwa — dodał jeszcze ciszej.

— O tak. Uwielbia to. Przy takiej pogodzie jak dziś trudno ją powstrzymać — odpowiedział Kedrigern, śmiejąc się dobrodusznie.

— Czy ona jest wróżką? Albo... czarownicą?

— Och, nie. Skądże znowu. Jest najzwyczajszą księżniczką, tyle że ma skrzydła. Pochodzą z Pustkowiec Przegranych Władców, tak jak nasze wierzchowce.

Kolma odsunął się z koniem na bezpieczniejszą odległość. Przez dłuższy czas przyglądał się z respektem Kedrigernowi, a potem, ponownie oblizawszy wargi i odchrząknawszy, zapytał:

— A wy, jaśnie panie czarodzieju, co zdobyliście na tamym pustkowiu?

Czarnoksiężnik zastanawiał się chwilę. Wreszcie odwrócił się do strażnika i z uśmiechem sfinksa odrzekł:

— Doświadczenie, Kolmo... oraz parę nowych sztuczek.

4. Z Ithianem w Othionie

Kiedy wynurzyli się z lasu i ujrzeni w oddali zarysy Othionu, Uldindal zarządził postój. Na jego komendę trębacze podjechali na szczyt pagórka. Tam zsiadli z koni i z namaszczeniem zaczęli przygotowywać instrumenty.

— Musimy uroczyście obwieścić nasze przybycie — poinformował herold Kedrigerna i Księżniczkę.

Dał znak dłonią. Trębacze odwrócili się w stronę miasta i unieśli instrumenty. W sekundę później rozbrzmiały wyszukane fanfary. Słuchając ich, Kedrigern dla zabicia czasu począł odliczać uderzenia swojego pulsu. Doszedł do czterdziestu dwóch uderzeń. Ledwie ucichły ostatnie dźwięki, a już odpowiedziały fanfary z murów Othionu. Tym razem czarnoksiężnik doliczył do sześćdziesięciu siedmiu.

Uldindal ucieszył się.

— Zauważono nas. Teraz musimy się przedstawić — stwierdził, machając drugą dłonią.

Kedrigern odliczył osiemdziesiąt dziewięć, nim grajkowie umilkli. Oddychali ciężko, twarze im poczerwieniały z wysiłku. Odpowiedź Othionu trwała przez sto szesnaście uderzeń pulsu czarnoksiężnika.

— A teraz najważniejsze. Musimy ogłosić, że nasza misja zakończyła się powodzeniem — zawyrokował Uldindal i skinął na trębaczy.

Sukces wyprawy został obwieszczony krótką, lecz pełną werwy melodią. Kiedy przebrzmiała, obydwaj grajkowie chwiali się na nogach. Jeden z nich musiał nawet oprzeć się o wierzchowca. Odpowiedź z miasta też nie była długa, lecz znacznie mniej skoczna.

Uldindal żywo zatarł dłonie.

— Jego wysokość jest zadowolony. Możemy poprosić o pozwolenie na wjazd do Othionu — oznajmił.

Kedrigern i Księżniczka spojrzeli na siebie z przerażeniem, po czym odwrócili się do Uldindala. Ten jednak nie wydawał się przejęty. Sami trębacze też nie wyrażali żadnych obaw, a ich rumieńce zdążyły już lekko przyblednąć. Prośba o zgodę na wjazd do miasta rozbrzmiewała przez dziewięćdziesiąt jeden jednostek pomiarowych. Tym razem trąbki

nie brzmiały już tak czysto jak poprzednio. Uldindal podskakiwał przy każdej fałszywie odegranej nucie. Po zakończeniu gry purpurowe i spocone twarze trębaczy przypominały dwa pięknie wypolerowane jabłuszka ze straganu. Na odpowiedź Othionu nie trzeba było długo czekać.

Kiedy jednak grajkowie zaczęli przygotowywać się do następnego występu, Kedrigern nie wytrzymał i krzyknął:

— Czyż to ma trwać do wieczora? Ci ludzie zaraz gotowi eksplodować!

— Już kończymy, jasnie panie. Musimy potwierdzić przyjęcie zgody na wjazd, tego wymaga protokół.

Przyjęcie zgody potwierdzono krótkim, melodyjnym motywem na trzy nuty, odegranym po kolei przez każdego z grajków. Potem Uldindal dopilnował sprawnego ustawienia orszaku. Ruszyli spiesznie ku bramom miasta, które otwarły się przed nimi szeroko.

Ulice w Othionie były gładko wybrukowane i nad wyraz dobrze utrzymane. Zdziwiająco schludnie prezentowali się sami mieszkańcy; większość paradowała w szarych strojach. Podróżni podziwiali wymiecione ganki mijanych domów, wyszorowane schody wejściowe i świeżo pomalowane szare fasady kilkunastu budynków po drodze. Dominowała szara barwa, a wszystko lśniło czystością. Kiedy kawalkada zbliżała się do pałacu, rozległy się dźwięki dzwonów. Księżniczka pomachała do grupki przyglądających się dzieci, a one ochoczo jej odpowiedziały w ten sam sposób, piszcząc przy tym i wykrzykując pozdrowienia. Dwie kobiety zaczęły rzucać kwiaty, a wkrótce dołączyło do nich więcej.

— Wyglądają, jakby cieszyli się z naszego przyjazdu — stwierdziła Księżniczka.

— O tak, pani, bardzo się cieszą — zapewnił ją Uldindal. — Mieszkańcy Othionu kochają króla Ithiana i jego córkę. Są więc życzliwi wobec ich przyjaciół.

— Jak miło. Dobrzy z nich poddani. Czy mogłabym trochę pofruwać? To zrobi na nich wrażenie.

Kedrigern zmarszczył brwi i pokręcił głową.

— To zbyt niebezpieczne, moja droga. Trzeba uważać na szczyty dachów i szyldy sklepów. Możesz zranić się w głowę.

Księżniczka rozejrzała się wokół. Niektóre szczyty dachów dzieliła przez ulicę odległość nie dłuższa niż ludzkie ramię. Bogato rzeźbione, pełne spiczastych zdobień kalenice, odpływy rynien i krokwie w wielu domach niebezpiecznie wystawały poza obręb dachu. Ciężkie, zdobione ornamentami szyldy sklepów, zawieszane na przypominających włócznie drążkach, kołysały się tuż nad głowami jeźdźców. Mówiąc krótko, poruszanie się w przestrzeni powietrznej w Othionie rzeczywiście stanowiło nie lada ryzyko.

— Mogłabyś, pani, pofruwać nad murem obronnym — doradził Uldindal. — Albo

nad polem turniejowym.

— Świetny pomysł. Później tak zrobię — odparła Księżniczka, uśmiechając się i kiwając do grupy głośno wiwatujących żaków.

Pnącą się pod górę drogą podjechali do bram pałacu, usytuowanego w najwyższej położonym punkcie Othionu. Bramy otwarły się przed nimi bezszelestnie i równie cicho zamknęły, odgradzając ich od gminu. Król Ithian w otoczeniu tłumu znamienitych dworzan, członków rodziny królewskiej, żołnierzy oraz co znaczniejszej służby oczekiwał podróżnych na schodach wiodących do pałacu.

Ithian był przystojnym mężczyzną w sile wieku. Z ramion spływał mu szary płaszcz, pod nim był ubrany na czarno; ten strój uwydatniał zgrabną sylwetkę króla. Z tyłu za Ithianem stała szczupła dziewczyna o delikatnych rysach, ubrana w obszyty dość pospolitym futrem szary płaszcz z kapturem.

— Czy to Berzel? — zapytała Księżniczka.

— Tak, to nasza nieszczęsna księżniczka — potwierdził Uldindal.

— Urocza — pochwaliła Księżniczka, powstrzymując się od komentarzy na temat stroju dziewczyny.

— Księżniczka Berzel jest światłem Othionu. Wszyscy ją kochają za wdzięk i urodę, za nieustającą chęć niesienia innym pomocy. Krążą słuchy, że nawet w skórze wilkołaka zachowuje się szlachetnie. Ach, cóż za nieszczęście ją spotkało!

— Głowa do góry. Mój mąż coś na to zaradzi.

— Głęboko w to wierzymy.

— A ja mu pomogę.

— Tym głębiej wierzymy, pani. A teraz wybacz mi, proszę...

Uldindal dał znak ręką i orszak zatrzymał się w odległości około dziesięciu kroków od schodów. Eskorta ustawiła się z prawego i lewego boku Kedrigerna i Księżniczki. Uldindal zsiadł z konia i dostojnym krokiem wspiął się na schody. Ukląkł u stóp króla, by zaanonsować gości.

— Wierzyłem, że zechcesz przyjechać, Kedrigernie! — zawołał Ithian silnym i głębokim, lecz przytłumionym wskutek smutku głosem.

Kedrigern zsiadł z wierzchowca i począł wchodzić po schodach. Król Ithian w tym samym czasie zszedł na pierwszą platformę tak szeroką, że z powodzeniem mógł na niej zawrócić powóz. Tam się spotkali. Król przywitał czarnoksiężnika słowami: — Oto znowu przybyłeś, by udzielić mi pomocy. Doceniam twe oddanie.

— Dla ciebie, Ithianie, uczynię wszystko co w mojej mocy — zapewnił go Kedrigern.

Uściskali się serdecznie. Potem król objął Kedrigerna ramieniem, mówiąc:

— W tobie cała nadzieja, choć nie mamy wielkich złudzeń. Stan Berzel jest bardzo ciężki.

— To prawda. Co gorsza, przyczyną jej cierpień jest pogryzienie. A ja umiem odwracać tylko skutki klątw i zaklęć... — Kedrigern kręcił głową z zakłopotaniem.

— Jeśli istnieje jakieś lekarstwo, tylko ty możesz je znaleźć — zawyrokował Ithian, poklepując Kedrigerna po plecach. — W przeciwnym razie nie ma dla niej nadziei.

Na widok serdecznych gestów przyjaźni między obydwoma mężami zgromadzony tłum zaczął głośno wiwatować. Ithian pomachał im dłonią, a wówczas okrzyki wzmożyły się jeszcze.

— Nie wolno tak mówić, Ithianie — upomniał króla czarnoksiężnik, przesyłając wszem wobec ukłony i uśmiechy. — Nadzieja jest zawsze.

— Nie w tym przypadku. Liczyliśmy, że w odpowiednim czasie Berzel wyjdzie za mąż, by podtrzymać nasz królewski ród.

— Wciąż jest to możliwe.

Ithian spojrział groźnie.

— Chcemy mieć normalne wnuki, a nie wilczki.

— No tak, to jest pewien kłopot — przyznał Kedrigern.

— Któż poślubi kobietę, nawet tak słodką, miłą i śliczną jak nasza ukochana córka, która co miesiąc, przy pełni księżyca, zamienia się w wilka? Wyobrażasz sobie, jaki posag musielibyśmy zaoferować? Nie starczyłoby nań bogactw Othionu ani sąsiednich królestw razem wziętych.

— Kolejny kłopot — zgodził się czarnoksiężnik. — Zdaje się, że pracy mi nie zabraknie.

— Biblioteka naszego królewskiego czarnoksiężnika jest do twojej dyspozycji. Traffeo udzieli ci wszelkiej pomocy. Czy przybywa z tobą ktoś ze służby?

— Tylko jeden młody człowiek, dotknięty podobnym nieszczęściem jak twoja córka. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

— Nic zgoła. Jeśli przy okazji przysłużysz się jeszcze komuś, uradujesz Berzel ogromnie. Jest wyjątkowo wspaniałomyślna.

— Poza tym przyjechała ze mną...

— Wielkie nieba! — wykrzyknął Ithian, cofając się ze zdumieniem.

To Księżniczka, odsunawszy poły płaszcza, rozwinęła skrzydła i, szybując łagodnie w powietrzu, zbliżała się ku nim z najsłodszy z uśmiechów. W promieniach słońca jej diadem i różdżka lśniły jasnym blaskiem, a stojący na uboczu przezroczysty rumak mienił się tęczowo.

Zgromadzona ciżba najpierw zamarła w zadziwieniu, potem zaczęła bić brawo. Księżniczka pozdrowiła ich, czym wzbudziła jeszcze większy entuzjazm.

— Ithianie, pozwól, że ci przedstawię... — zaczął Kedrigern.

— Swoją matkę chrzestną, czarodziejkę! — wymknęło się Ithianowi.

— ...moją żonę, Księżniczkę — dokończył czarnoksiężnik. — Księżniczko, oto Ithian

z Othionu.

Księżniczka wylądowała i wdzięcznie się kłaniając, odparła:

— Jestem zaszczyczona. Jak miło znaleźć się znowu w towarzystwie prawdziwego króla.

— Żona? — dziwił się Ithian, spoglądając to na Kedrigerna, to na Księżniczkę. — Na pewno nie jesteś matką chrzestną, dobrą wróżką z bajki?

— Ani trochę, wasza wysokość.

— Ale masz takie skrzydła, delikatne jak pajęczyna, i różdżkę...

— Owszem, mam, lecz cóż z tego? Zapewniam waszą wysokość, że poza tym jestem najzwyczajszą księżniczką.

— Tak, rozumiem — zgodził się uprzejmie Ithian, choć ton jego głosu i wyraz twarzy przeczyły tym słowom. Jako człowiek dobrze ułożony i gospodarz zarazem nie mógł jednak powiedzieć nic innego. Uśmiechając się mile, podniósł dłoń Księżniczki do ust i złożył na niej pocałunek. Odpłaciła mu ciepłym uśmiechem. Tłum wzniósł radosny okrzyk.

— Czy możemy porozmawiać z Berzel? Powinniśmy jak najszybciej zabrać się do pracy — stwierdził Kedrigern.

— Tak. Oczywiście. Natychmiast — ocknął się król. Odwrócił się i wyciągnął dłoń ku córce. Podeszła do nich z pochyloną głową, skromnie spuściwszy oczy. — Berzel, drogie dziecko, poznaj człowieka, który wybawi cię z nieszczęścia... oraz jego uroczą żonę.

Berzel dygnęła. Słodkim, dziecięcym głosikiem przywitała gości:

— Wielce jesteście uprzejmi, przybywając z tak daleka specjalnie dla mnie.

— To dla nas przyjemność i zaszczyt, młoda damo — ceremonialnie huknął czarnoksiężnik. — Jeszcze dziś zajmę się tą sprawą i nie spocznę, dopóki nie rozwiążę zagadki.

Księżniczka podeszła do Berzel i ujęła jej dłonie. Pełnym macierzyńskiej czułości głosem zwróciła się do dziewczyny:

— Kochane maleństwo. Wiem, co czujesz. Lecz bądź dobrej myśli, zdejmujemy z ciebie ten czar.

— Dziękuję, pani. Jestem wdzięczna za współczucie. Jednak nikt nie może wiedzieć, co naprawdę czuję — odparła Berzel ze znużeniem.

Uściskawszy krzepiąco dłonie panny, Księżniczka powiedziała:

— Ja wiem. Sama kiedyś przeżyłam podobne nieszczęście i dopiero ten oto czarnoksiężnik mnie wyzwolił.

Berzel drgnęła i utkwiała w Księżniczce okrągłe ze zdumienia oczy.

— Byłaś wilkiem, pani?

— Nie, kochanie, ropuchą. Byłam ropuchą przez wiele dni i nocy. Trwało to tak długo, że niemal porzuciłam wszelkie nadzieje. Aż w końcu pojawił się Kedrigern

z Cichego Gromu.

— Byłaś ropuchą przez cały dzień? Bez przerwy?

— Nawet najmniejszej. Najbardziej męczyło mnie jednak mieszkanie na moczarach. To doprawdy nic przyjemnego — podsumowała Księżniczka.

Berzel miała oczy pełne łez.

— Biedna Księżniczka! Mnie przyprawia o dreszcze sama myśl o tym, że tylko na jedną krótką noc w miesiącu zamieniam się w wilka. Cóż przeszłaś ty, pani, pozostając ropuchą nieprzerwanie... Ach! — i rzuciła się z płaczem w ramiona Księżniczki.

Rozległy się kolejne gromkie owacje, co najmniej dwanaście kapeluszy wystrzeliło w powietrze.

Kiedy Berzel i Księżniczka drżącymi ze wzruszenia głosami użalały się nad sobą wzajemnie i wypłakiwały w rękaw, Ithian odciągnął Kedrigerna na bok.

— Oto cała Berzel. Serce na dłoni. Zaledwie za cztery dni ma się zamienić w wilka, a opłakuje przebrzmiałe nieszczęścia dopiero co poznanej kobiety.

— Urocze dziecko. Dobrze ją wychowałeś. Chyba trochę przypomina matkę.

Ithian gwałtownie zacisnął dłoń na ramieniu Kedrigerna. Drugą dłonią zakrył oczy i wyszeptał:

— Jej matkę! O tak, jest niezwykle podobna do Kanvaniry, naszej utraconej miłości.

— Spokojnie, Ithianie — prosił czarnoksiężnik.

— Tak, oczywiście. Wybacz, Kedrigernie. — Ithian wyprostował się i obrzucił zebraną ciżbę wyniosłym królewskim spojrzeniem, czym wywołał kilka wiernopoddańczych okrzyków: „Niech żyje król Ithian!”. Podziękował skinieniem głowy oraz kiwnięciem dłoni, po czym ponownie zwrócił się do czarnoksiężnika: — Nigdy nie pogodziliśmy się z tą stratą... Chociaż, prawdę mówiąc, o wiele bardziej cierpi nasza mała dziewczynka, wzrastając bez matki. Nie ma do kogo zwrócić się w potrzebie. Szczególnie teraz, gdy nastał dla nas czas próby...

— Księżniczka, moja żona, na pewno jej pomoże. Jest bardzo czuła. Nalegała, by tu przybyć, gdyż uważa, że księżniczki powinny się wspierać wzajemnie.

— Wspaniała kobieta, Kedrigernie. Szczęściarz z ciebie.

— O tak — potwierdził Kedrigern. Po dłuższej chwili milczenia odezwał się ponownie: — Powiedz, Ithianie, czy nigdy... Wiem, że bardzo kochałeś Kanyanirę, ale czy nikt... To jest... Czy przez te wszystkie lata nie pomyślałeś nigdy...

— O ponownym ożenku?

— Tak.

— Nalegano, bym to uczynił dla dobra Othionu, Berzel i swojego szczęścia — przyznał Ithian. — Ale nie znaleźliśmy nikogo odpowiedniego. W dzisiejszych czasach trudno o piękne księżniczki, które nadawałyby się na żonę.

— Nic dziwnego. Wszystkie, które znam, miały podobne przejścia jak Berzel. Jedna

zamieniała się w muchę, inna — na przemian w miecz lub maczugę, gdy tymczasem jej siostra udawała koronę. Ich kuzynka zaś służyła pewnej wróżce jako różdżka.

— Zawierasz niecodzienne znajomości.

— To prawda. Niestety, wszystkie księżniczki uwikłane są w czary.

— Zdumiewające — dziwił się Ithian, kręcąc głową.

— I moja żona nie uniknęła tego losu. Poznałem ją, kiedy męczyła się w skórze ropuchy.

— Doprawdy wyszła z tego bez szwanku — z podziwem odparł król, z aprobatą spoglądając na Księżniczkę, która nieopodal, przy cichym aplauzie zgromadzonej widowni, dokładała wszelkich starań, by podtrzymać na duchu Berzel.

— O tak. Udało się wszystkim, z wyjątkiem Laloree, chociaż chyba w końcu i ona się szczęśliwie wykaraskała. W każdym razie zażywa radości udanego małżeństwa. W ten sposób przyczyniła się do ograniczenia i tak skąpych zasobów księżniczek na wydaniu.

— Przypuśćmy, że znalazłby się ktoś godny naszych względów... Gdyby związek ten został pobłogosławiony dzieckiem, wówczas wzrosłyby szansę na sukcesję tronu, nawet gdyby nie udało się uleczyć Berzel — zamyślił się Ithian.

— Uratuję Berzel — uciał Kedrigern. — A ty, Ithianie, nie poddawaj się zwątpieniu. Przypomnij sobie nasze zmagania z ludojadem.

— O, pamiętam doskonale. Wierzę w twoje zdolności. Cieszę się, że przybyłeś tu razem z Księżniczką. Pójdź, nasz honorowy gościu. Othion i jego władca są na twoje rozkazy. — Ithian ujął czarnoksiężnika i jego żonę pod ręce i dostojnym krokiem powiodł ich w górę ku drzwiom pałacowym. Za nimi podążała Berzel uczepiona sukien Księżniczki. Zachrypli od wiwatowania tłum z ulgą wznosił ostatni powitalny okrzyk.

Po niezwykle wykwintnym obiedzie, spożytym w pełnym napięcia milczeniu, Księżniczka z Berzel oddaliły się, a Kedrigern podążył do królewskiej biblioteki. Okazała się wymarzonym miejscem dla mola książkowego, a rajem dla bibliofila. Niestety, dla czarodzieja jej zbiory nie przedstawiały żadnej wartości. Wśród rzędów rozkosznie opasłych tomów, rozpierających się na długich półkach w iście wojskowym orydyku, Kedrigern wytropił zaledwie osiem pozycji traktujących o sztuce czarodziejskiej. Co gorsza, wszystkie osiem przeznaczone było dla początkujących adeptów magii.

Księgozbiór zawierał natomiast bogaty wybór dzieł z genealogii oraz prawdziwej i nieprawdziwej historii dziejów ludzkości, wielkie atlasy pełne map i planów rozmaitych zakątków tego świata — znanych i nie znanych, rzeczywistych i wymyślonych, zdobytych i nie zdobytych; niezliczone tomy poezji — epickiej, heroicznej, lirycznej, refleksyjnej, gawędziarskiej, satyrycznej, religijnej i mieszanej w wydaniach od ozdobnych i ciężkich woluminów do tak maleńkich książeczek, że można by je z łatwością zamknąć w dłoni; podręczniki ekonomii, filozofii, ziołolecznictwa, architektury, sztuki wojennej, ogrodnictwa, ciesiołki, budownictwa, sokolnictwa, hodowli koni, szermier-

ki, muzyki, budowy okrętów, nawigacji, myślistwa, zdobnictwa, teologii, hodowli zwierząt, heraldyki oraz etykiety dworskiej i wszelkich innych możliwych dziedzin. I tylko osiem podręczników magii, z których nikt nie nauczyłby się nawet pozbyć jednej pchły. Krótko mówiąc, zawartość biblioteki królewskiej była godna pożałowania.

Kiedy znużony i rozczarowany Kedrigern odkładał owe osiem pozycji na półkę, od drzwi dobiegło go nieśmiałe kasznięcie, znamionujące czyjeś niespodziewane nadejście. Odwróciwszy się, zobaczył wytwornego mężczyznę w wieku około dwustu lat, ubranego w błyszczące szaty czarnoksiężskie. Mężczyzna ten przyglądał mu się z mieszaniną zaciekawienia i niepokoju.

— Mistrz Kedrigern, jak sądzę? — zagadnął nieznajomy.

— To ja. A ty, panie, z pewnością jesteś mistrzem Traffeem.

— Tak, nazywam się Traffeo. Traffeo, królewski czarnoksiężnik w Othionie z nominacji jego królewskiej mości Ithiana — obwieścił Traffeo, kłaniając się zamasyście i zamiatając przy tym swą obszerną szatą posadzkę. Kabalistyczne symbole zdobiące jego tunikę załśniły w świetle świec.

— Miło mi. Mam nadzieję, że razem uda nam się uwolnić księżniczkę Berzel z mocy czaru.

Traffeo wolał natychmiast usunąć się w cień.

— Jesteś niezwykle uprzejmy. Obawiam się jednak, że mam niewiele do zaoferowania osobie z waszymi zdolnościami i osiągnięciami. Jestem do usług, chociaż więcej pożytku niż moja pomoc przyniosą wam moje księgi.

— Zbyt jesteś skromny, mistrzu Traffeo. Tytułu królewskiego czarnoksiężnika Othionu nie uzyskuje się bez odpowiednich zasług w tej dziedzinie.

— Niestety, radzę sobie tylko tam, gdzie mogę korzystać z wiedzy wyuczonej z ksiąg. Poza tym nie mam wielkich zadatków na prawdziwego czarnoksiężnika. Nie umiem sam stworzyć nic nowego w tej dziedzinie — wyjaśnił rzeczowo Traffeo, gestem dłoni powstrzymując protesty Kedrigerna. — Zdaję sobie sprawę ze swoich ograniczeń. Moje skromne osiągnięcia mogą budzić podziw u nie wtajemniczonych, ale nie wyprowadzą w pole ani nie zachwycą takiego czarnoksiężnika jak ty. Zrobię co w mojej mocy, choć nie mam wielkich złudzeń, że mógłbym się naprawdę do czegoś przydać w tej sprawie. Wiem, jak smakuje gorycz porażki. Niejeden jej kielich już wypilem w swoim życiu.

Krótką przemową Traffea zdradzała jego zgorzknienie i rezygnację. Pragnąc pocieszyć kolegę, Kedrigern rzekł:

— Przypadek Berzel jest wyjątkowo trudny. Prawdę mówiąc, wykracza poza nasze doświadczenie i wiedzę.

Traffeo westchnął głęboko.

— Zaznałem porażki na długo przed nieszczęściem naszej drogiej księżniczki. Wiem, że jestem nędzną imitacją czarnoksiężnika, nauczyłem się jednak żyć z tą hańbą. Lecz

dość już o tym, chodźmy, pokażę ci moje księgi. Przejrzałem je wszystkie i uznałem za bezużyteczne dla przypadku księżniczki. Ty jednak bez wątpienia znajdziesz w nich coś godnego uwagi.

— Razem znajdziemy rozwiązanie, Traffeo — stwierdził z mocą Kedrigern, ruszając za królewskim czarnoksiężnikiem.

Opuściwszy bibliotekę, przeszli przez hali, jedne drzwi, potem następny, trochę mniejszy hali, kolejne drzwi zamknięte na trzy okazałe zamki, po czym trafili na wąskie, kręcone schodki. Wspięli się po nich do trzecich drzwi, by na koniec znaleźć się w obszernym pomieszczeniu w pałacowej wieży. Kiedy Traffeo zapalił kaganki, z mroku wyłoniła się komnata niezwykle podobna do pracowni Kedrigerna, choć znacznie porządniej utrzymana. Na półkach wokół pracowni stały liczne księgi. Na ich widok oko Kedrigerna błysnęło — toż to jego starzy znajomi, oddani przyjaciele, wierni słudzy! Uśmiechnął się szeroko i zatarł ręce z niecierpliwością, gotów od razu zabrać się do pracy.

— To więcej, niż mogłem oczekiwać. Masz przebogata kolekcję, Traffeo. Czy mogę? — zapytał, wskazując półki.

— Oczywiście. Moje księgi są do twojej dyspozycji — odparł Traffeo.

Spojrzał żałośnie na Kedrigerna. W blasku płonących na stole świec Kedrigern mógł mu się po raz pierwszy przyjrzeć. Zamarł na chwilę, tknięty nagłym przecuciem.

— Traffeo, czy my się gdzieś spotkaliśmy? Mam wrażenie...

— Nie — uciał stanowczym tonem królewski czarnoksiężnik, odwracając twarz. — Na pewno nigdy się nie widzieliśmy.

— Skoro tak twierdzisz... Jednak przez moment twoje rysy wydały mi się znajome.

— To tylko gra światła. Jeśli pozwolisz, zostawię cię teraz samego z księgami. Czuj się jak u siebie. Możesz tu przebywać, kiedy zechcesz i jak długo sobie życzysz, korzystać ze wszystkich ksiąg, używać mojego czarnoksięskiego sprzętu — zapraszał Traffeo, kładąc na stole pęk kluczy. — Proszę wszakże o jedno; byś wychodząc z pracowni, zamykał drzwi na klucz.

— Skąd taka ostrożność?

— Okazała się niezbędna, odkąd zdobyłem kilka tomów, które nie powinny trafić w niepowołane ręce...

— Rozumiem. Obiecuję zamykać.

— Wobec tego odchodzę. — Traffeo skłonił się nisko. Opuścił komnatę, bacząc przy tym pilnie, by nie wystawić twarzy z cienia.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Kedrigern stał oszołomiony, bezmyślnie spoglądając na klucze. Potem przeniósł wzrok na drzwi. Zagadkowy ten Traffeo. Okazał się najbardziej uprzejmym, szczerym i uczynnym, a jednocześnie — najsmutniejszym z ludzi.

Jego twarz to osobna zagadka. Te oczy, sposób pochylania głowy... wydawały się niepokojąco znajome. Ich widok wywołał cień wspomnienia z zakamarków pamięci Kedrigerna. Cień, który błysnął krótko, by natychmiast się rozpuścić i ponownie po-
grążyć w mroku, wśród wielu innych cieni. Mimo wysiłków Kedrigernowi nie udało się przeniknąć ciemności tej tajemnicy. Zwykle świetnie pamiętał twarze napotykanym ludzi, ale nie potrafił odtworzyć samych okoliczności spotkania. Często prowadziło to do zabawnych nieporozumień, toteż w końcu nauczył się nie ujawniać swoich podej-
rzeń, aż do uzyskania całkowitej pewności.

Poddał się i teraz. Zresztą przyjechał tu przecież, by zajmować się Berzel, a nie Traffem. Jeśli nie znajdzie lekarstwa w ciągu zaledwie kilku najbliższych dni, biedna księżniczka znowu zamieni się w wilka. Przygotował sobie miejsce do pracy przy stole, przysunął bliżej świecę i wziął się do dzieła.

5. Księżniczka w wilczej skórze

— Chyba krótko dziś spałeś — zauważyła Księżniczka, budząc męża późnym porankiem następnego dnia. Zaspany Kedrigern powoli otwierał oczy, oślepiiony jasnym blaskiem słońca wpadającego do komnaty. — Dobrze się bawiliście z Traffeem?

— Oczywiście, że nie, moja droga — zaprzeczył Kedrigern tonem urażonej niewinności. Ziewnął i ponownie zamknął oczy.

— Zapewniam cię, że królewski czarnoksiężnik nie jest typem hulaki. A gdyby nawet był pierwszym birbantem Othionu, ja nie mam teraz czasu na swawole. Nie spocznę, nim Berzel będzie spoglądać na księżyc bez obawy, że za chwilę zaczniesz chodzić na czworakach i wyc.

— Jeśli masz tak mało czasu, wstawaj i bierz się do dzieła. Straciłeś już pół dnia. Otwieraj oczy, no już! — ponaglała Księżniczka, wyciągając mu poduszkę spod głowy i zabierając nakrycie.

— Jesteś dziś od rana niezwykle ożywiona — sarkastycznie stwierdził czarnoksiężnik.

— To z powodu miłej pogawędki z Berzel ubiegłego wieczoru. Przy bliższym poznaniu okazała się wcale nie taka małomówna i nieśmiała, jak początkowo sądziłam. Wręcz odwrotnie, uwielbia pogaduszki. To prawdziwa rozkosz móc porozmawiać o sprawach wagi państwowej z księżniczką.

— Księżniczki nie powinny rozmawiać o takich sprawach.

— No, może niezupełnie o tych najważniejszych. Ona przytoczyła mi wszystkie dworskie ploteczki, a ja opowiedziałam o Luizie i Lalloree, i innych znajomych księżniczkach. Opisałam jej też kilka epizodów z mojego życia w skórze ropuchy, ona natomiast próbowała przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów ze swoich transformacji w wilka. Niestety, nie pamięta wiele. Zorsch miał rację.

— Ty też nic nie pamiętasz — podsumował Kedrigern. Księżniczka pokręciła głową.

— Każdy najdrobniejszy szczegół z tego okresu życia wrył się w moją pamięć z przejmującą wyrazistością. To wcześniejszych wydarzeń nie pamiętam.

— Odrobinę cierpliwości, przypomnisz sobie.
— Powtarzasz to od lat.
— Nie wiemy, ile czasu spędziłaś na moczarach, a to klucz do rozwiązania zagadki. Gdybyśmy zgadli, jak długo byłaś pod wpływem czaru...
— Na szczęście, wszystko to już za mną.
— Tak, a co więcej, mamy teraz znakomitą okazję wykorzystania twoich doświadczeń i talentów — stwierdził Kedrigern, próbując ukryć potężne ziewnięcie. Usiadł na łóżku i dziecinnym gestem potarł oczy pięściami. — Pomożesz mi przejrzeć wszystkie księgi z biblioteki Traffea. Zauważyłem tam kilka ciekawych pozycji. Nauczysz się czegoś przy okazji.
— Opowiedz mi o Traffeo. Już wiem, że nie jest hulaką, a poza tym?
— Jest smutny. Usłużny, skory do pomocy, pełen dobrych chęci, ale ponury. Robi wrażenie człowieka, który utracił wiarę w siebie.
Księżniczka spojrzała nań z uwagą.
— Królewski czarnoksiężnik bez wiary w swoje siły? To dziwne.
— Owszem. Nigdy dotąd nie słyszałem o takim przypadku. Traffeo to zagadkowa postać. Napomknął coś o bolesnych błędach z przeszłości. Intryguje mnie również jego twarz.
— Czy jest brzydki?
— Och, nie. Przeciwnie, niczego sobie. Niepokoi mnie co innego. Jego twarz wydaje mi się znajoma, ale nie pamiętam, gdzie ani kiedy go spotkałem.
Księżniczka, uśmiechając się rozkosznie, poklepała Kedrigerna po głowie.
— Odrobinę cierpliwości, przypomnisz sobie, Keddie. No, chodźmy już wreszcie.

* * *

Pracownia Traffea, położona w pałacowej wieży, była oazą ciszy i spokoju. Nie docierały tu żadne odgłosy z gwarne go otoczenia: ani stukania, ani brzęki, dzwonki, turkoty, nawoływania, rżenie koni czy stukot ich kopyt. Od czasu do czasu ucho pieściły jedynie gruchania gołąbków i nagły łopot ptasich skrzydeł oraz szept wiatru w kominie lub szparach okiennych. Ta ocieniona, lecz nie ponura, przyjemnie, a nie przejmująco chłodna, przytulna, choć nie przeładowana komnata przypadła Kedrigernowi do gustu jako idealne miejsce do pracy. Księżniczka dokonała szczegółowych oględzin całego pomieszczenia, zerkając bacznie wokół i zaglądając w każdy kąt w poszukiwaniu śladów kurzu i innych trudnych do określenia substancji, których, jej zdaniem, należało się spodziewać w pracowni czarnoksiężnika. Zakończywszy inspekcję, zasiadła za stołem, by oznajmić werdykt:

— Tu jest bardzo czysto.
— Jak sądzę, Traffeo ostatnio miał dużo wolnego czasu. Trudno utrzymać porządek,

jeśli ma się zbyt wiele zajęć. — Kedrigern usprawiedliwiał własne bałaganiarstwo.

Księżniczka rzuciła mu spojrzenie, wyrażające odmienną opinię na ten temat. Zagryzła jednak wargi i nie odezwała się. Kedrigern kontynuował:

— Poprosiłem Zorscha, by przyniósł nam tu drugie śniadanie. Przy okazji pomoże dźwigać księgi. Niektórych nie sposób ruszyć z miejsca, takie są ciężkie.

— Traffeo ma zasobną bibliotekę — zauważyła Księżniczka.

— W istocie, niegorszą — przyznał Kedrigern obojętnym tonem.

— Zgromadził więcej ksiąg niż ty.

— To prawda, ale większość z nich traktuje o klątwach. Klątwy to wyjątkowo paskudna rzecz — mamrotał Kedrigern ni to do Księżniczki, ni to do siebie. Zatrzymał się przed długą półką uginającą się pod ciężarem opasłych tomów oprawionych w różne tonacje czerni.

— Ty też masz księgi o klątwach — przypomniała mu Księżniczka.

— Oczywiście, każdy czarnoksiężnik je ma. Ale ja trzymam tylko kilka. Zawierają podstawowe wiadomości, z których czasami korzystam. Tymczasem Traffeo ma chyba obsesję na punkcie klątw.

— Dlaczego klątwy są takie straszne?

— Ponieważ rodzą się z niechęci. Niektóre czary i zaklęcia pomagają ludziom, a czy kto słyszał o pożytecznych klątwach, rzuconych z życzliwości dla ofiary? Klątwy ciska się z rozpaczy w chwilach ostatecznych, kiedy zapala się stos lub opada topór kata. Są nienawistne i nikczemne. Wolę zaklęcia.

— Zaklęcia też bywają podłe. To właśnie zaklęcia wtrącały mnie w nieszczęścia.

Kedrigern uniósł dłonie w obronnym geście.

— Nie przeczę, że spotyka się czasem niegodziwe zaklęcia. Jednak klątwy zawsze są takie. Nie cierpię się nimi zajmować. A poza tym zwykle skutkują tylko połowicznie, ponieważ zbyt wiele czynników warunkuje ich działanie.

— Rozumiem, że ich nie lubisz, lecz nie umniejszaj ich wagi tylko z tego powodu.

— Słusznie, moja droga. A wracając do rzeczy: zanim wypowie się zaklęcie, należy się spokojnie zastanowić, ale jeśli chce się rzucić klątwę, trzeba pomyśleć dwa razy. Tymczasem, jak już wspomniałem, okoliczności ciskania klątw nie sprzyjają chłodnej refleksji. Przeciwnie. A kiedy ktoś zabiera się do czarów pod wpływem emocji... cóż...

— Czarnoksiężnik przysiadł na brzegu stołu. Skrzyżował ramiona i z góry spojrzał poważnie na Księżniczkę. — Czy kiedykolwiek opowiadałem ci historię Bleggendrettle, czarownicy i smakoszki? Wspaniale ilustruje, do czego prowadzi rzucanie klątw pod wpływem impulsu.

— Nie przypominam sobie, abyś mi opowiadał.

— Ta historia wydarzyła się przed wiekami. Przytoczył mi ją Fraigus, usłyszawszy ją od swoich znajomych czarownic. Bleggendrettle wyróżniała się spośród nich tym, że

fantastycznie gotowała. I to żadne tam „weź oko jaszczurki, nogę pająka” — nic z tych rzeczy, brrr! Wszystko świeże i w najlepszym gatunku. Przygotowywała posiłki, które wspominało się przez lata. Paluszki lizać. Sosy jak marzenie. A desery... — Kedrigern przymknął z lubością oczy.

— Ale co to ma wspólnego z klątwami?

— Ach tak, na czym to ja skończyłem? Otóż ktoś ukradł świnie, którą Bleggendrette przeznaczyła na główne danie pewnego bardzo ważnego obiadu. Podejrzanie padło na parobka o imieniu Grumf. W napadzie szału wiedźma sprowadziła nań największe w jej pojęciu nieszczęście: pozbawiła go węchu. Księżniczka aż podskoczyła:

— Cóż za okrucieństwo!

— Wobec smakosza, ale nie świniarczyka. Albowiem utraciwszy węch, Grumf z powodzeniem mógł zajmować się świniami. Ta zmiana zajęcia mu posłużyła. W krótkim czasie ożenił się z mądrą i piękną córką gospodarza. Dzięki żonie nabrał dobrych manier i obycia wśród ludzi, nauczył się przyzwoicie ubierać i dbać o schludny wygląd. W końcu połowica namówiła go również do zajęcia się oczyszczaniem fos. Interes świetnie prosperował, więc w ciągu pięciu lat były parobek stał się człowiekiem zamożnym. Postawił piękny dom, nabył duży kawał gruntu i przybrał nazwisko de Grumffe. Podobno szczęściło mu się także w życiu rodzinnym. Jego żona została powiernicą kilku księżniczek, a dwoje dzieci dzięki małżeństwu weszło do arystokratycznych rodzin. On sam zaś często towarzyszył miejscowemu lordowi na polowaniach i służył mu swą radą na temat rozbudowy pałacu, wzmocnienia fortyfikacji oraz odwadniania gruntów.

— Co za ulga, że wszystko skończyło się szczęśliwie! — zawołała uradowana Księżniczka.

Czarnoksiężnik potrząsnął głową, ostrzegawczo unosząc dłoń.

— Dla Grumfa. Ale nie dla Bleggendrette. Nawet jak na wiedźmę miała okropny charakterek. Dowiedziawszy się o pomyślnej odmianie losu człowieka, którego zamierzała ukarać, wpadła w straszną furję. Wrzeszczała, ciskała wszystkim, co wpadło jej w rękę, jak szalona rozbijała, co popadło. W rezultacie poraził ją atak serca i padła trupem na miejscu. Przy jej zbyt obfitych kształtach nadmierna ekscytacja okazała się bardzo niebezpieczna... Oto do czego prowadzi bezrozumne szafowanie klątwami. Bleggendrette opanowanej żądzą zemsty nigdy nie przyszło do głowy, że to, co dla niej było ciosem, dla kogoś innego mogło stać się błogosławieństwem. Jej ślepa nienawiść obróciła się w końcu przeciwko niej samej.

— Spotkała ją surowa kara — zamyśliła się Księżniczka.

— Chyba tak. Zupełnie inaczej zakończyła się historia Purna Pokójczyńskiego. Służyła nam zawsze jako niezastąpiona lekcja o ironii losu. Purn, cieszący się sławą wielkiego wojownika, zawsze i wszędzie zostawiał za sobą ruiny i zgliszcza. Aż w końcu

pewien rozgniewany tym czarnoksiężnik ukarał go utratą poczucia kierunku. Na pozór wydaje się to doskonałym sposobem ukrócenia niszczycielskiej działalności Purna — nie mogąc odnaleźć miejsca, które zamierzał obrócić w perzynę, pozostawał niegroźny. Nie trafiał na pola bitew, dzięki czemu wszędzie rozkwitał pokój. Purn zyskał powszechny szacunek, co nagradzało mu jego ułomność. Prawda wyszła na jaw dopiero wiele lat później, a w tym czasie... Któż tam znowu?

Kedrigern przerwał, słysząc kroki na schodach. Otworzył drzwi. Oczom jego ukazał się Zorsch, uginający się pod ciężarem wielkiej tacy z kawałkiem jagnięcej pieczeni na zimno, bochnem chleba, krążkiem złocistego sera, salaterką pełną owoców oraz dzbanem piwa i dwoma kuflami. Gestem dłoni czarnoksiężnik nakazał mu ją postawić na stole. Zorsch, ostrożnie wszedłszy do środka, rozejrzał się wokół z zaciekawieniem. Krocząc niepewnie, zaniósł tacę na wskazane miejsce i postawił przed Księżniczką.

— Jesteśmy ci wdzięczni, Zorschu — podziękowała mu.

— Służyć tobie, pani, jest dla mnie zaszczytem — odparł, skłaniając głowę. — Czy mogę już odejść?

— Mój mąż ma dla ciebie zajęcie.

Zorsch zbladł. Nerwowo omiótł spojrzeniem pracownię i przestąpił z nogi na nogę.

— To nic wielkiego. Potrzebna mi tylko twoja krzepa, chłopcze. — Kedrigern uśmiechnął się, by go ośmielić. — Trzeba zdjąć z półek kilka grubych i ciężkich tomów. Być może, przeniesiemy na stół także parę sprzętów czarnoksięskich, ale o tym zdecyduję później.

— I przesuniemy kilka mebli — dodała Księżniczka.

— To wszystko? Czy wtedy będę mógł odejść?

— O co chodzi, Zorschu? Nie podoba ci się pracownia Traffea? — zdziwił się Kedrigern.

— Czuję się tu nieswojo — przyznał Zorsch.

— Dlaczego, u licha? Przebywając w mojej pracowni, nie reagowałeś tak nerwowo.

— To ta komnata tak na mnie działa, panie. Ta czystość i porządek, księgi poustawiane w równych rzędach... — zawiesiwszy głos, Zorsch rozejrzał się wokół i wzdrygnął. — To mi przypomina tę przekłętą bibliotekę.

— Jaką bibliotekę, Zorschu? — zainteresowała się Księżniczka.

— W opactwie, pani, gdzie spędziłem zimę.

— A co tam się z tobą działo, kiedy nastąpiła pełnia księżyca?

— Wymykałem się do lasu, pani.

— Och, biedaku — westchnęła Księżniczka — to okropne.

— Na szczęście nie marzłem. W grubym, ciepłym futrze wilka zimowe chłody nie były mi straszne, a poza tym wymykając się, brałem ciepłe odzienie. Ale okrutnie cierpiałem, gdyż wracałem w fatalnym stanie, poharatany, obdarty i wycieńczony. Bardzo

mnie to przygnębiało.

— Z całej mocy pragniemy ci pomóc, Zorschu. Może te księgi zawierają rozwiązanie zagadki. Dlaczego tak cię irytuje ich widok?

— Kiedy poczułem się lepiej, zaoferowałem mnichom swą pomoc przy różnych pracach w opactwie. Właśnie zabierali się do przebudowy biblioteki, więc wysłali mnie tam, abym prznosił księgi.

— Raczej spokojne zajęcie — skwitował czarnoksiężnik.

— O tak, panie. Spędzałem czas przyjemnie, nie męcząc się zbyt. Zdażyłem też polubić mnichów. Aż pewnego dnia pojawił się braciszek, którego wcześniej nie widziałem, i poprosił mnie o pomoc w dźwiganiu ksiąg z innej części biblioteki. Zeszliśmy schodami kilka kondygnacji w głąb budynku, do pomieszczenia mieszczącego się we wnętrzu dwóch innych, większych. Komnata wewnątrz komnaty wewnątrz komnaty. Choć z powodu przyćmionego światła ledwie co widziałem, zakonnik przed podaniem mi ksiąg dodatkowo przykrywał je suknem, abym przypadkiem nie odczytał tytułów. Twierdził, że czyni tak dla mojego dobra, ponieważ są to księgi przeklęte. Mówił prawdę. Choć nie widziałem nic, czułem, jak zło paruje z nich przez sukno. Od tamtej pory unikam wszelkich ksiąg. Twoje, panie, nie przerażały mnie, lecz te tutaj przyprawiają mnie o mdłości.

— Keddie, po co zakonnikom przeklęte księgi? — dociekała Księżniczka.

— Aby wiedzieli, z czym powinni się zmagać. Z tego samego powodu czarnoksiężnicy przechowują takie księgi — wyjaśnił czarnoksiężnik.

— Mistrzu Kedrigernie, czy będę je prznosił? — zapytał żalnym głosem Zorsch, zaciskając dłonie i kręcąc się niespokojnie.

— Nie wiem. Chyba nie. A jeśli nawet, to tylko o parę kroków. Nie przejmuj się tym. Pomyśl raczej, że musimy się śpieszyć. Już za trzy dni ty i Berzel... — czarnoksiężnik, rozłożywszy ręce, spojrzał na Zorscha wyczekująco.

Ten westchnął ponuro i pokiwał głową. Z ociąganiem ruszył ku półkom, pytając:

— Które księgi, panie, mam przenieść?

Kedrigern, choć wciąż ufny w swoje siły, w głębi ducha od dawna nie wierzył w możliwość odnalezienia lekarstwa dla Berzel i Zorscha przed nadejściem pełni księżyca. Sam nie był w stanie przedrzeć się przez obszerny księgozbiór Traffea w tak krótkim czasie. Królewski czarnoksiężnik tymczasem, czy to powodowany szacunkiem, czy onieśmieniem, czy też może najzwyczajniej przewrażliwiony, nie pokazywał się wcale. Kedrigern był zbyt zajęty i zbyt dumny, by po niego posyłać. Pracę zakłócały mu też częste wizyty coraz bardziej niespokojnego Ithiana. Czarnoksiężnik oddychał z ulgą, kiedy za królem i jego markotną świtą zamykały się drzwi. Zorsch, dzielnie zapanowawszy nad swoimi obawami, przerzucał księgi z półek na stół i z powrotem. Czynił to z wielką gorliwością, rosnącą z każdą upływającą minutą. Również Księżniczka poświęcała poszukiwaniom

każdą chwilę wolną od pocieszania Berzel. Lecz choć pracowali bez wytchnienia, a Kedrigern, który prawie nie sypiał i nie jadał, doprowadził siebie do skrajnego wyczerpania, wszystkie ich wysiłki pozostały daremne. Dni mijały, czas pełni księżyca zbliżał się nieubłaganie — a zagadka wciąż pozostawała nie rozwiązana.

Czarnoksiężnik ziewnął i przetarł zmęczone oczy dłonią. Księżniczka litościwie poklepała go po ramieniu. Wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń. Zorsch usadowił się za stołem naprzeciwko nich, gapiąc się nie widzącym spojrzeniem na otwartą księgę.

— Odkryję to przed następną pełnią, Zorschu, obiecuję. Znajdę odpowiedź w księgach i uleczę Berzel i ciebie — zapewnił go Kedrigern głosem zachrypłym ze zmęczenia.

— Może odpowiedź nie istnieje, nie ma żadnego lekarstwa. Może pozostanę wilkołakiem już na zawsze — smutno rozważał Zorsch, nie podnosząc oczu.

— Bzdury. Każde zaklęcie ma swoje przeciwzaklęcie. To podstawowe prawo magii. Zorsch spojrzał nań wzrokiem pozbawionym nadziei.

— Ale mnie nikt nie zaklął, nie zaczarował ani nie obrzucił klątwą, mistrzu Kedrigernie.

— Tak czy inaczej, jesteś ofiarą magii. Jej prawa dotyczą też ciebie. Nie porzucaj więc nadziei.

— I nie przejmuj się dzisiejszą pełnią księżyca — uspokajała go Księżniczka.

— Zadbam, aby otoczono cię taką samą opieką jak Berzel. Nic złego ci się nie przydarzy.

— Przeżyję, tak jak i poprzednio, pani — zapewnił ją Zorsch, wzdychając głęboko. — Zamknijcie mnie gdzieś w odosobnieniu, zaopatrzwszy w wodę i porcję krwistego mięsiwa, najlepiej z pokąsną kością w środku. To mnie zajmie na czas ciężkiej próby.

— Oczywiście, postąpimy zgodnie z twoim życzeniem. Czy dać ci też koc?

— Nie, dziękuję, pani. Noc zapowiada się ciepła, a poza tym będę w futrze.

— Może chcesz piłkę? Berzel zawsze zabiera ze sobą skórzaną piłkę. Podobno następnego ranka piłka wygląda na mocno sfatygowaną.

— Jak uważasz, pani.

— Resztę pozostaw nam, Zorschu — poprosiła Księżniczka, drapiąc go pieszczotliwie za uchem. — Keddie, powinniśmy chyba spotkać się z Ithianem i Berzel, zanim...

— Tak, tak... co? Z pewnością — przytaknął czarnoksiężnik, wyrwany z krótkiej drzemki. — Ile czasu nam zostało?

— Dwie godziny i czterdzieści jeden minut — odparł Zorsch.

— Wrócimy wkrótce, by się tobą zająć — zapewnił go Kedrigern. — Tymczasem przyjrzyj się komnacie położonej u zejścia ze schodów. Jest dostatecznie przestronna, by móc przemierzać ją susami. W wysokich oknach są kraty, a solidne drzwi nie poddadzą się łatwo. Nie zrobisz tam sobie krzywdy, a i my pójdziemy spać spokojnie, wie-

dząc, że siedzisz w zamknięciu.

— Rzucę na nią okiem — obiecał Zorsch, wstając. — Czy mogę pożyczyć wiadro na wodę do picia?

— Oczywiście.

— A czy mógłbym też pobawić się szachami mistrza Traffea? To zajmie mi myśli i skróci męki oczekiwania na najgorsze.

— Nie sądzę, by Traffeo miał coś przeciwko temu. Pójdziemy teraz poszukać ładnej sztuki mięsa dla ciebie. Naturalnie z kością.

— Na pewno nie chcesz koca? — niepokoilią się Księżniczka.

— Nie, pani. Wilki nie mają dużych wymagań.

W trójkę opuścili pracownię, zamykając za sobą drzwi. Kedrigern i Księżniczka, odprowadziwszy Zorscha do upatrzonej komnaty, udali się do apartamentów króla. Szli, nie odzywając się do siebie — zbyt wyczerpani pracą i zmartwieni brakiem rezultatu.

Kiedy wpuszczono ich do królewskiej komnaty, zastali tam Ithiana, który niepomyślnie obecności swojej świty i dam dworu, na wpół leżał na krześle przy kominku ze srebrnym pucharem w dłoni. Berzel, odziana w prostą suknię szarego koloru, powitała ich radośnie.

— Dzielna dziewczyna — pochwalił Kedrigern, podnosząc jej dłoń do ust.

— To wcale nie takie straszne, mistrzu Kedrigernie, naprawdę. Gdyby nie obolałe i zeszywniałe ciało następnego dnia, w ogóle bym się tym nie przejmowała — zuchowato uśmiechnęła się Berzel.

— Czy wszystko gotowe? — zapytała Księżniczka.

— O tak. Na rozkaz taty wygrodzono dla mnie spory kąt w pobliskim zagajniku. Dworki będą mnie strzec, czuwając przy furtce.

— Pójdę z tobą, jeśli chcesz — zaofiarowała się Księżniczka, przytulając Berzel mocno.

— Nie śmiem cię o to prosić, pani. Nie chcę cię narazić na przypadkowe pokaleczenie... — odparta Berzel, ściskając Księżniczkę.

— Podobno jesteś wyjątkowo łagodnym wilkiem.

— Tak mówią, ale wolę nie ryzykować.

— Nie ma obawy. W razie czego po prostu szybko odfrunę. — Księżniczka zatrzepotała skrzydełkami i wzbiła się o kilka centymetrów w górę.

— Nie chciałabym się narzucać. Poza tym powinnaś raczej zająć się swym biednym sługą. On nie ma potężnego i bogatego ojca, który by go bronił w potrzebie. Ma tylko was. Postąpiłabym okrutnie i samolubnie, pozbawiając go jedynej podpory.

— Słuchajcie! Czy słyszycie, co ona mówi? — wykrzyknął Ithian, podrywając się z krzesła. Zatoczył się przy tym potężnie, rozlewając sobie wino na koszulę. — To anioł! Chodząca świętość! Za dwie godziny ma przeobrazić się w wilka, a czy nad sobą boleje?

Nie, ona martwi się o obcego człowieka! O bezlitosna niesprawiedliwości!

— Spokojnie, ojczy — łagodziła Berzel, podążając ku niemu. Odebrawszy mu kielich, usadziła go ponownie na krześle.

— Nasz niewinny aniołeczek, słodkie maleństwo, najdroższe dzieciątko! — Król zalał się łzami.

— Rano będzie po wszystkim, tatusiu. Tylko parę zadrapań i nic więcej. Obiecałeś nie przejmować się tym razem.

— Królewski czarnoksiężnik jest bezradny. Kedrigern jest bezsilny. A nasza mała, kochana dziewczynka już do końca życia pozostanie wilkiem — bełkotał Ithian, szlochając.

— To się zdarza tylko raz na dwadzieścia dziewięć dni, tatusiu — uspokajała Berzel, całując czule ojca w policzek. — Nie zamartwiaj się tak.

Ithian zawył z bólu. Zwrócił zamglone oczy na Kedrigerna.

— Spójrz na nią! Posłuchaj, co mówi! Dlaczego na to pozwalasz, czarnoksiężniku?

Kedrigern, dotąd śpiący na stojąco, przebudził się gwałtownie. Wystąpił do przodu i oświadczył uroczyście:

— Jeśli tylko lekarstwo dla twojej córki istnieje, zostanie odnalezione. Masz na to moje słowo czarnoksiężnika.

Przez chwilę król przyglądał mu się tępym wzrokiem. Potem zaś oko błysnęło mu złowrogo.

— Kiedy? — zapytał krótko.

— Wkrótce — odpowiedział czarnoksiężnik.

— Wkrótce? Ile to „wkrótce” potrwa? Rok? Dwa? Parę lat?

— Nie tak długo.

— A jak długo? Jeśli jesteś naprawdę wielkim i potężnym czarnoksiężnikiem, powiedz, kiedy znajdziesz ratunek dla mojej córki?

— Zanim nadejdzie następna pełnia księżyca. — Czarnoksiężnik złożył zobowiązanie głosem tak tubalnym, że aż echo zadudniło w całej komnacie.

— Słyszeliście wszyscy. Jesteście świadkami. — Ithian zwrócił się do obecnych dworzan i służby. — Przed następną pełnią księżyca. Obiecał. Dał słowo czarnoksiężnika.

— Tak, jeśli tylko lekarstwo istnieje — sprostował Kedrigern.

— Oczywiście, że istnieje, a ty je znajdziesz. Od tego jesteś. Czyż nie powtarzasz zawsze, że każde zaklęcie można zdjąć, a każdy czar zrzucić?

— Chyba tak wspomniałem.

— Znajdź więc sposób na uratowanie naszego drogiego, słodkiego maleństwa przed następną pełnią. W przeciwnym razie nie będziesz nigdy więcej zasługiwał na miano wielkiego czarnoksiężnika.

Zanim Kedrigern zdążył otworzyć usta, Księżniczka szturchnęła go w bok.

— Ani słowa — szepnęła. — Ithian się upił, a ty też myślisz i mówisz mętnie, bo jesteś przemęczony. Chodźmy lepiej do Zorscha.

Kedrigern spojrział gniewnie na króla, lecz zmilczał posłusznie. Sztywno skłoniwszy głowę, majestatycznym krokiem opuścił komnatę. Księżniczka uściskała Berzel na pożegnanie, pomachała dłonią Ithianowi i pomknęła w ślad za naburmuszonym mężem, sunącym gniewnie przez hali.

— Niewdzięczny nędznik! — zawołał, gdy go dogoniła. — Żeby nazwać mnie oszustem w obecności Berzel i połowy dworu? Gdyby nie ja, tańczyłby teraz tak, jak by mu olbrzym ludojad zagrał!

— Wybacz mu, żyje ostatnio w wielkim napięciu — próbowała łagodzić Księżniczka.

— Doprawdy? Raczej wlewa w siebie podłe wino, a kiedy usiłuje wstać z krzesła, płami sobie odzienie. Ze wszystkich znanych mi nadętych pyszałków, zer niewartych funta kłaków i wszystkich najpodlejszego gatunku typów, Ithian to najgorszy...

— Keddie, uspokój się, proszę. Jestem przekonana, że nie miał złych intencji.

— Niemniej nazwał mnie oszustem.

— Pijackie gadanie — bagatelizowała Księżniczka.

— Pijany czy nie, powiedział to głośno i wyraźnie, tak że wszyscy słyszeli — zatrzymawszy się w pół kroku, Kedrigern pogroził pięścią niewidzialnemu niewdzięcznikowi. — Sam sobie jestem winny. Nie powinienem spodziewać się wdzięczności od zadzierającego nosa błędnego rycerza, który nie umie sobie poradzić z olbrzymem ludojadem bez pomocy czarnoksiężnika. Powinienem był chłodno odmówić jego prośbie, zamiast gnać na złamanie karku z odsieczą do jego zamku, nie bacząc na trudy i niewygody, żeby... pomóc takiemu... — Kedrigern zatchnął się w złości. Księżniczka pociągnęła go za sobą.

— Pomożesz i teraz. Znajdziesz lekarstwo.

— Jeżeli istnieje.

— Oczywiście, że istnieje. Odnajdziesz je przed następną pełnią. Obiecałeś to Zorschowi.

— Ten przynajmniej umie się znaleźć. Okazuje wdzięczność i nie nazywa mnie szarlatanem w obecności dworzan, służby, gości i licho wie kogo jeszcze.

— Lecz nie zapłaci ci dwustu koron. — Księżniczka sprowadziła męża na ziemię.

Kedrigern zamruczał coś smętnie pod nosem. Przez chwilę szli w milczeniu, aż czarnoksiężnik zagadnął na koniec:

— Najgorsze z tego wszystkiego jest to, że z powodu wycia nie zmrużymy oczu dzisiejszej nocy.

Księżniczka uśmiechnęła się porozumiewawczo.

— Niech cię pocieszy fakt, że Ithian też nie będzie spać.

6. Nie zapomina się starych znajomych

Nadeszła pełnia księżycy. Nieuniknione stało się w końcu, rozładowując tym samym napięty nastrój oczekiwania. Nastąpiło ogólne odprężenie. Berzel i Zorsch przeżyli swoje przeistoczenie ciężko, ale bez żadnych obrażeń. Ithian zaszył się w samotności, posępny i cokolwiek wyczerpany.

Pierwszy dzień po pełni Księżniczka poświęciła doглядaniu Berzel. Czuwała cały czas przy jej łożu, przykładając dziewczynie zimne kompresy na czoło i czytając wesołe opowiadki. Kedrigern tego dnia od rana pochłonięty był przeszukiwaniem ksiąg. Pracował sam, gdyż zwolnił na ten dzień Zorscha, aby młodzieniec doszedł do siebie i odpoczął. Utrudzony wytężoną pracą wymknął się koło południa na chwilę do kuchni, by posilić się małą przekąską. Po powrocie zastał w pracowni Traffea.

Królewski czarnoksiężnik z wyrazem zadowolenia na twarzy kontemlował zawartość półek własnej biblioteki. Założywszy ręce do tyłu, kołysał się przy tym jednostajnie w przód i w tył, przenosząc ciężar ciała z palców na pięty. Pod nosem pogwizdywał melodię, która wywołała w pamięci Kedrigerna kolejne niejasne wspomnienie. Czarnoksiężnik wytężył umysł, by powiązać je z wydarzeniami z przeszłości. Niestety, bezskutecznie.

— Wita j, Traffeo. Nie widziałem cię od paru dni. Wyjeżdżałeś?

Traffeo nie odwrócił się ani nie przestał się kołysać.

— Nie, nie wyjeżdżałem. Skąd ten pomysł? — zdziwił się.

— Zniknąłeś mi z oczu.

— Zniknąłem, ale kręciłem się nie zauważony w pobliżu, pogrążony w czarnych myślach, odtracony i nikomu niepotrzebny.

— Ależ Traffeo, po co tak się dręczysz. Chętnie skorzystałbym z twojej pomocy.

— O tak, nie wątpię. Założę się, że nawet bardzo jej teraz potrzebujesz — odparł Traffeo. Odwróciwszy się w końcu do Kedrigerna, posłał mu cierpki uśmiech.

Zaskoczony Kedrigern milczał przez chwilę, po czym łagodnie zapytał:

— Co cię trapi, Traffeo?

— Mnie? Co mnie trapi?

— Tak, ciebie.

— Mnie nic, drogi kolego. Przypuszczam, że raczej ty masz powody do zmartwienia. Pomimo twoich wysiłków Berzel ubiegłej nocy zamieniła się znowu w wilka, nieprawdaż? Twój sługa również. Co za pech! A tak się starałeś. Doszły mnie też słuchy o nieprzyjemnej scysji pomiędzy Ithianem a jego tak niecierpliwie i z nadzieją wyglądanym oraz tak sownie wynagradzanym gościem z Cichego Gromu. Czyż to nie dość, byś się kłopotał? Ja zaś od lat nie czułem się tak zadowolony. — Traffeo znowu założył ręce do tyłu i począł się kołysać, pogwizdując wesoło. Melodia była irytująco znajoma, ale Kedrigern nie miał czasu nad tym się zastanawiać.

— Nie przybyłem tu samowolnie. Ithian po mnie przysłał — tłumaczył się.

— Zapewne zastanawia się teraz, dlaczego cię fatygował.

Kedrigern głęboko westchnął, by się uspokoić, i wyjaśniał cierpliwie:

— Ponieważ wie, co umiem. Pamiętaj, że gdyby nie moja pomoc, nie rządziłby teraz Othionem. Nie zdobyłby Kanvaniry ani nie miał córki.

— A więc wszystko to zawdzięcza wyłącznie tobie? Będzie zachwycony, kiedy się dowie, że biegasz po pałacu, chwając się tym.

— Traffeo, jeśli szukasz kłopotów, to...

Królewski czarnoksiężnik wyciągnął dłonie w uspokajającym geście, przybierając dobrotliwy wyraz twarzy.

— Nie powtórzę twoich słów, obiecuję. Zresztą nie muszę nic robić... wystarczy jedynie poczekać trochę...

— Na co?

— Na najbliższą pełnię. Słyszałem o twoich zuchwałych przechwałkach wobec Ithiana. Ale kiedy jego najdroższa Berzel znowu zamieni się w wilka za dwadzieścia dziewięć dni, ty, spakowawszy manatki, odjedziesz do domu, odprawiony bez grosza, a ja dzięki temu ponownie wrócę do łask. — Traffeo roztoczył tę wizję z wyraźną przyjemnością.

— Dlaczego uważasz, że nie znajdę lekarstwa do tego czasu?

— Z kilku powodów. — Traffeo zaczął wyliczać na palcach: — Po pierwsze, ten rodzaj magii leży poza twoim doświadczeniem; po drugie, nie wiadomo, czy lekarstwo na wilczy obłąd w ogóle istnieje; fakt jego istnienia jest jedynie przedmiotem ożywionych spekulacji. Po trzecie, nawet jeżeli istnieje, może nie być nigdzie opisane. Po czwarte, zakładając, że zostało gdzieś kiedyś opisane i że opis ten zachował się do naszych czasów, i tak nie mamy pewności, czy zawierają go księgi z tej biblioteki. Po piąte wreszcie, jeśli nawet szczęśliwym zrzędzeniem losu opis ów mieści się w tych księgach, szansa na odnalezienie go przed nastaniem kolejnej pełni jest znikoma. Mnie przestudiowanie tego księgozbioru zajęło osiem długich lat i pięć miesięcy, a nie były to wcale badania szczegółowe. Chodziło mi jedynie o ogólne zapoznanie się z jego zawartością. Toteż mimo

całego szacunku dla twoich umiejętności, nie wierzę, że zdołasz w dwadzieścia dziewięć, a ściślej w dwadzieścia osiem i pół dnia osiągnąć to, co mi zajęło ponad osiem lat.

Kedrigern się nachmurzył.

— Pewnie nie — odparł w zadumie.

— Poczekam cierpliwie. Najbliższa pełnia lub w najgorszym razie następna przyniesie mi satysfakcję. Zresztą, by zobaczyć twoją klęskę, gotów byłbym czekać i do trzeciej pełni — zacierając dłonie, Traffeo obdarzył Kedrigerna butnym uśmiechem.

— Mógłbyś mi pomóc — zaproponował Kedrigern bez przekonania.

— Istotnie, ale nie zrobię tego.

Kedrigern pokiwał głową. Zafrasowany potarł policzek i bezradnie popatrzył na półki z księgami.

— Spodziewałem się, że odmówisz.

— Prawdę mówiąc, drogi kolego, nawet przy mojej ochoczej pomocy czekałoby cię nie lada zadanie. Być może, dzięki mnie zdołałbyś uniknąć paru godzin zbędnych wysiłków i kilku ślepych zaułków, ale zapewniam cię, że żadna z tych ksiąg nie zawiera niczego w najmniejszym choćby stopniu przydatnego dla przypadku Berzel.

— Może nie umiałeś rozszyfrować ukrytych w nich wskazówek.

Unosząc brwi, Traffeo zauważył chłodno:

— Trzeba przyznać, że masz charakter. Nawet w rozpaczliwym położeniu nie uciekasz się do pochlebstwa. Przeciwnie, wyrządzoną krzywdę doprawiasz znie wagą, nie zadając sobie nawet trudu, by sprawdzić, czy jest uzasadniona. Z rozkoszą będę się przyglądał, jak wśród gwizdów gawiedzi wyrzucają cię z Othionu.

— Nie chciałem cię obrazić. Chodziło mi o to, że niezwykle łatwo jest pominąć poboczny wątek nieznanego zaklęcia, a zwłaszcza wtedy, kiedy na pozór wydaje się on zupełnie nie powiązany z badanym przez nas przypadkiem. Nie sądzę, abyś przed chorobą Berzel przeglądał te księgi, szukając w nich zaklęcia właśnie przeciw wilczemu obłądowi.

— Oczywiście, że nie.

— Toteż, koncentrując się na czym innym, mogłeś potraktować ten temat pobieżnie.

Traffeo przez chwilę rozważał taką możliwość. Wreszcie machnąwszy dłonią ze zniecierpliwieniem, odrzucił ten pomysł.

— Niemożliwe. Taki doświadczony czarnoksiężnik jak ja nie lekceważy żadnych szczegółów.

— Widzę, że od naszego pierwszego spotkania odzyskałeś sporo wiary w siebie.

Traffeo odkaszlnął.

— Cóż, kiedy przybyłeś do Othionu, sądziłem, że blask twojej chwały kompletnie przyćmi moje skromne zasługi. Okazało się jednak, że moje obawy były bezpod-

stawne.

— A to niepowodzenie, które okryło cię hańbą? Tak biadałeś nad nim tamtego dnia. Traffeo obruszył się na te słowa, podniósł dumnie głowę.

— Poniosły mnie emocje. Szalałem z powodu pozbawienia mnie dotychczasowego stanowiska.

— Czy chcesz powiedzieć, że już nie jesteś imitacją czarnoksiężnika? I że nigdy nie poznałeś gorzkiego smaku porażki? I posiadasz wszelkie przymioty utalentowanego twórcy zaklęć?

Królewski czarnoksiężnik stał nieporuszony.

— Nikt nie jest doskonały, nawet wielcy czarnoksiężnicy. Jeśli jeszcze o tym nie wiesz, mój drogi i doświadczony kolego, niedługo sam się przekonasz.

Kedrigern przyglądał mu się bez słowa. Traffeo znowu założył ręce do tyłu i, uśmiechnąwszy się szyderczo, począł się kołysać na piętach. Kedrigern z trudem zapanował nad wielką ochotą, by rozkwasić mu nos, wytargać za długą białą brodę lub strącić na oczy spiczasty kapelusz w złote gwiazdy. Traffeo tymczasem powrócił do melodyjnego poświstywania przez zęby. Kedrigern zirytował się okrutnie i w tym właśnie momencie, w mgnieniu oka, jego pamięć ożyła. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki skrawki wspomnień skleiły się nagle w całość, zupełnie jakby tysiąc rozsypanych odłamków cudem sklepiło się na powrót w piękny dzban. Przypomniawszy sobie i tę twarz, i zwyczaj kołysania się w przód i w tył, i piosenkę z młodych lat: „Mossie, służąca młynarza”.

Tak, pamiętał doskonale. Już wszystko wiedział i aż uśmiechnął się do siebie.

Nie spuszczać oczu z Traffea, odszedł w głąb komnaty, by zasiąść za stołem. Pochylił się nad leżącą tam otwartą księgą. Królewski czarnoksiężnik, nie przerywając kołysania, przestał pogwizdywać i zagadnął:

— Wracamy do pracy, mistrzu Kedrigernie? Bardzo rozsądnie. Każda minuta jest droga.

— Jest coś cenniejszego od uciekających minut, mistrzu Traffeo. Duch braterstwa. Współpraca bez rywalizacji. Pomocna dłoń. Czarnoksiężnicy, którzy bez zawiści jednocześnie swe siły w dążeniu do celu.

— Dla mnie to tylko frazesy.

— Nie pomożesz mi więc?

— Nie kiwnę nawet palcem. — Traffeo wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

— Daję ci ostatnią szansę.

W odpowiedzi Traffeo, zwinąwszy usta w trąbkę, prychnął lekceważąco. Potem ziewnął przeciągle i ostentacyjnie wrócił do pogwizdywania.

Pilnie przypatrując się ciemnym zakamarkom sklepienia, Kedrigern westchnął głęboko.

— Ogromna szkoda. Pomyśleć, ile zaklęć wspólnie moglibyśmy odkryć, pracując

razem w tej wspaniałej bibliotece. Ilu biedaków moglibyśmy wybawić z nieszczęścia...

— Do licha z nimi — uciął Traffeo.

Powściągając złość, Kedrigern odparł z dobrodusznym uśmiechem:

— Przede mną nie musisz udawać tak twardego i bezwzględneho. Wiem, że i ty masz czułe miejsca.

— Spróbuj je znaleźć — zadrwił królewski czarnoksiężnik.

— Nie muszę się trudzić, bo dobrze je znam. Wiem, że od dziewięćdziesięciu lat uparcie poszukujesz pewnego kontrzaklęcia. Co noc o nim śnisz, dumasz o nim w dzień. Rozmyślasz o nim w złych chwilach, wyczekujesz w szczęśliwych, polujesz nań bezustannie.

Traffeo znieruchomiał.

— Bzdura, kompletna bzdura. Nie robię nic podobnego.

— A jednak — ciągnął Kedrigern głosem dobrotliwego wujaszka pieszczotliwie przemawiającego do łkającego berbecia. Wstał zza stołu i zbliżył się do królewskiego czarnoksiężnika. — Od czasu tego nieszczęsnego incydentu podczas Wojny Sześciu Książąt, kiedy to...

— Co wiesz o Wojnie Sześciu Książąt? — przeraził się Traffeo, gwałtownie odsuwając się od Kedrigerna.

— Ponure dzieje. — Kedrigern kręcił powoli głową. — Czas bez zasad, kiedy brukano wszystko, nie uznając żadnych świętości. Nikt nie był pewny jutra, a młode panny nieustannie drżały o życie i cnotę. Jedyne otyli, odrażający staruchowie mieli szansę ująć z rąk band grasujących w całym kraju, które łupiły, mordowały, gwałciły i puszczały wszystko z dymem, jeśli tylko miały taką fantazję. Udręczeni rodzice, próbując ratować swoje nadobne córki, zwrócili się do wszechpotężnego czarnoksiężnika o imieniu Imberwick, aby...

— On nie żyje! Imberwick nie żyje! Przepadł bez śladu! — począł histerycznie wykrzykiwać Traffeo. Kedrigern wysłuchał cierpliwie, po czym spokojnie snuł dalej swą opowieść:

— ...zamienił je w tłustych, brzydkich starców. Tłumnie udali się do niego, płacząc i lamentując, błagając i zaklinając, aby raczył odmienić ich piękne córki tak, by żaden rozbójnik nie zechciał już na nie nawet spojrzeć. Imberwick spełnił ich prośbę z nawiązką. Wkrótce cały kraj zapełniali sami starzy, grubi, odpychający mężczyźni, natomiast kobiet poniżej osiemdziesiątego roku życia nie uświadczyłeś w promieniu pięciu dni konnej jazdy.

— Nieboszczyk Imberwick był znakomitym czarnoksiężnikiem — wtrącił Traffeo. Twarz miał pobladłą, lecz mówił z pozornym spokojem.

— Rzeczywiście. Zapewne dzięki jego talentom Wojna Sześciu Książąt wkrótce się zakończyła. Walczące dotąd armie rozwiązano i rozpuszczono do domów. Nastął znowu

blógi czas pokoju. Niedawni żołnierze, zatęskniwszy za życiem rodzinnym, zaczęli myśleć o ożenku. Wówczas rodzice ponownie gromadą ruszyli do Imberwicka, tym razem błagając i zaklinając go, aby zechciał na powrót przedzierzgnąć wstrętnych staruchów na śliczne panny na wydaniu. Niestety! Imberwick zapomniał uprzedzić, że nikt nie zna przeciwwzaklęcia i niewinne panienki skazane są na...

— Dość! Dość! Ani słowa więcej, Kedrigernie, błagam! — łamiącym się głosem poprosił Traffeo. Chwiejnym krokiem podszedł do stołu. Opadł ciężko na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Kedrigern, okrążywszy stół z drugiej strony, zatrzymał się przy królewskim czarnoksiężniku i poklepując go delikatnie po plecach, mruczał pod nosem:

— No, no. Już dobrze.

— Jak odgadłeś? Jakich czarów użyłeś, by odgrzebać mój skrzętnie ukrywany sekret? — dociekał Traffeo przygaszonym głosem.

— Twoja twarz wydała mi się znajoma. Odgadłem, że spotkaliśmy się kiedyś u Frigusa z Mroku.

— Nie nosiłem wówczas brody.

— Tak, broda mnie zmyliła, ale rozpoznałem cię po oczach. Na trop naprowadziły mnie też zwyczaj kołysania się na piętach, kiedy jesteś z siebie zadowolony, oraz melodia, którą pogwizdujesz. Dzisiaj mało kto pamięta piosenkę o Mossie, służącej młynarza.

— A taki byłem pewien, że po tylu latach nikt mnie już nie rozpozna i mogę czuć się bezpieczny.

— Uciekłeś wtedy bez śladu. Jak udało ci się tego dokonać?

— Użyłem zaklęcia, by stać się niewidzialnym.

— Doprawdy? Tego rodzaju zaklęcia są piekielnie skomplikowane i często sprawdzają skutki uboczne.

Traffeo wzruszył ramionami.

— Nie miałem wyboru. Kiedy siedzi ci na karku gromada rozsierzonych wieśniaków oraz uzbrojonych po zęby możnych, nie masz czasu na wykładanie im subtelności sztuki magicznej. Ledwo zdążyłem zniknąć i zwiąć. Skierowałem się na południe i ostatecznie osiedliłem tuż pod Otranto.

— Kawał drogi.

— Uznałem, że roztropnie będzie przebywać z dala od moich, hm... klientów. Mieszkałem sobie spokojnie w Otranto w uroczym, małym zameczku. Aż wreszcie dwadzieścia lat temu dowiedziałem się, że Ithian poszukuje nadwornego czarnoksiężnika. Uznałem, że skoro od tamtych wydarzeń minęło z górą siedemdziesiąt lat, mogę już bezpiecznie powrócić... Nigdy bym nie przypuszczał... Nie wydasz mnie, Kedrigernie?

Kedrigern obdarzył go pobłażliwym spojrzeniem łaskawcy.

— Mój drogi mistrzu Traffeo, czyż mógłbym dopuścić się podobnej niegodziwości

wobec człowieka, który tak chętnie zaofiarował się ciężko pracować u mego boku?

Traffeo pokiwał głową.

— Ależ oczywiście. Głupie pytanie — poddał się, podwijając rękawy. — Nie traćmy czasu.

* * *

Od tej pory dzięki pomocy Traffea w wertowaniu ksiąg oraz zręczności Zorscha przy dźwiganiu ciężkich tomów Kedrigern czynił stałe postępy w swoich poszukiwaniach. Jednak kiedy po upływie ośmiu długich dni pracy udało im się wyeliminować ledwie kilka opasłych ksiąg, okazało się, że końca ciągle nie widać. Mimo że Traffeo przechodził sam siebie, niestrudzony Zorsch dwoił się i troił, a Księżniczka na każde zawołanie chętnie spieszyła z pomocą — oczywiście jeśli tylko stan Berzel na to pozwalał — Kedrigern uznał sytuację za alarmującą. Poszukiwania znajdowały się w martwym punkcie.

Minęły kolejne dwa dni. Równo dziesięć dni od ostatniej pełni księżyca, dobrze po północy, Kedrigern, Księżniczka i Traffeo wciąż siedzieli na wpół śpiąc przy stole w pracowni. Zmożony pracą Zorsch spał w kącie, pochrapując cichutko. Obydwaj czarnoksiężnicy pochylali się nad rozłożonymi księgami. Wlepiali zmęczony wzrok w maleńkie czarne literki, zdające się tańczyć na białych kartkach. O tej późnej porze życie wokół zamarło. Spały ptaki i owady, nietoperze dawno odleciały na nocne łowy, nie हुआ nawet wiatr w kominie. Głęboką ciszę od czasu do czasu mącił tylko szelest przewracanych kartek, czyjeś ziewnięcia lub smaczne chrapanie Zorscha. Błogość tę przeciął znienacka znużony głos Księżniczki:

— Czy któryś z was może mi wyjaśnić, co oznacza słowo „silaków”?

— „Silaków”? — powtórzył zdumiony Kedrigern. Traffeo jedynie przecząco pokręcił głową, wzruszając ramionami.

— Chodź i sam przeczytaj.

Kedrigern podniósł się ciężko, burcząc z niezadowoleniem. Ziewnął i z ociąganiem ruszył w stronę Księżniczki. Wskazała mu palcem miejsce na stronie. Czarnoksiężnik zamrugał. Przetarłszy zaczerwienione ze zmęczenia oczy, wpatrzył się w maleńki, niewyraźny napis.

— To nie żadne „silaków”. Nie ma takiego słowa, moja droga — zawyrokował.

— Cóż to więc jest, twoim zdaniem?

— Wygląda jak „śmaków”.

— Jest takie słowo?

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Brzmi jak bełkot, ale to całkiem poważne i klarowne odwołanie się do „Księgi pięciu błękitnych silaków”... czy śmaków, Keddie. Zobacz sam — nalegała Księżniczka.

— Zaraz, zaraz. Poczekaście! — zawołał Traffeo, wyłaniając się zza wielkiej góry zasłaniających go książek. — Mnie też dziś po obiedzie wpadło w oko odniesienie do „Księgi pięciu błękitnych”... czegoś tam.

— Jak brzmiało?

Traffeo sięgnął do jednej z ksiąg, przekartkował ją szybko, lecz w końcu odłożył. Wziąwszy następną, przewracał strony pośpiesznie, potem wolniej, wreszcie powiódł po jednej z nich palcem w dół, aż odnalazłszy właściwy wers, wykrzyknął:

— Mam! Byłem pewien, że to widziałem.

— O czym mówi? — żywo zapytała Księżniczka.

— Zawiera nad wyraz skromną wzmiankę o innych księgach z zaklęciami. Obawiam się, że na nic nam się nie przyda.

— Przeczytaj głośno — poprosił Kedrigern.

*Nie znajdziesz tutaj, choćbyś pragnął wielce,
magicznych zaklęć o największej potędze.
Jeśli odwagę, by ich szukać, masz,
zajrzyj do „Glaggidy” — księgi, którą znasz.
Lub „Isbashoori” tomy grube
przejrzyj, by czarów oddalić zgubę.
Gdy wszystkie zawiodą, szukaj zaklęć znaku
wśród stron „Księgi pięciu błękitnych... ślimaków”...*

Wszyscy troje spoglądali na siebie całkiem zaskoczeni, Księżniczka i Kedrigern sami pośpiesznie zajrzeli do księgi, by jeszcze raz przeczytać tych parę linijek. Czytali wciąż i wciąż od mowa, za każdym razem nieodmiennie zadziwieni. Po siódmym czytaniu Księżniczka orzekła:

— Obstawiam przy „silaków”. Może jest to „śmaków”, ale w żadnym wypadku nie „ślimaków”.

— Oczywiście, że „śmaków” — zdecydował Kedrigern tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Traffeo potrząsnął głową.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to „ślimaków”. Czyż nie rymuje się ze słowem „znaku”?

— To niczego nie dowodzi. Jeśli zrymowano „wielce” z „potędze”, równie dobrze mogli zestawić „znaku” z „silaków” — zaprotestowała Księżniczka. — A może to słowo z dialektu regionalnego?

— Moja droga, odczytaj nam akapit, do którego ty dotarłaś — zaproponował Kedrigern.

— Dobrze. Świetny pomysł. Na szczęście nie zawiera rymów — odchrząknawszy, Księżniczka wyrecytowała z powagą: — „Jeśli mimo całej twojej woli i wiedzy, zaklęcia te nie posłużą ci w nieszczęściu, nie win tego, kto je spisał, boć uczynił to w najlepszej wierze. Sięgnij tedy do księgi zaklęć niezawodnych. Lecz uważaj, bo jeśli nie masz dość odwagi w sercu i nadzwyczajnych talentów magicznych, słowa Księgi pięciu błękitnych ślimaków doprowadzą cię wprost do zguby”.

— Ślimaków — poprawił Traffeo bez tchu.

— Cokolwiek to jest, powinniśmy jak najszybciej poszukać tej księgi. Masz ją tutaj?

— Kedrigern zwrócił się do królewskiego czarnoksiężnika.

— Nigdy o niej nie słyszałem.

— Sądziłem, że dobrze znasz zawartość swoich ksiąg.

— O tak, ale nie każde słowo z osobna. Nie widzisz, jak ogromną mam bibliotekę? Nie sposób spamiętać wszystkich zawartych tu informacji.

— Szkoda. Bardzo by nam się to teraz przydało — niecierpliwił się Kedrigern.

— Nie zwróciłeś uwagi na ostrzeżenie, które przeczytała? Słowa „Księgi pięciu błękitnych ślimaków” zniszczą nas!

— Ślimaków — pod nosem poprawiała go Księżniczka.

— Nam to nie grozi. Znamy swój fach. To ostrzeżenie dotyczy tylko nędznych amatorów. Traffeo, to wielki dzień! Znaleźliśmy pierwszą cenną wskazówkę!

— Niestety, mogę zaręczyć, że tutaj nie ma tej księgi.

— Skąd ta pewność, skoro nie wiesz nawet, jak ona wygląda? — zaperzyła się Księżniczka.

Drzemiący dotąd spokojnie w kącie Zorsch poruszył się, przeciągnął leniwie, ziewnął. Kedrigern skorzystał z okazji i wzięwszy pod ramię żonę i królewskiego czarnoksiężnika, przemówił do nich uspokajającym tonem:

— Zamiast się niepotrzebnie ekscytować, odpocznijmy trochę. Zorsch przyniesie nam przekąski z kuchni. Potem zastanowimy się, gdzie szukać tej księgi.

Zgodzili się chętnie. Zorsch, szurając nogami, przywłókł się do stołu. Wciąż ziewał. Pustym wzrokiem omiótł otwartą księgę, leżącą przed Księżniczką, po czym znieruchomiał w oczekiwaniu na rozkazy. Kedrigernowi zaświtała pewna myśl.

— Zorschu, ty umiesz czytać, prawda?

— O tak, mistrzu Kedrigernie.

— Idę o zakład, że masz też dobry wzrok. Przeczytaj nam głośno ten kawałek — poprosił Kedrigern, wskazując mu wybrany fragment.

Zorsch cofnął się o krok, patrząc na czarnoksiężnika szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

— To nie zaklęcie, prawda, mistrzu?

— Nie. To tylko parę zdań zwykłego opisu, nic więcej. Czytaj już!

Zorsch pochylił się nad księgą i oblizawszy usta, monotonnym głosem przesyłabizował ten sam akapit, który Księżniczka wyrecytowała parę minut wcześniej.

— Powiedziałaś „ślimaków” — zauważyła Księżniczka. — A to słowo brzmi „silaków”.

— Wybacz, pani, ale nie mogę się mylić. Tu mowa o „Księdze pięciu błękitnych ślimaków”, której nazwa pochodzi od pięknie inkrustowanego wizerunku ślimaków na okładce.

— Widziałeś... tę... księgę... Zorschu? — słabym głosem zapytał Kedrigern, patrząc na Zorscha tak, jakby zobaczył ducha.

Spodziewał się, że młodzieniec lada moment rozplynie się w powietrzu.

— Tak, mistrzu Kedrigernie. Chociaż nie wydała mi się przekłeta, znajdowała się razem ze wszystkimi złymi księgami w ponurym pomieszczeniu, o którym wam opowiadałem. Kiedy ją przenosiłem, zakrywające okładkę sukno zsunęło się i wówczas dojrzałem pięć połyskujących błękitną emalią ślimaków na wierzchu.

— A więc jest w opactwie?

— Tak.

— Wyruszymy tam rano — stanowczym tonem zdecydował Kedrigern. — Pojedziesz z nami, Traffeo? Twoja pomoc może okazać się nieodzowna.

Pełnym wdzięczności pochyleniem głowy królewski czarnoksiężnik wyraził zgodę. Kedrigern zwrócił się na koniec do żony:

— Przemycenie cię do klasztoru będzie nie lada sztuką, moja droga, nie możemy jednak dopuścić, abyś przeoczyła wydarzenia wieńczące nasze dzieło.

— Nie mogę pojechać z wami. Berzel mnie potrzebuje. Biedactwo bardzo to wszystko przeżywa.

— Postąpisz, jak zechcesz. Rozumiem twoje wielkie przywiązanie do Berzel.

— O tak, uwielbiam ją. Poza tym beze mnie szybciej dotrzecie do opactwa, a czas liczy się teraz najbardziej.

— Mistrzu, czy mógłbym zostać z moją panią? Ktoś powinien się nią opiekować — zaproponował Zorsch.

— Dziękuję ci, Zorschu, ale dam sobie radę — zapewniła go Księżniczka.

— To rozsądna propozycja. Trzeba, abyś miała przy sobie choć jednego oddanego sługę. Poza tym nie powinniśmy się pokazywać razem z Zorschem w opactwie, aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń.

— Jakich podejrzeń?

— Hm, kiedy ostatnio gościłem krótko w klasztorze, wtedy gdy opat nakazał mi się tak nagle pakować, akurat w dniu mojego pośpiesznego wyjazdu Zorsch narobił tam straszego zamieszania, mającąc o czarnoksiężniku Kedrigernie. Wolę więc nie ożywiać wspomnień mnichów naszym wspólnym przyjazdem. Unikniemy w ten sposób

zbędnych pytań.

— Nie zdradziłem zakonnikom, kim jesteście, panie — zapewnił go Zorsch. — Kiedy doszedłem do siebie, wyjaśniłem im, że bredziłem w ataku nieznanej choroby i że nic już nie pamiętam. Nie indagowali mnie więcej.

— Wykazałeś podziwu godną przezorność. Niemniej uważam, że lepiej będzie, jeśli zostaniesz z Księżniczką. Cóż ty na to, moja droga?

— Zgoda. Musisz mi towarzyszyć, Zorschu.

Postanowienie to uskrzydliło Zorscha. Uradowany, dziękował wylewnie swemu panu i pani. Potem rączyło pakować przybory obu czarnoksiężników. Następnego zaś poranka, pomimo zmęczenia, pożegnał ich z twarzą rozjaśnioną uśmiechem.

7. Królewski kaprys

O świtaniu czarnoksiężnicy wyruszyli z Othionu na rączych koniach ze stajni Traffea. Kilka godzin mocnego snu pokrzepiło ich znużone ciała, a perspektywa rychłego zakończenia poszukiwań dodała ducha. Toteż rwali się do podróży z entuzjazmem małych chłopców ciągnących do kolejnych psot.

Księżniczka odprowadziła ich kawałek i czule pożegnawszy, wzbiła się wysoko nad blanki murów obronnych, skąd śledziła ich oddalające się sylwetki, dopóki całkiem nie zniknęły jej z oczu. Chociaż czuła się zmęczona, oparła się pokusie ponownego udania się do łoża i pozostania w nim aż do południa. Szkoda czasu na próżnowanie. Poza tym wkrótce obudzi się Berzel i wezwie ją na pogawędkę. Och, jakże ta dziewczyna kocha mówić! Tłumiąc ziewanie, Księżniczka ociężałe pofrunęła do swoich komnat.

Podczas śniadania dokładała wszelkich starań, by zachowywać się jak zwykle, lecz jej niespokojne ruchy i zaróżowione policzki nie uszły uwagi Berzel. Początkowo Księżniczka nie chciała wyjawić powodu swojego zmieszania, uważając, że najpierw powinna podzielić się nowinami z Ithianem. W końcu jednak uległa po wielokroć powtarzanym namowom Berzel odwołującym się do ich gorącej przyjaźni.

— Znaleźli rozwiązanie! Uratują mnie! — wykrzyknęła uszczęśliwiona dziewczyna, podskakując i klaszcząc w dłonie.

— Drogie dziecko, nie powinnaś zbyt rozbudzać swoich nadziei — studziła jej zapał Księżniczka. — Czarnoksiężnicy nie są przekonani, czy „Księga pięciu błękitnych ślimaków” zawiera poszukiwane zaklęcie, i nie wiadomo, czy w ogóle uda im się dotrzeć do biblioteki. A nawet choćby tego dokonali...

— Niech wyjaśnią, że przysłała ich mój tatuś — przerwała jej Berzel.

— To nic nie zmieni. Chwilowo w bibliotece mnichów panuje ogromny nieład, więc nasi wysłannicy mogą mieć kłopot ze znalezieniem tej księgi.

— Poradzą sobie, od czegoś w końcu są czarnoksiężnikami? Skopią zaklęcie, szybko tu wrócą i uzdrowią mnie przed następną pełnią księżyca! A wszystko to dzięki twojemu cudownemu Kedrigernowi! — wołała Berzel, z radości kręcąc pełne wdzięku piruety.

— Traffeo też wiele pomógł — sprawiedliwie przyznała Księżniczka, a po krótkim milczeniu dodała z namysłem: — Od ostatniej pełni przejawiał niezwykley zapał do pracy. Nie szczędził fatygi w najbłaższych sprawach. Cieszę się, że przewyciężył nieśmiałość.

Berzel spojrzała na nią zdziwiona.

— Traffeo nie jest nieśmiały.

— Źle się wyraziłam. Chodzi mi o jego brak wiary we własne siły oraz płynący stąd niepokój, że mój mąż może przejąć jego posiadłość.

— Ach, czyż to nie byłoby wspaniałe? — Berzel podskakiwała radośnie. — Cudowny pomysł! Muszę namówić tatusia, aby uczynił twojego męża królewskim czarnoksiężnikiem, a wówczas obydwoje zostalibyście tu już na zawsze.

— Keddie nie będzie zachwycony takim rozwiązaniem, zbyt ceni swoją wolność.

— Tatusz podaruje wam wygodne apartamenty.

— Naszej obecnej siedzibie też niczego nie brakuje, jest zaciszna i przytulna. Uwielbiamy przesiadywać przed płonącym kominkiem i rozkoszować się wonią dołatujących z kuchni zapachów pyszności, które przygotowuje Ciapek. Nie przeszkadza nam nawet to, że czasem jest trochę przyciasno.

— Tatusz odda całą wieżę do waszego wyłącznego użytku. — Berzel przycupnąwszy u stóp Księżniczki, wzięła ją za rękę. — Wyposaży ją według waszego uznania. Rozkaże wstawić najzbytłowniejsze meble, przyoblec najdelikatniejszą pościel. Usługiwać wam będą najwierniejsi z jego sług. Wszyscy zauważyli, że odkąd przyjechaliście do Othionu, na twarzy tatusia znowu zagościł uśmiech.

— Podczas ostatniej pełni Ithian nie był szczególnie pogodny — z przekąsem przypomniała jej Księżniczka.

— To ze zgryzoty. Bardziej się przejmuję moimi przeistoczeniami niż ja sama. Lecz od tamtej pory się zmienił, prawda?

— Tak — przyznała Księżniczka.

— Obiecaj więc, że zostaniecie. Kedrigern obejmie posiadłość królewskiego czarnoksiężnika lub taką, jaką sobie tylko zażyczy. Osiedlicie się tu, a ty będziesz mnie uczyła wszystkiego, co księżniczka wiedzieć powinna.

— Zastanowię się. Przed podjęciem decyzji muszę porozmawiać z Kedrigernem.

— Nakłoń go, by się zgodził, kochana Księżniczko. Nie pożałujecie. Będziecie tu mogli robić, co wam się podoba. Tak bardzo bym chciała, abyś została przy mnie na zawsze — rozmarzyła się Berzel, składając głowę na kolanach Księżniczki.

— Na zawsze? Zapominasz, że wkrótce pojawi się piękny królewicz lub mężny rycerz. Albo uroczy czarnoksiężnik...

— Jak Traffeo? Brrr...

— Miałam na myśli kogoś młodszego. Nieważne, kto to będzie, w każdym razie na

pewno spotkasz go pewnego dnia. Dziwię się nawet, że taka śliczna istotka jak ty nie poznała dotąd nikogo odpowiedniego.

— Piękni królewicze i mężni rycerze omijają Othion — westchnęła Berzel.

— Łatwo to naprawić. Ithian mógłby zorganizować wspaniałe uroczystości dla uczczenia twojego szczęśliwego powrotu do zdrowia. Wieńczący je turniej rycerski na pewno przyciągnie wielu obiecujących młodzieńców.

Berzel poderwała się na równe nogi tak raptownie, że Księżniczka aż podskoczyła.

— O tak! Tak zrobmy! Urządzmy turnieje, potyczki i wielki festyn! Niech wieśniacy tańczą i śpiewają, a roje młodych mężczyzn w lśniących zbrojach niech zmierzą się w walce! Najprzystojniejszy i najwaleczniejszy zostanie moim mężem! Och, kochana Księżniczko, zrobmy tak, zrobmy koniecznie! Musisz natychmiast przedstawić ten pomysł tatusiowi!

— Jesteś tego pewna? Będzie wielkie zamieszanie. Co prawda, także wiele atrakcji, no a przede wszystkim miałabyś szansę poznać wielu miłych młodzieńców z najlepszych rodów.

— O tak, tak! Cudowny pomysł, Księżniczko! Jesteś moją najlepszą przyjaciółką! Biegnij i powiedz o tym tatusiowi! Prędko, proszę! — wołała Berzel, w podnieceniu tańcząc, skacząc i klaszcząc jednocześnie w drobne dłonie.

— Już idę. — Księżniczka podniosła się z krzesła. — Doprawdy powinnam była udać się do niego z samego rana, by powiadomić go o wyjeździe Kedrigerna i Traffea do klasztoru. Ucieszy się na wieść, że poszukują już jednej tylko księgi.

— Powiedz mu, że to ma być najwspanialszy ze wszystkich dotąd urządzanych turniejów, i to z udziałem samych najświetniejszych i najdzielniejszych młodzieńców.

— Powiem, kochanie.

— Jakie przygotujemy nagrody? Czy wypada rozdawać siodła? Może lepsze będą miecze? Albo konie?

— Później omówimy szczegóły — zdecydowała Księżniczka, kierując się ku drzwiom.

— A w co się ubierzemy?

— Potem, kochanie — ucieła Księżniczka, wymykając się z komnaty.

Spiesznie przeszła przez hall ku schodom. W pierwszej niszy przysiadła na chwilę, by zaczerpnąć oddechu. Choć Berzel bez wątpienia była uroczym stworzeniem, dłuższe przebywanie z nią nieodmiennie wyczerpywało Księżniczkę. Sama mogła zaofiarować Berzel jedynie zwykłą sympatię i współczucie, dziewczyna tymczasem chciała w niej widzieć siostrę, matkę, najlepszą przyjaciółkę, ciotkę i powiernicę w jednej osobie. A do tego zaprzysięgła nigdy z nią się nie rozstawać.

Dziewczynie wyraźnie brakowało matczynej troski i oddania. Któż inny jak matka zdoła służyć pannie właściwą radą w wyborze kandydata na męża? To piękne, że Ithian,

nieutulony w żalu po stracie swej królowej, nie związawszy się dotąd z nikim, uchodzi za wzór oddanego męża. Lecz wątpliwy to tytuł do chwały, skoro zatwardziały w swym wdowieństwie król nie liczy się z potrzebami córki. Cóż z tego, że wybór księżniczek na wydaniu jest tak ograniczony? Ithian mógł przynajmniej spróbować zainteresować się którąś z nich. Wszak trudno go nazwać całkiem nieatrakcyjnym. Owszem, jest próżny, grubiański, nadęty, samolubny, nieuprzejmy, gruboskórny oraz całkowicie pozbawiony poczucia humoru, lecz są to cechy właściwe wszystkim władcom. Poza tym nosi się strojnie i buńczucznie, jak na króla przystało. Nie wielkiego króla co prawda, ale całkiem przyzwoitego, z niezgorszym kawałkiem włości i porządną twierdzą we władaniu. Na myśl o stałym pobycie w ponurych szarościach Othionu ciarki przeszły Księżniczkę. Królewska wizyta to co innego — na ten cel niewielkie królestwo nadawało się znakomicie. Dzięki staraniom małżonki władcy Othion łącznie mógłby zmienić się w urocze małe państewko; bez kobiecej ręki przypominał jednak odległą kolonię imperium chyłącego się ku upadkowi, gdzie dobre obyczaje poszły w zapomnienie. Biedna Berzel też wychowała się samopas. Nie wiedziała, jak księżniczce przystoi się ubierać czy czesać. Trzeba nadrobić tyle zaległości w jej wychowaniu, i to jeszcze przed turniejem!

Na myśl o turnieju Księżniczka poderwała się ze złością. Cóż z niej za gapa! Wszystko przez to zmęczenie. Tyle ma przecież do powiedzenia Ithianowi, a mitręży czas na próżnych rozważaniach.

Pobiegła wprost do sali posłuchań, gdzie natychmiast dopuszczono ją przed królewskie oblicze. Na widok Księżniczki ministrowie i obecni goście wstali z miejsc; Ithian skinął jej na przywitanie głową.

— Przynoszę nowiny na temat lekarstwa dla Berzel — zaczęła.

— Mów więc czym prędzej! — rozkazał król, surowo marszcząc czoło.

— Kedrigern odkrył istnienie księgi, która może zawierać odpowiednie zaklęcie. O świcie wyjechali z Traffeem na jej poszukiwanie.

— Wyjechali?! — zakrzyknął Ithian. — Nie poprosiwszy o naszą zgodę? Opuścili Othion bez pozwolenia?

— Wasza wysokość raczył wówczas jeszcze zażywać snu. Byłoby nietaktem budzić waszą wysokość.

— Powinni byli poczekać, aż sami się obudzimy.

— Zbyt cenna jest każda minuta.

Król przez chwilę ważył jej słowa, po czym zgodził się niechętnie.

— Wybaczamy im to wykroczenie, ponieważ zostało popełnione dla dobra naszej ukochanej Berzel. — Pochylił się do przodu, badawczo przyglądając się Księżniczce. — A ciebie zostawili tutaj.

— Prosiłam ich o to. Czułam, że tu w Othionie będę bardziej przydatna. — Ponieważ Ithian nie odpowiadał, zdecydowała się wyjawic, co leży jej na sercu. — Berzel od zbyt

dawna pozostaje bez czulej matczynej opieki. Wyrosła na młodą damę i wkrótce zapra-
gnie wyjść za mąż.

— Za mąż? Za kogo? Nikt nie pytał nas o zdanie! Jeśli jakiś pyszałek ośmiela się...
— poczerwieniawszy gwałtownie, Ithian wywijał w złości berłem jak pałką.

— Berzel nie myśli jeszcze o nikim konkretnym. Jest już jednak w wieku odpowied-
nim do zamążpójścia. Jak tylko upora się z tymi przemianami w wilkołaka, będzie
mogła...

— Nasza Berzel to jeszcze dziecko. Nie zdążyła całkiem wyrosnąć z pieluch, a ty mó-
wisz o małżeństwie?

— Wasza Berzel to piękna, młoda dama. Trzeba ją tylko nauczyć upinać włosy i pod-
szepnąć, że nie do twarzy jej w tych workowatych szarych szatach. Poza tym niczego jej
nie brakuje.

Ithian potrząsnął głową i zamachał wolną ręką, jakby opędzając się od słów
Księżniczki.

— Niemożliwe. Jak to? Przecież dopiero co, wczoraj nieledwie kołysałem ją maleńką
w ramionach.

— Oczywiście, ale później waszą wysokość tak pochłonęły sprawy państwowe naj-
wyższej wagi, że następne lata umknęły niepostrzeżenie.

— Bzdura. Nic nigdy nie umyka naszej uwagi — wyniośle zaprzeczył Ithian.

Księżniczka uśmiechnęła się.

— Zapytaj więc, panie, swojej rady.

Członkowie rady, dotąd przysłuchujący się całej rozmowie z lekkim rozbawieniem,
na te słowa przybledli i zaczęli wymieniać ze sobą nerwowe spojrzenia. Ithian dumiał
przez chwilę, a pociągnawszy się za ucho i poskrobawszy po brodzie, zdecydował:

— Tak też uczynimy. Erandronie, czy nasze dziecko jest już naprawdę piękną, młodą
damą? Mów szczerze! — rozkazał, zwracając się do jednego spośród radnych.

Nieszczęsny wybraniec rzucił wokół rozpaczliwym spojrzeniem. Pozostali członko-
wie rady czym prędzej odwrócili wzrok lub wręcz się odsunęli. Trupio blady z przeraże-
nia Erandron chrząknął i uśmiechnawszy się z potwornym wysiłkiem, ośmielił się wy-
dusić:

— Czyż dziecko waszej wysokości i najjaśniejszej Kanvaniry z Dales może nie być
piękne? Jest nie tylko piękne, lecz wręcz niewiarygodnie piękne. Wprost poraża swą
urodą.

— Zawsze była śliczna. Nie o to wszakże pytaliśmy. Jest jeszcze dzieckiem czy można
ją już nazwać kobietą? — nalegał Ithian z niebezpieczną nutką w głosie.

— Ona ma... ma siedemnaście lat, wasza wysokość — zająknął się Erandron.

W króla jakby piorun strzelił.

— Dlaczego nikt nas o tym nie powiadomił? Tyle miała Kanvanira, kiedy ją pozna-

liśmy!

— My... sądziliśmy, że wasza wysokość zauważył — wydukał Erandron słabym głosem, na próżno usiłując wtopić się w tłum, który przy każdym jego ruchu rozstępował się niczym w majestatycznym i uroczystym tańcu.

— Czy zauważyliśmy? Owszem, coś zauważyliśmy! — wykrzyknął Ithian. — Zauważyliśmy, że chociaż liczba podatników rośnie, złota z królewskiego skarbcza ubywa z każdym dniem, jakby wyciekało gdzieś między szparami w podłodze, a królewski skarbnik podejrzanie obrasta w tłuszcz i piórka. Zauważyliśmy także, że mimo iż handel z sąsiednimi królestwami rozkwita, cła importowe nie przynoszą dochodu, wysychając jak rzeki pod palącym słońcem pustyni. Zwróciliśmy też uwagę na zacieki w baszcie północnej, luźne płyty na dziedzińcu, rdzę na kolczugach gwardii przybocznej, myszy w spichlerzach, wodę dolewana do wina i wszechobecną niekompetencję! Czy mieliśmy czas zauważyć wiek naszej córki? Czy my mamy wyręczać wszystkich w Othionie w ich obowiązkach?

Członkowie rady zbili się w gromadkę jak kociaki wokół miski mleka, szepcząc między sobą i gestykulując żywo. Ithian powstał. Stanąwszy w rozkroku, z rękami na biodrach, głową wysuniętą do przodu, ryknął groźnie:

— I nie szemrać mi tu! Stać cicho, kiedy wpadamy w złość!

— Jeśli wasza wysokość pozwoli... — łagodnie zagadnęła Księżniczka.

— Tak? Mów.

— Doszliśmy do punktu, ku któremu zmierzałam. Ponieważ wasza wysokość zbyt-
nio obarczona państwowymi obowiązkami nie mogła mieć czasu na odpowiednie wy-
chowywanie córki, rozkwitła ona, nieświadoma tego, co każda dziewczyna w jej wieku
wiedzieć powinna. Jest piękna. Dojrzała też do małżeństwa, myśl o męźnych, dobrze
urodzonych młodzieńcach ubiegających się o jej rękę nie jest jej niemiła. Bardziej niż
kiedykolwiek potrzebuje matczynych wskazówek.

Ithian wpatrywał się w nią z namysłem, potem zaś odwrócił się do swoich radnych.
Ci potwierdzili żywo, wykrzykując:

— Tak, wasza wysokość! Racja! Jesteśmy tego samego zdania!

Czując, że jest to właściwy moment, Księżniczka pozwoliła sobie dodać:

— Pragnę pomówić jeszcze z waszą wysokością na ten temat. Powoduje mną jedy-
nie wzgląd na szczęście Berzel.

— Przychylamy się — wyniosłym tonem odparł Ithian. — Wezwiemy cię, a tymcza-
sem biegnij do Berzel.

Cóż za maniery! To nie do zniesienia! — irytowała się Księżniczka, opuściwszy kró-
lewską komnatę. „Wezwiemy cię”, też coś! Doprawdy, niejeden nie odważyłby się potrak-
tować służącego w sposób, w jaki on odnosi się do księżniczek. Albo „biegnij do Berzel”,
jeśli łaska. Jak na dłoni widać, że jemu bardziej brakuje ogłady niż Berzel. Zepsuty do

szpiku kości i tyle. Zbyt długo pozostawał w bezzennym stanie, co do tego nie ma cienia wątpliwości.

Wracając do swojej komnaty, Księżniczka dokonała szybkiego przeglądu potencjalnych kandydatek na żonę dla króla. Władczyni Othionu powinna mieć błękitną krew w żyłach, w przeciwnym razie taki człowiek jak Ithian przemieni życie swej wybranki w piekło. Gotów jest po tysiąc razy dziennie powtarzać o łaskawym „zniżaniu się” do jej poziomu, aż w końcu biedna kobieta poczuje się gorsza od najniższych sług. O, taka Luiza ze Śpiewającego Lasu poradziłaby sobie z nim — trzymałaby Ithiana mocno w garści. To by mu się przydało... Ale jej apodyktyczność zraziłaby Berzel. Przede wszystkim zatem należy brać pod uwagę to, czy kandydatka ma zadatki na dobrą matkę.

Idealnie warunek ten spełniałaby Wanda, kuzynka Luizy — osoba nad wyraz uprzejma i delikatna... Lecz ją szorstki w sposobie bycia Ithian w krótkim czasie zastraszyłby na śmierć. Nie, w żadnym razie nie Wanda. A może jej siostra Alicja? Łączyła cnoty tamtych dwóch, z jednej strony mocną ręką trzymałaby Ithiana, z drugiej — rozpieszczałaby Berzel. Poza tym rządzenie było dla niej chlebem powszednim. Oprócz zalet miała też niestety poważną wadę... dawno temu, pozostając przez dłuższy czas pod wpływem złego uroku, pełniła rolę królewskiej korony. Czyż można losy królestwa powierzać takiej osobie? Nigdy przecież nie wiadomo, czy takie przeżycie nie zdeformuje pewnego dnia jej psychiki. Prawdę mówiąc, pozostałe kandydatki doświadczyły w przeszłości podobnego losu. Luizę zamieniono w miecz, a Wandę — w różdżkę. Ach, jak trudno znaleźć księżniczkę bez skazy!

Niemożliwe, by nie istniała bodaj jedna odpowiednia kandydatka. Księżniczka rozmyślała i rozmyślała, ale nikt właściwy nie przychodził jej do głowy. Najlepsze partie dawno powychodziły za mąż albo też wciąż pozostawały w mocy czarów. Typowe tarapaty księżniczek w dzisiejszych czasach, podsumowała z niezadowoleniem, marszcząc brwi.

A może zamiast błękitnej krwi przyszej żonie Ithiana wystarczyłby inny, równie ważny tytuł do chwały? Dzięki temu powiększyłaby się znacznie liczba kandydatek. Lecz jakąż, u licha, zaletę da się porównać z wysokim urodzeniem? Księżniczka zaczęła zastanawiać się nad tym w skupieniu... Aż nagle odpowiedź nasunęła się sama: magia!

Co prawda, tylko wybrańcy losu rodzą się z błękitną krwią, podczas gdy czarno-księżnikiem, wiedźmą lub czarodziejką może zostać każdy przy odrobinie talentu i pracowitości. Niemniej to już jest coś. Nawet taki Ithian liczyłby się z żoną, gotową go w złości przemienić w jeża.

Okazało się jednak, że lista kandydatek spośród wrózek jest jeszcze krótsza niż w przypadku księżniczek. Taka na przykład leśna wiedźma Bess w ogóle nie kwalifikowała się na kandydatkę. A inne? Księżniczka aż uśmiechnęła się na myśl o Memane-

shy. Ta czarodziejka od razu pokazałaby Ithianowi, gdzie jego miejsce. Lecz ona właśnie, wolna jak ptak, rozpląnęła się gdzieś w niebycie i zapewne nieprędko wróci. Zresztą nie szkodzi — czarodziejki nie cieszą się opinią dobrych macoch.

W ten oto sposób stało się jasne, że tylko księżniczka wchodzi w grę. Księżniczka, usadowiwszy się przy ulubionym oknie, spoglądała na niebo, wciąż bezowocnie poszukując w pamięci kandydatki godnej zaszczytu poślubienia króla.

Może kilka okrążeń wokół Othionu odświeży jej umysł? Pogoda idealnie nadawała się do fruwania — na tle lazurowego nieba, hen, wysoko, przesuwało się z wolna zaledwie parę puchatych obłoczków jak z waty. Wstała i, cisnąwszy na bok płaszcz, przygotowywała się do startu, gdy wtem dobiegł ją dobrze znany, radosny głosik.

— Ach, Księżniczko, Księżniczko najdroższa! I co powiedział tatuś? Kiedy odbędzie się turniej? A jakie wyślemy zaproszenia? Mam nadzieję, że pogoda dopisze! A jeśli będzie padał deszcz, co wtedy? Wszystko utonie w błocie, a piękne, błyszczące zbroje zarzewieją! To straszne! Och, powiedz, że deszcz nie spadnie! Obiecuj mi to, proszę, kochana Księżniczko! Twój Kedrigern na pewno poradzi sobie z taką drobnostką jak powstrzymanie deszczu, prawda? Potem wystroimy się w piękne suknie będziemy rozdawać nagrody przystojnym książętom i dzielnym rycerzom... — i tak dalej, i tak dalej ćwierkała jeszcze długo Berzel, podskakując przy tym, płasząc, kręcąc się w kółko i klaszcząc w dłonie.

Księżniczka z westchnieniem podniosła płaszcz i przerzuciwszy go przez ramię, odwróciła się, zmierzając na spotkanie królewskiej córki. Urocza, słodka, przemiła dziewczyna — ale bardzo męcząca.

* * *

Na królewskie wezwanie Księżniczka musiała czekać aż do zapadnięcia zmroku. Posłusznie udała się do sali audiencyjnej. Ithian, wystrojony w obszerne szaty oblamowane szarym futrem, wstał, złożył ceremonialny ukłon i ucałował jej dłoń.

Dziwnie wyszukane powitanie jak na zwykłą rozmowę o kłopotach rodzinnych, pomyślała Księżniczka. Zawsze to jednak lepsze niż suche komendy lub wybuchy złości. Ithian wskazał jej miejsce obok siebie. Kiedy usiadła wygodnie, król podał jej srebrny kielich misternej roboty, identyczny z tym, z którego sam popijał, pytając:

— Wina dla naszego honorowego gościa?

Nie, nie był to zwykły powrót do dobrych manier — zachowanie króla zakrawało na prawdziwy przełom. Teraz roztaczał uroki męzczyzny ugrzeczniwego i nadskakującego. Księżniczka próbowała dociec, gdzie tkwi przyczyna tej rewolucyjnej zmiany. Może wywołały ją na nowo rozbudzone uczucia ojcowskie? Tak, na pewno. Pod powłoką pyszałka o odpychających manierach biło czułe serce ojca. Uśmiechając się słodko, odparła:

— Z przyjemnością, wasza wysokość.

Machając łaskawie dłonią, Ithian poprawił ją:

— Darujmy sobie te sztywne formy, droga Księżniczko. Zwracaj się do mnie po imieniu. — Napełnił jej kielich czerwonym winem, po czym wznosił toast: — Za najmilszego gościa Othionu!

— Zbytnią uprzejmość, Ithianie — wymamrotała Księżniczka.

— Dzisiaj rano poruszyłaś temat ważny dla przyszłości naszej córki i nas samych. Mam nadzieję, że zechcesz teraz przejść do szczegółów.

— Jak już wspomniałam wcześniej, Berzel potrzebuje matki. Weszła w ten niebezpieczny wiek, kiedy czujna opieka ze strony doświadczonej matki jest po prostu niezbędna.

— Członkowie rady zgodzili się z tą opinią, a i my ją podzielamy — przyznał Ithian.

— Doskonale. Wobec tego, kiedy tylko Berzel zostanie uzdrowiona, a możesz być pewny, że Kedrigern dokona tego już wkrótce, powinieneś urządzić wspaniały festyn, uświetniony rycerskim turniejem.

Król uniósł brwi.

— Turniej w Othionie? Ostatni odbył się na cześć narodzin naszej córki. Niezapomniane wydarzenie, trzydzieści dni potyczek i trzydzieści nocy ucztowania. Wyzwaliliśmy na pojedynek wszystkich przybyszów, co do jednego, i po kolei zrzucaliśmy ich z koni. Okryliśmy się ranami i przez parę następnych miesięcy poruszaliśmy się z trudem, ale zdobyliśmy sławę niezwycięzonego w boju bohatera. — Ithian westchnął na koniec i zapatrzył się w ogień. Przez mgnienie oka błada, nalana twarz przypominała oblicze dawnego, walecznego rycerza. Wsparłszy dłoń na biodrze, ciągnął: — Nie uważamy za właściwe uczestniczyć w potyczkach tym razem. Ustąpimy pola starającym się o rękę naszej Berzel.

— Słusznie — pochwaliła Księżniczka.

— Czeka nas wiele pracy. Trzeba pocerować sztandary, odczyścić z rdzy i wypolerować zbroje, nająć błaznów i kuglarzy, sprowadzić egzotyczne zwierzęta w wielkich klatkach, a w szczególności lwa. Lwa musimy mieć koniecznie. Pole turniejowe też wymaga naprawy...

— Zostawmy szczegóły na później, Ithianie. Najważniejsze jest, aby dzięki turniejowi Berzel spotkała wielu młodzieńców, którzy nadawaliby się na kandydatów do jej ręki. Czas najwyższy, by wreszcie pokazała się światu. Poza tym trzeba bez zwłoki odnowić całą jej garderobę. Obecne suknie twojej córki nie nadają się do niczego.

— Będziemy zachwyceni, jeśli zechcesz wziąć ciężar tej sprawy na swoje barki czy raczej niezwykle piękne ramiona. Jeszcze wina?

— Nie, dziękuję. Mam na myśli wino, bo odświeżeniem garderoby zajmę się z ochotą. Ponadto trzeba sprawić Berzel trochę biżuterii, zauważyłam bowiem, że teraz nie nosi

nawet pierścienia na palcu.

Ithian, przybrawszy nieszczęśliwą minę, odparł:

— Mamy w skarbcu kilka szkatuł kunsztownej biżuterii, ale zamierzaliśmy podarować je Berzel dopiero, gdy dorośnie.

— Nie traćmy więc czasu, już przecież dorosła.

— Tak też uczynimy. Dajemy ci wolną rękę we wszystkim, co dotyczy szczęścia naszej córki. Sprawuj nad tym władzę, jak i nad Othionem. A teraz przejdźmy do tej drugiej kwestii...

— Jakiej drugiej kwestii?

— Dobrej macochy dla Berzel i co za tym idzie, naszego powtórnego ożenku. Chętnie wysłucham twoich propozycji. — Ithian, podsunąwszy swoje krzesło bliżej Księżniczki, z napięciem wpatrzył się w jej twarz.

— Hm... Sądzę, że powinieneś związać się z kobietą pochodzącą z królewskiego rodu. Tylko księżniczka może cię uszczęśliwić. Poza tym Berzel czułaby się niezwykle niezręcznie, górując swoim pochodzeniem nad macochą. Nie wolno nam do tego popuścić.

— Bardzo rozsądnie. A czy nie powinna to być osoba, którą nasza Berzel instynktownie darzy sympatią?

— Zapewne, lecz nie musi to być warunek, gdyż Berzel bardzo łatwo nawiązuje kontakty ze wszystkimi. Ze mną zaprzyjaźniła się już przy pierwszym spotkaniu.

— Nie uszło to naszej uwagi — zaznaczył król. Opróżnił jednym haustem swój kielich i sięgnął po dzban. — Czy nasza urocza przyjaciółka na pewno nie życzy sobie już wina?

— Na pewno.

Ithian, napełniwszy swój kielich aż po brzegi, pociągnął zeń solidnie, po czym przez dłuższy czas uważnie przyglądał się Księżniczce, kontemplując jej urodę w świetle dwóch kandelabrow jarzących się na obu końcach stołu. Wreszcie przemówił:

— Kogo więc polecisz nam jako kandydatkę na królową Othionu?

— Prawdę mówiąc, mimo najszczerzych chęci nie udało mi się stworzyć listy godnych oblubienic. Tak dzisiaj trudno o urodziwe księżniczki.

— Gorzej! Nawet tych o przeciętnej urodzie nie uświadczysz nigdzie. Prawdziwy szczęściarz z tego Kedrigerna. Udało mu się podbić serce wyjątkowo pięknej damy.

Nagradzając komplement uśmiechem, Księżniczka odparła:

— Bardzo za nim tęsknię. Mam nadzieję, że jest cały i zdrowy. Tyle niebezpieczeństw czyha tutaj na podróżnych... Nawet czarnoksiężnicy muszą mieć się na baczności.

— Niech czarnoksiężnicy podróżują do woli, niech nawet wszyscy opuszczą Othion, nic nas to nie obchodzi dopóki ty, pani, jesteś tu z nami — zapewnił gorąco Ithian, wychylając do dna kolejny kielich. Odstawił go i otarłszy usta, ponownie napełnił, wraca-

jąc natrętnie do tematu: — Uważasz więc, że powinienem poszukać pięknej księżniczki, która cieszy się szacunkiem i miłością Berzel?

— To wyście najkorzystniejsze dla wszystkich.

— Zgadzam się całkowicie. Twoje włosy lśnią tak rozkosznie w świetle świec...

— Dziękuję ci Ithianie, lecz trzymajmy się tematu.

— Mówimy szczerze. Twoje oczy urzekają błękitem, łabędzia szyja budzi zachwyt.

Takiej piękności Othion nie podziwiał od śmierci naszej umiłowanej Kanvaniry.

— To naprawdę miło z twojej strony, Ithianie — dziękowała Księżniczka, wstając.

— Doceniam twoje komplementy, ale...

Nie dokończywszy, odskoczyła z krzykiem, Ithian bowiem, z łoskotem odrzuciwszy za siebie opróżniony kielich, runął do jej stóp.

— Bądź moja, Księżniczko! Zostań królową Othionu!

— Ithianie!

— Cały Othion cię uwielbia, Berzel cię potrzebuje, a my całym sercem popieramy ich wybór!

— Ależ ja jestem zameżna, Ithianie!

— Nie szkodzi. Podejmiemy odpowiednie kroki. Tylko ty żadna inna, najdroższa Księżniczko! Jesteś dla nas wymarzoną kandydatką na żonę! Jako jedyna spełniasz wszystkie kryteria, ustanowione przez siebie samą!

— Ithianie, ja kocham mojego męża! — przywoływała go do porządku Księżniczka, cofając się do drzwi.

Ithian podążał za nią na kolanach, wyciągając ramiona.

— Kedrigern to tylko czarnoksiężnik, a ja jestem prawdziwym mężczyzną, i do tego królem!

— Nie pozwalasz mi o tym zapomnieć — podsumowała sarkastycznie.

— A ty postąpisz nieroztropnie, ignorując to. Kedrigern będzie żył jeszcze długo, całe stulecia, nie zmieniając się prawie wcale. Za pięćdziesiąt lat będzie wciąż w kwiecie wieku, jak ty dzisiaj, podczas gdy ty przeistoczysz się w pokraczną, starą babuleńkę. To doprawdy ładna perspektywa dla takiej pięknej Księżniczki! Porzuć go i zostań królową Othionu! Jeśli Kedrigern naprawdę cię kocha, pozwoli ci odejść!

— Raczej zamieni cię w ropuchę!

— Niech szczerze ropuszy ród! — wrzasnął Ithian, dźwigając się z klęczek i wygrażając pięścią. — Dokonałiśmy wyboru, a ty masz być posłuszna!

— Ani słowa więcej. Wypiłeś o parę kielichów za dużo, Ithianie, a teraz...

Przerwała, gdyż Ithian nagle rzucił się ku niej. Szczęśliwie umknęła natarczywemu wielbicielowi, odruchowo wzbijając się powietrze. Król upadł na puste krzesło, które runęło pod jego ciężarem. Hałas wzmogły wściekłe okrzyki Ithiana oraz brzęk strąconego przy tej okazji kielicha Księżniczki. Król z trudem gramolił się z podłogi, dysząc przy

tym ciężko. Księżniczka odfrunęła dalej.

— Wracaj natychmiast na ziemię! Tak nie postępuje się z królem — poprosił zadziwiająco spokojnym, pełnym urażonej godności tonem.

— A król nie postępuje tak z damą. Wolę zostać tutaj — zdecydowała Księżniczka, na wszelki wypadek unosząc się jeszcze wyżej.

Ze zręcznością niespodziewaną u osoby tak potłuczonej i tak napełnionej winem, Ithian popędził chyżo do drzwi i zasunął rygle. Księżniczka salwowała się w ostatniej chwili ucieczką przez okno, wyprzedzając króla dosłownie o włos, kiedy rozpaczliwie rzucił się na oślep, by jej dosięgnąć. Zdołał pochwycić jedynie jej pantofelek.

Pofrunęła prosto do swojej komnaty, znajdującej się w przeciwległym skrzydle pałacu, oceniła bowiem, że zanim Ithian tam się wedrze, zdąży zawinąć trochę niezbędnego ekwipunku w koc i przygotować najwygodniejsze buty na drogę. Zmęczona i rozzłoszczona, z niechęcią myślała o konieczności nocowania w lesie. Przez moment rozważała nawet, czyby nie zamienić króla w cokolwiek — choćby w ropuchę, ale zrezygnowała z tego pomysłu. To nie tylko nie rozwiązałoby problemu, ale na dodatek zasmuciłoby Berzel. Trudno, niech będzie las.

Ostatecznie zdecydowała się zabrać dwa koce i poduszkę. Właśnie wsuwała stopy w buty, kiedy z hallu dobiegła ją narastająca wrzawa. Nie zwlekając dłużej, zatknęła różdżkę za pasek i wyfrunęła przez okno, kierując się w stronę lasu.

8. Odkurzanie pamięci

Prawie po trzech godzinach jazdy dwaj czarnoksiężnicy zatrzymali się, by odpocząć na polanie u wartkiego strumienia, obmywszy twarze i ręce orzeźwiająco zimną wodą, wyciągnęli się na trawie w cieniu dorodnego buka, pogryzając kanapki czarnego chleba grubo posmarowane masłem. Traffeo rozprostował nogi i splótłszy palce pod głową, obserwował prześwietlone słońcem liście na wierzchołku drzewa, głęboko wdychając przy tym wonne powietrze i mrużąc z zadowolenia. Kedrigern ziewnął głośno.

— To jest dopiero życie. Dziękuję, że wyrwałeś mnie z Othionu — odezwał się królewski czarnoksiężnik, przymykając oczy i uśmiechając się z lubością. — Zdażyłem tam nieomal zapomnieć, jak wspaniale jest podróżować.

— Szczęściarz z ciebie. Ja nigdy nie mogę zaznać spokoju, wiecznie muszę gdzieś się włóczyć.

— Mogę ci więc tylko zazdrościć, Kedrigernie. To pachnące powietrze, ten cichy szmer strumienia... Ach, cóż postawi cię na nogi skuteczniej niż czysta, chłodna woda z leśnego strumyka?

— Co? Miękkie łoże z czystą pościelą, kielich dobrze schłodzonego wina, drzemka w fotelu przed kominkiem w zimowy wieczór, zdrowy sen we własnych czterech ścianach, aromaty potraw przygotowywanych przez Ciapka w kuchni... — rozmarzył się Kedrigern.

Z wyrozumiałym uśmiechem Traffeo podsumował dyplomatycznie:

— Zapewne masz wiele racji, ja jednak wolę podróżę.

— Będziesz jeszcze miał ich dosyć.

— Wiem, co mówię, Kedrigernie. W dusznej atmosferze Othionu zmieniłem się nie do poznania. Nawet ciebie przyjąłem niezyczliwie, czego teraz ogromnie się wstydzę.

— Nie przejmuj się tym.

— Nie tak łatwo zapomnieć. Po wielu latach zamknięcia w murach Othionu upodobałem się do dworzan, stałem się człowiekiem zazdrosnym i podejrzliwym. Zacząłem nawet, jak dworzanin, stroić się w wyszukane fatałaszkę. Tymczasem ten prosty, podróżny strój o wiele bardziej mi odpowiada, jest wygodny i praktyczny — wy-

znał Traffeo. W ciemnoniebieskiej tunice, w wełnianym brązowym płaszczu oraz w spodniach i niskich butach wyglądał jak średnio zamożny kupiec. — Zawsze wolałem zwykłe odzienie, mniej rzuca się w oczy. A teraz, gdy udajemy się do opactwa...

— O tak, na tę okazję lepiej zapomnieć o czarnoksiężskich szatach. Zauważyłem jednak, że strój wpływa na nasze uczucia, zmieniwszy bowiem suknie, uwolniłem się od zawiści i niepewności, zżerających biednych dworzan. W Othionie nieustannie czułem się zagrożony. Twój przyjazd, zamiast otuchy, napełnił mnie jedynie obawą przed utratą posady.

— Uprzedziłeś się bezpodstawnie, gdyż nigdy nie przyszło mi do głowy, by ubiegać się o tytuł królewskiego czarnoksiężnika u Ithiana lub innego króla. Mimo to twoje zachowanie wydało mi się całkiem zrozumiałe. Królewskiego czarnoksiężnika musi zaniepokoić wieść, że król wzywa posiłki z odległych stron...

— Lecz ty uchodzisz za eksperta w tej dziedzinie — przerwał mu Traffeo — jedyną osobę, która miała szansę poradzić sobie z trudnym przypadkiem Berzel. Powinienem był się cieszyć, że dane mi będzie z tobą współpracować, mógłbym się przy tej okazji wiele nauczyć. Tymczasem, opętany zawiścią i zastraszony, zdolny byłem jedynie do okazywania irytacji i utrudniania ci pracy.

— Nie obwiniaj się zbyt. Nic się w końcu nie stało.

— Owszem, zmarnowaliśmy parę dni. Gdybym pomagał ci od początku, może właśnie wracalibyśmy do Othionu z lekarstwem dla Berzel. — Traffeo usiadł, posmutniawszy na tę myśl.

— Wystarczy, że teraz mi pomagasz. Nie wracajmy już do przeszłości. Pomyśl raczej, że przy odrobinie szczęścia wkrótce dotrzemy do tej księgi i odnalezionym w niej przeciwnakłębem wrócimy Berzel do zdrowia, zanim nastanie pełnia księżyca.

— Mam nadzieję. Doceniam twoją wyrozumiałość wobec moich błędów, Kedrigernie.

Kedrigern nie odpowiedział. Traffeo podniósł się i udał do strumienia. Napiwszy się z niego wody, zajął się wyszukiwaniem ziół na brzegu. W końcu wrócił z pustymi rękami do wylegującego się nadal Kedrigerna i siadając przy nim, zauważył:

— Coraz bardziej mi się to podoba. Uwielbiam podróże!

— Nie śpiesz się zbyt z opiniami, nasza podróż trwa zaledwie kilka godzin — studiował jego zachwyty Kedrigern, nie otwierając oczu i nie ruszając się z miejsca.

— To mi wystarczy. Takie życie przywraca radość istnienia, słońce, świeże powietrze, rzeźwiący cień drzew... Kawalek zwykłego chleba z masłem i pyszna woda ze strumyka są prawdziwą ucztą. A to niezrównane uczucie wolności, które cię rozpiera, ten stan spokoju z dala od zgiefkliwego tłumu, ta niczym nie zmacona radość oczekiwania następnego dnia, w którym wszystko się może zdarzyć... Nie wiemy, czym los obdarzy nas jutro, za godzinę, ba, za minutę! Czyż to nie wspaniałe?

— A deszcz? Błoto? A muchy, wygłodzone wilki, wilkołaki, olbrzymy, zbójcy i pełne czarów lasy? A podłe jedzenie w gospodach, wszy, skwaśniałe piwo? To też są „uroki” podróży.

— We wszystkim widzisz tylko ciemne strony.

— Jedyną jasną stroną podróży jest powrót do domu.

— Lecz oznacza on koniec wędrówki.

— O to właśnie chodzi — zgodził się Kedrigern, uśmiechając się pod nosem.

— Zaczynasz grymasić. Czyżby przygody przestały cię pasjonować?

— O nie, uwielbiam przygody, ale pod pewnymi warunkami. Nie pociąga mnie już niepotrzebne ryzyko, zbędne niewygody, długotrwała rozłąka z bliskimi, wieczne potyczki ze złodziejami, najpodlejsze czary podstępnie czające się na każdym kroku i mój biedny, zaniedbany żołądek, domagający się porządnej strawy.

— Skoro tak postrzegasz wędrówki, dziwne, że w ogóle kiedykolwiek dałeś się wyciągnąć z domu.

— Nic w tym dziwnego, zważywszy na moją profesję. Czy mi się to podoba, czy nie, muszę stawiać się na wezwanie. — Kedrigern usiadł. Poskrobawszy się w głowę, dokończył, ziewając: — Prawdę mówiąc, czasami ruszam w drogę, by zadowolić Księżniczkę. Ona pasjami lubi podróże.

— O tak, kobiety przepadają za poznawaniem nowych miejsc i ludzi.

— Z pewnymi osobnikami spotykanymi w drodze lepiej nie zawierać bliższej znajomości — zauważył Kedrigern z niesmakiem. Postępując, wstał ciężko i otrzepał się z trawy. — Miło było odpocząć, lecz czas już na nas. Do opactwa jeszcze co najmniej pięć dni drogi, które mogą się przedłużyć nawet do kilku wieków, jeśli się przez przypadek wplączemy w pułapki czarów.

— Znowu czarnowidztwo. Myśl pozytywnie — napomniał go Traffeo, otulając się płaszczem. — Nic nam się nie oprze, jeśli połączymy swe siły. Przecież jesteśmy dwoma szczególnie utalentowanymi czarnoksiężnikami.

— Cóż za pewność siebie!

— Tobie ją zawdzięczam, Kedrigernie. Zmusiłeś mnie, bym wreszcie spojrział prawdzie w oczy. Dzięki temu odkryłem, że przez wiele lat żyłem jak potępieniec, próbując okupić grzechy, których nie popełniłem.

Kedrigern uniósł brwi z zainteresowaniem. Kiedy podążali do koni, Traffeo kontynuował:

— Po pierwsze, ci wszyscy wieśniacy, młynarze, garbarze oraz kupcy i osoby wysoko urodzone przybyły do mnie z własnej, nieprzymuszonej woli. To oni mnie odnaleźli, bez słowa zachęty z mojej strony. Po drugie, nie wyjaśniłem im, że zaklęcia nie można będzie odwrócić, ponieważ nikt mnie o to nie zapytał. Mało tego, nie dopuścili mnie wcale do głosu! Gdziekolwiek udawało się im mnie dopaść, przekrzykiwali się, błaga-

jąc: „O wielki czarnoksiężniku! Uczyń moją małą córeczkę brzydkim, tłustym staruchem!” albo: „O wszechpotężny Imberwicu! Ocal moją córkę! Niech upodobni się do lorda Chamberlaina!”. Poddali mnie ogromnej presji, oferując ogromne honoraria, których stawki rosły wraz z napływającymi plotkami o zbliżaniu się wroga. Bez cienia wątpliwości zapewniali, że gotowi są podjąć wszelkie ryzyko. Nawet ich córki nalegały na podjęcie spieszych działań. Sądzę, że w końcu cała sprawa urosła do rangi problemu społecznego. Gotowość rodziców do przeprowadzenia transformacji córki zaczęła być powszechnie uznawana za świadectwo rodzicielskiej miłości lub publiczne stwierdzenie urody dziewczyny. Nikt nie śmiał więc się wyłamać, ciągnęli do mnie wszyscy. A ja mimo całego zamieszania i ogromnego przepracowania poświęciłem tej pracy wiele uwagi, podjąwszy wszelkie możliwe środki ostrożności.

— Dlaczego zatem uciekłeś? To przecież postawiło cię w niekorzystnym świetle.

— Wiem, ale nie miałem wyjścia. Nie sposób dyskutować z tłumem rozjuszonych rodziców uzbrojonych po zęby. Żałowałem, nie mogąc zakląć ich na pewien czas, dopóki się nie uspokoją, na przykład w świerszcze. Niestety! Ponieważ od dłuższego czasu zajmowałem się wyłącznie jednym zaklęciem, wyszedłem z wprawy. Wziąłem więc nogi za pas. A prawdą jest, że uciekając, zaczynasz się czuć i myśleć jak prawdziwy uciekinier. Przemykasz przez życie chyłkiem, z pochyloną głową, z dławiącym poczuciem winy. Przez dłuższy czas potem, nawet w Otranto, każda przypadkowa wzmianka o Imberwicu wtrącała mnie w otchłań wyrzutów sumienia. Dopiero w Othionie odnalazłem spokój. Jak się okazało — na krótko. Pewnego dnia bowiem kompletnie mnie załamał widok grubego i odpychającego starca. Goryczy dopełnił fakt, że nie umiałem pomóc Berzel. Wtedy ostatecznie utraciłem wiarę w swoje siły.

Kedrigern wzruszył ramionami.

— Bez właściwego zaklęcia ja też nie mogę nic wskórać. Nie wiadomo zresztą, czy ktokolwiek jest w stanie coś tu poradzić. Nie należy poddawać się przygnębieniu, mając do czynienia z tak skomplikowanymi przypadkami.

— Dzięki tobie w końcu się tego nauczyłem. Ponadto tym razem wszystko skończy się pomyślnie, czuję to. Znajdziemy odpowiednie dla Berzel zaklęcie w „Księdze pięciu błękitnych ślimaków”, pomagającej rozwikłać przypadki beznadziejne.

— Oby tak się stało.

Dosiedli koni. Po godzinie dojechali do rozwidlenia dróg. Nie widząc żadnego drogowskazu, Kedrigern zatrzymał się, by rozeznac teren.

— Nie przypominam sobie tego miejsca — stwierdził zaniepokojony.

Traffeo bezradnie rozłożył ręce.

— Nie znam tej drogi. Nigdy tędy nie jechałem — rzekł.

— A ja owszem, a mimo to nie pamiętam żadnego rozwidlenia. Czy w tych stronach grasują czarnoksiężnicy? Czy można się tu natknąć na zaklęcia lub czary? Czy czarna

magia ma dostęp do tych okolic?

— Znajdziesz tu wszystkiego po trochu. O dzień drogi stąd na północ rośnie Gaj Cieni, ze wszech miar ponure miejsce. Ponadto Czarny Błazen bawi się wyjątkowo podłymi magicznymi sztuczkami w pobliskim lesie, jednak do tej pory drogi zostawiał w spokoju. Wróżki trzymają się z dala od dróg, więc to nie ich sprawka. Pozostają nam jeszcze: Szalony Młynarz, Wiedźmy z Płonącej Studni, Kiwająca Rączka, Wampir z Bagien Grongona oraz elfy i gnomy, ale oni są zbyt zajęci swoimi sprawami.

— Niezły tłumek, jak na taki mały las — zdziwił się Kedrigern. — Poślaniec Ithiana nic mi o nich nie wspomniał.

— Tu ciemny gąszcz kryje głębokie jamy i przepastne wąwozy, mamią wzrok samotne turnie chłostane wiatrem. Toteż teren przyciąga wielu czarnoksiężników, wiedźmy i czarodziejki. Wszędzie wokół odnaleźć można ślady ich działalności, bo niektórym nie starczyło talentu na usunięcie skutków niefortunnie rzuconych czarów.

— Partacka robota to jedyna rzecz, która jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Czy mamy tu stracić pół dnia tylko z powodu jakiegoś półgłówka, który nie był uprzejmy odwołać bezsensownie rzuconego zaklęcia? — ze złością gderał Kedrigern, wygrzebując z głębokiej kieszeni srebrny medalion.

Uniósłszy go do oczu, począł badać oba odgałęzienia drogi. Szczelina Prawdziwej Wizji, znajdująca się w środku medalionu, ukazała oczom czarnoksiężnika drogę prostą, bez żadnych odgałęzień. W miejscu iluzorycznego rozstaju czaił się szkaradny stwór, wydłużony i cienki, zaostrowany na końcu jak kieł, zagięty jak pazur, tak niecierpliwie wyglądający swych ofiar, że aż ślina kapała mu z pyska. Okropne pasożyty przypominające szczury z rozżarzonymi szczypcami pełzały mu po grzbiecie, kłasnając się nawzajem bezlitośnie.

Kedrigern, opuściwszy medalion, popatrzył jeszcze raz na drogę gołym okiem. Tak jak wcześniej, zobaczył dwa odgałęzienia.

— Pojedziemy w lewo — oznajmił. — Droga w prawo jest złudzeniem. Na niej czai się lichy.

— Jakie lichy?

— Wyjątkowo odrażające i kłębią się na nim pasożyty bez oczu.

— Jest duże?

— Całkiem spore.

— To coś nowego. Pierwszy raz słyszę o takim lichu.

Kedrigern spojrział na królewskiego czarnoksiężnika z ukosa.

— Oto jedna z nieporównanych zalet podróży, cudowne niespodzianki, które przynosi nam każda minuta — podsumował sarkastycznie.

Ruszyli lewą, prawdziwą odnogą. Nie zdążyli ujechać czterdziestu kroków, kiedy zza pleców dobiegł ich mrożący krew w żyłach ryk, od którego ziemia zadrzała i zatrzęsły

się drzewa po prawej stronie drogi.

— Tak krzyczy srodze zawiedzione lichy — wyjaśnił Traffeo.

— Nie chciałbym się znaleźć na miejscu... — zaczął Kedrigern, lecz nie dokończywszy, ściągnął nagle cugle. — Traffeo, musimy coś zrobić. Prędzej czy później nadciągnie niczego nie podejrzewający wędrowiec i wybrawszy niewłaściwą odnogę, wpadnie w szpony tego potwora. Nie możemy do tego dopuścić.

— Zgadzasz się. Co proponujesz?

— Stawiam na wygnanie.

Traffeo poklepał uspokajająco swojego zdenerwowanego konia. Rozważał pomysł Kedrigerna, w skupieniu głaszcząc długą brodę. W końcu pokiwał powoli głową.

— Czy uczynisz mi tę łaskę i pozwolisz, bym sam rzucił zakłęcie? Im szybciej wrócę do czarnoksięskich praktyk, tym lepiej.

— Świetny pomysł! Oddaję tę sprawę bez reszty w twoje ręce — wielkodusznie zgodził się Kedrigern.

Traffeo, zeskoczywszy z konia, rzucił Kedrigernowi cugle. Przez chwilę zbierał myśli, przygotowując się do wypowiedzenia dawno nie używanych słów. Wyliczał przy tym coś na palcach i bezgłośnie poruszał ustami. Wreszcie, wzięwszy sześć głębokich oddechów, odwrócił się w stronę niewidzialnego licha. Niespiesznie odwinął rękawy i rozłożył uroczyście ręce.

W lesie powstało niewielkie poruszenie, lecz Traffeo nie zwracał na nie uwagi. Przez chwilę stał bez ruchu, milcząc. Potem, odrzuciwszy głowę do tyłu, przemówił językiem dziwnie szorstkim i chropowatym. Padające słowa burczały, zgrzytały i brzęczały. Z każdym kolejnym słowem las burzył się coraz bardziej, kipiał i szalał. Mniejsze drzewa wraz z korzeniami, wyrwane z ziemi, wystrzeliły w powietrze wraz z fontanną odłamków skalnych i błota. Kedrigern z zaciekawieniem przyglądał się tym zjawiskom, podczas gdy Traffeo kontynuował z niezmaconym spokojem. W końcu, jak nożem uciął, zapanowała cisza.

Traffeo jeszcze przez moment stał nieruchomo, potem powoli opuścił ręce. Odwróciwszy się do towarzysza podróży, złożył pełen godności ukłon. Kedrigern klasnął głośnie.

— Doskonale, świetnie!

— Dziękuję.

Traffeo, porządnie napiwszy się wody, otarł usta i zanim dosiadł konia, na chwilę jeszcze oparł się o siodło. Kiedy ruszyli ponownie w drogę, zauważył:

— Zapomniałem, że rzucanie zaklęć jest takie wyczerpujące.

— O tak, może człowieka zupełnie wykończyć — przyznał Kedrigern.

Przez resztę poranka podróżowali w milczeniu. W południe urządzili sobie kolejny popas. Tym razem Traffeo zasnął natychmiast po jedzeniu. Kedrigern pozwolił mu wy-

poczywać przez dobrą godzinę. Potem wrócili na szlak.

Kiedy zatrzymali się na nocleg, ciągle jeszcze osłabiony Traffeo zasnął natychmiast, witając zachód słońca głośnym chrapaniem. Chcąc nie chcąc, Kedrigern też położył się wcześniej. Wstali przed świtaniem, by o wschodzie słońca wzbijać już znowu kurz na drodze. Tego dnia Traffeo ożywił się trochę. Choć skutki wczorajszego wysiłku wciąż było po nim znać, jednak po spokojnie przespanej nocy miał więcej sił i lepszy humor. Podczas pierwszej tego dnia przerwy w podróży usta mu się nie zamykały. Perorował o zaletach czarnoksięskiej profesji z takim samym zapałem, jak wcześniej o podróżach. Kedrigern spokojnie żuł kawałek chleba, zagryzał serem i popijał wodą, pozwalając koledze trajkotać. Dopiero kiedy Traffeo przeszedł do zachwytów nad promienną przyszłością ich fachu, poczuł się w obowiązku sprowadzić go na ziemię.

— Wybacz, ale w tym punkcie nie mogę się z tobą zgodzić. Ponieważ bardzo kocham i szanuję swoje zajęcie, jego przyszłość leży mi głęboko na sercu. Obawiam się jednak, że należymy do ostatniego pokolenia uprawiającego tę sztukę zgodnie z odwiecznymi kanonami.

— Dlaczego tak twierdzisz? Co rok zgłasza się do mnie co najmniej jeden chętny do nauki, utalentowany młodzieniec.

— A czy ten zdolny młodzieniec skłonny jest poświęcić się wieloletniemu terminowaniu? Latami studiować, praktykować, doskonalić swój warsztat? O nie, tego się po nim nie spodziewaj. Owszem, zgłasza swoje zainteresowanie nauką, ale w rzeczywistości chodzi mu jedynie o to, by poznać kilka robiących wrażenie fachowych zwrotów i, liźnawszy też trochę wiedzy o zaklęciach, zostać konsultantem. — Kedrigern pokręcił głową ze smutkiem. — Najprzykrzejsze jest to, że choć nie umie prawidłowo rzucić zaklęcia, wcale nie pali się do nauki. Wyobraża sobie, że zgarniając spore wynagrodzenie, będzie sobie mógł pozwolić na podnięcie starego czarnoksiężnika na emeryturze, który go w tym wyręczy.

— Zobaczysz, że zmieni się, gdy tylko zdobędzie trochę doświadczenia — zaoponował Traffeo żarliwie.

— Wątpię. A jeśli nawet, pozostają jeszcze alchemicy. To dopiero banda bezwstydných naciągaczy, co jeden to lepszy. Przyciągają tłumy omamionych klientów, a młodzi, zdolni, lgną do nich, przywabieni tajemniczo brzmiącym żargonem i ekstrawaganckimi tytułami, którymi obsypują się nawzajem.

— W Othionie nie ma alchemików.

— Macie szczęście. To wyjątkowi ponuracy. Jeśli przejmą wyłączność na sztukę magiczną, zaklęcia i prawdziwa magia pójdą w zapomnienie. Zastąpią czary proszkami, tajemniczymi pigułkami i tabletkami ukradkiem rozpuszczanymi w winie. Przerobią magię w bezduszny sklepik, w którym za pieniądze kupisz gotowe środki dobre na wszystko.

- Zbyt straszne, by o tym myśleć — zdławionym głosem wykrztusił Traffeo.
- Jedyna nadzieja w tym, że pewnego dnia i ich ktoś wyprze, tak jak oni nas.
- Słaba to pociecha.
- To prawda.

Westchnawszy głęboko, pograżyli się w ponurym milczeniu, tępo patrząc przed siebie. Po pewnym czasie wstali, przygotowując się do drogi. Ledwo Traffeo dosiadł konia, a Kedrigern nie zdążył nawet wsunąć nogi w strzemień, kiedy tuż za drzewami rozległ się straszliwy harmider. Potworny ów hałas przypominający na pół ludzki, na pół zwierzęcy ryk pomieszany z piekielnym, metalicznym zgrzytem urozmaiconym całą gamą pisków, skrzeków, skrzypień, zawodzeń, warkotu i żalosnego wycia wstrząsnął okolicą.

Wierzchowiec Kedrigerna odskoczył w popłochu, a przerażony koń Traffea stanął dęba, rżąc dziko. Kiedy Kedrigern ruszył za swoim rumakiem, drzewa przy drodze rozsunęły się, odsłaniając ukryte za nimi całe i zdrowe, wygnane lichy! Z bliska wydawało się jeszcze większe i bardziej przerażające niż widziane przez Szczelinę Prawdziwej Wizji. Wlepiło wszystkie pięć oczu w czarnoksiężnika, toczyło z paszczy obrzydliwy śluz i wystawiło ostre szpony, gotując się do skoku. Ślepe pasożyty zwieszające mu się wokół szyi kłapały wściekle szczękami.

— Myślałem, że pozbyłeś się tego paskudztwa — zdziwił się Kedrigern, cofając z obrzydzeniem.

— Usunąłem je!

— Dokąd?

— Donikąd. Po prostu wygnałem je stąd — wyjaśnił Traffeo, zmagając się z wierzgającym koniem.

— Traffeo, jeśli chcesz na dobre pozbyć się licha, musisz je wygnać w konkretne miejsce. W przeciwnym razie gotowe jest niespodziewanie wrócić, tak jak teraz — napomniał go zirytowany Kedrigern, nie spuszczać wzroku z paskudnej bestii.

— No tak, rzeczywiście. Teraz sobie przypominam. Tak mi przykro, Kedrigernie. Wszystko przez to, że zupełnie wyszedłem z wprawy.

Licho zwróciło wzrok na Traffea. Zasyczało przeciągle, przygięło się do ziemi, gotując do skoku. Korzystając z nieuwagi potwora, Kedrigern uniósł ręce, by zaklęciem przenieść go gdzieś daleko stąd. Zanim jednak zdążył wymówić pierwszą sylabę, pokraczne lichy znieacka rzuciło się w bok na niego, a nie na Traffea. Czarnoksiężnik, uskoczywszy w ostatniej chwili, potoczył się w las, cudem wyslizgując się z zasięgu pazurów. Kiedy gramolił się na nogi, lichy nagle rozpląnęło się bez śladu. Zniknęło tak błyskawicznie, że powietrze aż mlasnęło głośno, gwałtownie wypełniając powstałą próżnię.

— Udało się — z ulgą westchnął Traffeo. Mówił spokojnie, choć lica miał przybladłe i wyglądał na wstrząśniętego.

— Brawo! Wygnanie?

— Tak. Tym razem uczyniłem to zgodnie z wszelkimi arkanami sztuki. Odesłałem je do tego, kto był tak uprzejmy i zesłał nam je tutaj — wyjaśnił królewski czarnoksiężnik z triumfalnym uśmiechem.

— Znakomity pomysł. Ktokolwiek zesłał to lichy na ziemię, zasługuje na małą rewizytę potworka. Jak się czujesz?

— Wycieńczony, ale zadowolony. To był niezły trening.

Pomimo iż przygoda ta wytrąciła ich z równowagi, woleli oddalić się jak najspieszniej, nie tracąc czasu na odpoczynek. Otrzepawszy się z ziemi, Kedrigern ruszył na poszukiwanie swojego konia. Kiedy go znalazł i dosiadł, mogli już bez przeszkód wrócić na szlak. Aby nadrobić stracony czas, pędzili przed siebie, nie zatrzymując się aż do późnego wieczoru. Po drodze nie napotkali już żadnych innych magicznych niespodzianek ani wędrowców. Trzeci dzień wędrówki przywitał ich deszczem. Padało skąpo, a raczej mżyło aż do nocy. Następnego dnia za to wynagrodził im niewygody piękną, słoneczną pogodą.

Kiedy wychynęli zza opasanego drogą wzgórza pod wieczór w piątym dniu podróży, Kedrigern wskazał Traffeowi górę piętrzącą się na przeciwległym krańcu doliny, do której właśnie wjeżdżali. Na jej szczycie, oświetlone zachodzącym słońcem, pyszniły się potężne mury opactwa.

9. Niespodziewana uczta

Przy suchej i bezwietrznej pogodzie wierzchołek drzewa dla kogoś umiejącego fruwać stanowi idealne miejsce na nocleg — spokojne, zaciszne i bezpieczne. Toteż Księżniczka obudziła się wypoczęta i zadowolona.

Ciszę jasnego, chłodnego poranka od czasu do czasu urozmaicał jedynie kojący szum drzew i odległe ptasie trele. Przez dłuższą chwilę leżała szczelnie otulona, wciąż podsypiając słodko, aż w końcu przebudziła się na dobre. Rozwiesiwszy koce na najwyższych gałęziach, wleciała ponad wierzchołek drzewa, aby ustalić, gdzie się znajduje. Z jednej strony w oddali, w porannej mgle zamajaczyły kontury wież Othionu. Spojrzawszy w przeciwną stronę, ujrzała zarysy odległych gór — tam udał się jej mąż, a teraz i ona powinna tam pojechać. Zamierzała go dogonić, by ujawnić perfidny postępek Ithiana i obmyślić stosowną dlań karę.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Ithian powinien zostać ukarany. Nie można puścić płazem takiego zachowania, nawet jeśli niełatwo przyjdzie opisać biednej Berzel okoliczności występku. Jak on śmiał w taki sposób potraktować gościa, księżniczkę, żonę starego przyjaciela, oddaną powiernicę córki? O nie, tego tolerować nie wolno! W miarę jak rosło jej pragnienie zemsty, utwierdzała się również w przekonaniu, że Kedrigern zechce uczestniczyć w wymierzaniu sprawiedliwości — w końcu jego także obrażono.

Tu przypomniała sobie o Zorschu. Oby tylko nie podjął żadnych pochopnych działań na wieść o jej odlocie. Zapewne nie uda mu się odkryć prawdziwej przyczyny jej zniknięcia, niemniej gotów zachować się nielojalnie wobec Ithiana i ruszyć za nią. Narazi się na wiele niebezpieczeństw, wyruszając w pojedynkę; lecz gdyby nadciągnął w otoczeniu zbrojnych Ithiana, ją z kolei wciągnąłby w tarapaty. Tak czy siak, jeśli nie zostanie w Othionie — sprowadzi tylko kłopoty.

Aczkolwiek jego ucieczka mogłaby okazać się przydatna — przyprowadziłby jej konia, dzięki czemu nie musiałaby latać cały czas. A i ciepły płaszcz na chłody byłby nie do pogardzenia.

Pomyśli o tym jeszcze, później, kiedy już znajdzie się u boku Kedrigerna. Tymczasem

teraz powinna się przede wszystkim zająć zdobyciem pożywienia. Ssanie w żołądku uświadomiło jej to boleśnie. Opuściła Othion w pośpiechu, zdążywszy porwać ze sobą jedynie torbę pielgrzymią z kilkoma czerstwymi kawałkami chleba w środku; nie wzięła nawet wody. A o tej porze roku niełatwo znaleźć coś nadającego się na posiłek...

Dostrzegłszy przez prześwity wśród gałęzi niewielką polankę przeciętą wąskim strumykiem, wylądowała tam. Obmyła twarz i napiła się do woli źródlanej wody. Potem rozgościła się na brzegu i wyjąwszy z torby suchą piętękę chleba, wielkości dziecięcej piąstki, poczęła jeść.

Żuła powoli, delektując się każdym kęsem, nie gardząc nawet najmniejszą okruszyną. Mimo to kiedy skończyła, była nadal głodna. Zostały jej jedynie trzy skórki chleba tak twarde, że nie mogła ich ugryźć, oraz niejadalny, brązowy kawałek czegoś, co kiedyś mogło być serem. I nic więcej. O zdobyciu czegokolwiek nie warto nawet marzyć — było za wcześnie na jagody lub owoce, a zbyt późno na orzechy. Lepiej też zapomnieć o gospodach, wioskach czy choćby samotnej chacie w tej bezludnej okolicy. Pozostawała magia, ale niestety, Księżniczka nie miała dość wprawy, by różdżką wyczarować sobie trochę jedzenia. Słowem — czekały ją chude dni. Zamknawszy torbę, uklękła przy strumieniu. Przynajmniej świeżej wody ma pod dostatkiem.

Kiedy pochyliła się nad strumieniem, usłyszała w oddali dźwięk, który zaniepokoił ją ogromnie. Nie miała wątpliwości — to głos człowieka, choć z dużej odległości nie umiała rozpoznać, czy to głos męski, kobiecy czy dziecięcy. Napiwszy się pośpiesznie, przyczaiła się w gąszczu drzew na skraju polanki.

Przez pewien czas nie słyszała nic oprócz zwykłych odgłosów lasu budzącego się ze snu, lecz w końcu ponownie głos ów dotarł do niej z daleka. Spora odległość uczyniła go tak niewyraźnym, że Księżniczka nie wiedziała, z której strony nadchodzi, zbliża się czy też oddala. Mogło to być równie dobrze nawoływanie myśliwego, jak okrzyk przestachu, wybuch radości, błaganie o pomoc lub ostrzeżenie.

Usłyszawszy głos po raz trzeci, ciągle jednakowo niewyraźnie, wzbiła się w powietrze. Stąd słyszała lepiej, toteż za czwartym razem wiedziała już, że głos należy do kobiety, a za piątym rozpoznała go i wykrzyknęła radośnie:

— Berzel, kochanie, nie ruszaj się z miejsca! Lecę do ciebie! Po chwili stała już przy Berzel, która zwinnie zeskoczyła z konia prosto w jej objęcia. Uściskały się serdecznie. Berzel, śmiejąc się wesoło, oznajmiła:

— Och, Księżniczko! Kochana Księżniczko! Ucieknę razem z tobą! Tata postąpił jak potwór! Nie chcę go więcej widzieć! Nigdy nie wrócę do Othionu!

— Kto ci o tym powiedział?

— On sam! Wpadł do mojego pokoju jak furia, oskarżając mnie, że zachęciłam cię do zrobienia czegoś, co stało się powodem całego zajścia. Dotąd jednak nie wiem, kochana Księżniczko, o co właściwie poszło.

— Próbowałam namówić twojego ojca, żeby ożenił się powtórnie. Zdaje się, że wziął to za oświadczyzny z mojej strony.

— Przecież jesteś zamężna!

— Ten drobiazg król zlekceważył zupełnie.

Trzeba go surowo ukarać. Czy wymyślisz coś strasznego dla niego?

— Tak, nie wiem tylko co. Muszę naradzić się z Kedrigernem. Jakakolwiek byłaby to kara, ponieść ją musi nieodwołalnie.

— Dobrze — zgodziła się Berzel, brykając i wycinając hołubce. — A my uciekniemy razem i razem zamieszkamy, i ty przekażesz mi całą swoją wiedzę, a kiedy uznasz, że dojrzałam już do małżeństwa, znajdziesz mi przystojnego księcia, a on wybuduje dla nas piękny pałac tuż obok waszego i aż do końca życia ty i ja już się nie rozstaniemy! Czyż to nie cudowne?

— Cudowne — potwierdziła Księżniczka bez przekonania. — Powiedz mi, kochanie, co przywiozłaś z sobą? — zapytała niecierpliwie.

Berzel triumfalnie wskazała dwa obładowane konie stojące nieopodal.

— Wszystko czego dusza zapagnie! Twoje suknie, płaszcze i buty, nawet ten, który wpadł w ręce tatusia, oraz trochę moich ubrań na początek, bo potem przecież skompletujesz mi całkiem nową garderobę, bardziej odpowiednią dla księżniczki.

— A żywność?

Berzel wyglądała na zdziwioną.

— Żywność?

— Coś do jedzenia, kochanie. Nawet księżniczki muszą od czasu do czasu coś przegryźć.

— Nie mam pojęcia o żywności, tym zajmuje się służba.

— Ale tu w lesie nie mamy służby, kochanie.

Oczy Berzel stały się okrągłe ze zdumienia.

— Ja zawsze miałam służących.

— Do tej pory. Jednak porzucając Othion, pozbyłaś się również służących.

Berzel zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Po chwili się rozpromieniła.

— Wrócę po kilku służących — oznajmiła raźnie. Księżniczka, ująwszy Berzel pod ramię, poprowadziła ją ku ocienionej stronie drogi, łagodnie perswadując:

— To chyba nie jest dobry pomysł, kochanie. Swoim wyjazdem zapewne okrutnie rozsierdziłaś ojca. Nie puści ci tego płazem, a nie licz na to, że uda ci się wślizgnąć do Othionu niepostrzeżenie.

— Dobrze więc, nie pojedę — zrezygnowała dziewczyna z buntowniczą miną. — Zostanę, by umrzeć z głodu. Razem umrzemy, obejmując się, kochana Księżniczko, zupełnie jak w bajce o szlachetnych sierotkach. Odejdziemy na zawsze, wycieńczone, lecz z pogodnymi uśmiechami na twarzach. A tatuś znajdzie nasze zwłoki u stóp

drzewa i będzie się miał z pyszna.

— Żywię szczerą nadzieję, kochana Berzel, że do tego nie dojdzie. Z pewnością grozi nam głód, lecz nie chcę zaraz umierać z tego powodu. Teraz przede wszystkim zdejmemy juki z naszych dzielnych wierzchowców.

— Przeberzemy się?

— Nie, zostawimy te rzeczy tutaj, a same pognamy co koń wyskoczy śladem Kedrigerna i Traffea. Oni mają dostateczny zapas żywności dla czworga. Potem zatrzymamy się na jedną noc w opactwie. Choć mnisi nie witają tam kobiet z otwartymi ramionami, nie odmówią nam noclegu ani pożywnego posiłku. Następnie udamy się we dwie do naszej siedziby w Cichym Gromie, gdzie poczekamy, aż Kedrigern przywiezie lekarstwo dla ciebie. Co dalej, zobaczymy...

— Ach, Księżniczko, jesteś świetnie zorganizowaną osobą! Niezwykle zgrabnie to wszystko zaplanowałaś. Nauczysz mnie też tej sztuki, prawda?

— Przy pierwszej sposobności.

— A co z twoimi wspaniałymi ubraniami? — nagle zaniepokoiła się Berzel.

— Nic im nie grozi. Zabiorę ze sobą jeden płaszcz na zmianę, a resztę zaczaruję.

— Umiesz rzucać zaklęcia?

— Czasami, kochanie. Daj mi rękę i chodźmy już. Ty poskładasz ubrania, a ja tymczasem polecę po koce, które zostawiłam na wierzchołku drzewa. Nie traćmy więcej czasu.

* * *

Popędzane nasilającym się głodem pokonały tego dnia spory kawał drogi. W końcu zapadający zmrok zmusił je do zatrzymania się na nocleg. Podzieliły się sprawiedliwie jedną z ostatnich części chleba, łamiąc ją na dwa kawałeczki wielkości ziarnka grochu. Jadły powoli, popijając ogromnymi ilościami wody, na próżno usiłując oszukać żołądek. Po tej mizernej kolacji, owinąwszy się we wszystkie koce i płaszcze, ułożyły się do snu.

Przez cały wieczór Berzel zachowywała niezwykle dla niej milczenie. Wpatrywała się markotnie w ogień, aż w końcu Księżniczka odgadła, że dziewczyna zaczęła zdawać sobie sprawę z przykrych następstw ucieczki. Zabrakło taty, który odpędzał troski, zniknęła służba w lot spełniająca najbardziej wyszukane zachcianki, rozplynęli się zbrojni strzegący jej bezpieczeństwa, daleko pozostał pałac, udzielający przytulnego schronienia w czas niepogody, no a przede wszystkim nieosiągalnym marzeniem stały się pyszne dania z królewskiej kuchni: wonne pieczenie, delikatny drób, wyborne ryby, cynaderki, parówki, gulasze, gęste zupy i sosy, nie wspominając już o chrupiącym pieczywie, bułeczkach i rogalikach, ciastach i ciasteczkach, plackach z owocami, słodkich budyniach, kremach, dżemach i galaretkach, i wreszcie soczystych owocach i pachnących jagodach. Zamiast wszystkich tych wspaniałości pozostał jej tylko ciemny las, resztki

suchego chleba i woda.

To właśnie otrzymała w zamian za szczerzy gest przyjaźni i oddania. Poświęciła wszystko dla mnie, wzruszyła się Księżniczka z sercem wzbierającym czułością dla śpiącej obok dziewczyny. Czy podoła ciężkiemu brzemieniu odpowiedzialności za dalsze losy tego dziecka? Spojrzawszy na Berzel — bezdomną, prześladowaną, opętaną przez złe moce czarnej magii — wspomniała siebie samą w jej wieku, nieszczęśliwą za sprawą podłej i mściwej czarownicy z bagien. Aż ją ciarki przeszły na myśl o tych smętnych dniach, miesiącach, latach, a może nawet dziesiątkach lub setkach lat spędzonych na Smętym Trzęsawisku. Sądziła, że pobyt tam trwał bardzo długo, przyćmiewając tym samym wspomnienia z lat przedbagiennych, albowiem z tych wcześniejszych, radosnych czasów pozostało jej w pamięci zaledwie kilka wyblakłych obrazków: broda ojca, kolor włosów matki, sukienka, którą miała na sobie w owym nieszczęsnym dniu swoich urodzin, i nic więcej! Kedrigern także tłumaczył jej utratę pamięci zbyt długim pozostawaniem pod wpływem sił magicznych, lecz twierdził, że jest to tylko stan przejściowy, który wkrótce przeminie. Choć znał się na rzeczy, w tym przypadku się mylił — jej zanik pamięci okazał się wyjątkowo uporczywy. Wiele lat po powrocie do swojej ludzkiej postaci nadal nic nie pamiętała. Kedrigern...

Zatroskała się, przypomniawszy sobie słowa Ithiana. Czy rzeczywiście ona postarzeje się w normalnym, ludzkim tempie, podczas gdy mąż w tym samym czasie wejdzie zaledwie w lata dojrzałe, zgodnie z zegarem odmierzającym czas czarnoksiężników? Jak dotąd trzymała się znakomicie. Czyżby te wszystkie podarowane lata miały nagle spaść na nią pewnego pięknego dnia jak lawina? Ładna perspektywa, nie ma co.

A może to właśnie duża dawka magii, którą zaaplikowano jej na bagnie, sprawiła, że wciąż wyglądała młodo? Może to magia opóźniła jej proces starzenia się, podczas kiedy w rzeczywistości osiągnęła już wiek Kedrigerna, a nawet go przekroczyła? Oczywiście, dużo wody jeszcze upłynie, zanim się przekona, ile jest prawdy w tej teorii. Była to pierwsza krzepiąca myśl od kilku dni, więc Księżniczka uczepiła się jej kurczowo.

A dlaczego by nie założyć, że teoria ta sprawdzi się także w przypadku Berzel? Podobno wilkołaki, które pogodziły się ze swoim losem, cieszą się wyjątkowo długim życiem. Być może, długie życie pisane jest także nieszczęśnikom, którzy tak jak Berzel wciąż zmieniają swe wcielenia? Nic nie wiadomo — magia lubi być nieobliczalna.

Jeśli idzie o samą Berzel, na pewno w nieszczęściu pocieszyłaby ją wieść, że do setnych urodzin będzie olśniewać urodą i świeżością wczesnej młodości, a przez następne dwa stulecia zachwycać powabami dojrzałości. Wizja takiej przyszłości warta jest kilku nocy strawionych na wyciu do księżyca i ogryzaniu kości z zupy.

Co prawda, takie rozwiązanie ogromnie powikłałoby jej przyszłe pożycie małżeńskie. Wszyscy mężczyźni marzą o ożenku z młodymi i pięknymi oblubienicami, lecz nie wiadomo, jak zareagują, gdy nieubłagany czas zamieni ich w przygarbionych, trzę-

sących się i bezzębnych dziadków, a ich żony pozostaną wciąż piękne i młode...

Księżniczka westchnęła, obracając się na bok. Tak, jedno tylko można powiedzieć o magii z całą pewnością — zawsze pozostaje zagadką zarówno dla jej biegłych znawców, jak i dla przypadkowych obserwatorów. Doszedłszy do tego wniosku, Księżniczka przestała zajmować się magią. Zasnęła, snując przez całą noc najrozmaitsze fantazje na temat jedzenia.

* * *

Następnego wieczoru zjadły ostatni okruszek chleba i połknęły ostatni, maleńki, wyschnięty na wiór skrawek sera. Po zapadnięciu zmroku Księżniczka wzbijała się w powietrze jak najwyżej, próbując dostrzec ognisko w obozie czarnoksiężników. Nie ujrzała jednak nic — ani ognia, ani żadnego innego śladu obecności istot ludzkich.

Wróciła na ziemię wyczerpana i osłabiona. Chwiejnym krokiem dotarła do swojego legowiska i rzuciwszy się na nie, dyszała ciężko. Przez dłuższy czas leżała nieruchomo, po czym z głową wspartą na łokciu zapatrzyła się bezmyślnie w ogień.

— Czy grozi nam, że umrzemy z głodu, kochana Księżniczko? — zapytała Berzel.

— Oczywiście, że nie. Najwyżej będziemy bardzo głodne jeszcze przez parę dni, ale nie umrzemy.

— Ja już umieram. Nigdy w życiu nie byłam tak głodna.

— Napij się wody.

— To tylko wzmaga mój głód.

— Cierpliwości, Berzel. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy Keddiego za dzień lub dwa. A jeśli nawet go nie spotkamy, zdołamy w tym czasie same dotrzeć do opactwa, gdzie nas porządnie nakarmią. Mnisi zawsze spełniają dobre uczynki wobec wygłodzonych podróżnych.

— Co wiesz o opactwie? Opowiedz mi o nim, proszę. Czy dobrze gotują?

— Prawdę mówiąc, nigdy nie gościłam w opactwie, ale odwiedził je Keddie i chwalił sobie kuchnię mnichów.

— Dobrze znasz drogę do klasztoru? Nie zabłądzimy?

— Klasztor leży w górach o pięć dni drogi na zachód od Othionu. Trafimy na pewno — odparła Księżniczka bez wahania, i ponieważ Berzel nie wyglądała na przekonaną, dodała na pocieszenie: — Nie zapominaj, kochanie, że umiem fruwać. Wypatrzę opactwo z wysoka.

— A jeśli z głodu osłabiesz tak, że nie będziesz mogła wzlecieć?

Księżniczkę już wcześniej zaniepokoiła ta myśl, lecz czym prędzej ją od siebie odsunęła. Teraz jednak, słysząc to samo z ust Berzel, nabrała poważnych wątpliwości i obaw. Już dzisiejszy lot zupełnie ją wyczerpał. Żyjąc o samej wodzie, za dwa lub trzy dni rzeczywiście nie będzie w stanie wzbic się ponad wierzchołki drzew.

— Nie mów bzdur, kochanie — ucięła niecierpliwie, odwracając się do Berzel plecami.

Przez następne dwa dni prawie wcale się do siebie nie odzywały. Berzel jedynie od czasu do czasu pojękiwała z głodu, a Księżniczka zachowywała kamienne milczenie spowodowane osłabieniem, znużeniem i irytacją.

Kiedy w piątym dniu podróży nie napotkały ani czarnoksiężników, ani opactwa, duch w Księżniczce upadł. Poderwała się tak wysoko, aż poczuła ból skrzydeł i zawroty głowy, lecz jak okiem sięgnąć nie było widać nic oprócz nie kończących się lasów i nagich górskich szczytów. I nic więcej — ani odległego światła, ani smużki dymu, ani nawet najmniejszego ruchu. Znajdowały się w górach, o pięć dni drogi na zachód od Othionu, a opactwa ani śladu! Rozpłynęło się gdzieś, czy może to one się zgubiły — tak trudno utrzymać właściwy kierunek podróży, a i wszystkie górskie szczyty wydają się jednakowe...

W nocy obudziło ją żalosne szlochanie Berzel. Przytuliła dziewczynę mocno, szepcząc do ucha słowa otuchy, lecz serce jej zamarło na moment, przypomniała sobie bowiem wizję ich wspólnego końca, wysnutą przez Berzel w pierwszym dniu ucieczki.

Obudziły się, gdy słońce stało wysoko na niebie; zwlokły się niemrawo z posłań. Pomimo mdłego i obolałego ciała Księżniczka zachowała jasność umysłu. W jednej chwili postanowiła, że wespną się na szczyt wzgórza, skąd ona, fruując, na pewno dostrzeże opactwo. Dzisiaj albo nigdy!

Ruszyły leśnym szlakiem pnącym się łagodnie w górę. Z każdym krokiem nadzieje Księżniczki rosły. Pozwoliła Berzel jechać z przodu, gdyż i tak nie sposób tam było zboczyć z drogi. W tym tempie osiągną wierzchołek wczesnym popołudniem, co pozwoli jej przepatrzeć okolice jeszcze w promieniach słońca. Wszystko się wreszcie ułoży — dziś wieczorem posilą się w opactwie. Na tę myśl odetchnęła z ulgą.

— Księżniczko! Pachnie jedzenie! — krzyknęła z góry Berzel.

Biedactwo ma halucynacje, pomyślała Księżniczka, śpiesząc w jej stronę. Jednak i do niej dotarła w tej chwili wyraźna woń pieczonego chleba. Rozpoznała również niezrównany zapach mięsa duszonego z przyprawami w jarzynach, a także cudowny aromat pieczeni i rozmaitych pasztecików. Nie, to nie halucynacje — to prawda!

— Znalazłaś jedzenie! Znalazłaś! Och, kochana Księżniczko, zawsze w to wierzyłam! Jesteś taka mądra! — Berzel natychmiast odżyła, odzyskując mowę i dobry nastrój. Znowu śmiała się i klaskała w dłonie. — Jechałyśmy tak długo. Byłam pewna, że zabłądziłyśmy i ukrywasz to przede mną, abym nie wpadła w rozpacz. A ty cały czas wiedziałas, co robisz, i zaprowadziłaś nas prosto do bramy klasztoru! Och, Księżniczko, jak wspaniale! I jak cudownie pachnie to jedzenie!

— Cóż, w końcu to właśnie ci obiecałam — skromnie odparła Księżniczka.

Droga raptownie skręciła, ukazując ich oczom okazały budynek z szarego kamienia,

przypominający raczej stateczną wiejską siedzibę niż potężne opactwo z zasobną biblioteką. Choć odbiegał od ich wyobrażeń — nie mógł być niczym innym jak osławionym klasztorem. Do zabudowań prowadziła cisowa aleja; jadąc nią, minęły ciemny staw otoczony wierzbnami. Otwarte na całą szerokość drzwi wejściowe zapraszały do środka; na odgłos podjeżdżających koni z wnętrza domu wyłoniła się cała chmara służących. Dwóch z nich odprowadziło konie, a trzeci zajął się nad wyraz skromnymi bagażami podróżniczek. Starszy służący w długim czarnym płaszczu ozdobionym czarnymi galonami gestem zachęcił je, aby podążyły za nim.

— Dziękujemy bardzo — zwróciła się doń Księżniczka, lecz on tylko skinął głową w odpowiedzi, nie odzywając się ani słowem.

Przechodząc obszernym korytarzem ku szerokim schodom, minęły wielki hall z suto zastawionym stołem. Wszędzie unosił się oszałamiający zapach jedzenia. Prowadzący obie damy służący zatrzymał się u wejścia na schody, milcząco zapraszając je do wejścia na piętro.

— Powinnyśmy się odświeżyć przed posiłkiem — domyśliła się Księżniczka.

— Wolałabym najpierw coś zjeść. — Berzel tęsknie spoglądała na uginający się stół.

— Tylko jadło może mnie skutecznie odświeżyć.

— Ja też nie marzę o niczym innym, ale nie zapominajmy, co przystoi księżniczkom.

Zaprowadzono je do dużej izby wyłożonej ciemną boazerią. Ciemne gobeliny przyozdabiały ściany. Uwagę obu kobiet przyciągnęło wielkie, miękkie łoże z baldachimem i czarną pościelą.

— Ależ tu ciemno. Zupełnie jak w grobie — wzdrygnęła się Berzel.

— Jesteśmy w klasztorze, nie oczekujemy pstrych kolorów.

— I nikt się nie odzywa.

— Zapewne ślubowali milczenie. To święci mężowie, Berzel.

— Czy długo przyjdzie nam czekać? Aż wrócą z wielogodzinnych modłów? A co się tymczasem stanie z tym jedzeniem na dole?

— Zamiast tracić czas na domysły, lepiej odświeżmy się i otrzepmy kurz z sukien. Nie sądzę, by kazali nam czekać zbyt długo.

Ledwo zdążyły dopełnić przyspieszonej toalety, gdy na dole rozległ się tępy dźwięk. Rozpoznały w nim gong wzywający na obiad. Brzęczał jak odlany z ołowiu. Księżniczki nie miały jednak czasu ni ochoty na dyskusowanie o jego dziwnym tonie; zbiegły na dół tak szybko, jak pozwoliły im nadwątlone siły oraz dobre wychowanie.

Księżniczka spodziewała się prostego, choć pożywnego posiłku, podanego skromnie i bezpretensjonalnie. Tymczasem czekała je wyrafinowana ucztą. Na stół wjeżdżała potrawa za potrawą w tak przemyślnym porządku, że każdy nowy smak, dopełniając poprzedni, cieszący jeszcze podniebienie, jednocześnie zapowiadał następny. Na początek

podano zupełny, czysty rosół przyprawiony bazylią i trybulą, wraz z plastrami zimnej wołowiny i kielbaskami na przystawkę. Następnie na stole pojawiły się mięsiwa: pieczone, smażone, z rusztu i duszone na wolnym ogniu w bulionie oraz gorące pasztety i sałatki mięsne. Dalej dzikie ptactwo i młody zając oraz jagnię z różną wymyślnie garnirowane cytrynami, pomarańczami, oliwkami i ziołami. Czwarte danie składało się głównie z pieczonych małych ptaszków: ortolanów, drożdów, bekasów i skowronków, wzbogaconych całą gamą różnych smażonych smakołyków; a po czwartym stół ozdobiła wykwintna ryba zapiekana w cieście. Później kremy i kandyzowane owoce. Zniknęły szybko, by ustąpić miejsca wieńczącemu ucztę słodkim ciasteczkom, różanym i jaśminowym cukierkom i cukrzonym migdałom. Obie księżniczki oszołomił wybór najprzedniejszych win, delikatność bielizny stołowej, perfekcja obsługi. Delektując się na koniec jaśminowym cukierkiem, Księżniczka doszła do wniosku, że troskliwość świętych mężów nie tylko uratowała im życie, ale i wzbogaciła je o nowe, niepowtarzalne doznania.

Posiłek upływał w kompletnej ciszy. Nie szczęknięto żadne naczynie, nie zadzwieczyły sztucce. Nie zaskrzypiała posadzka, nie zapiszczały drzwi, nikt się nie odezwał.

Początkowo żadna z dam nie zauważyła tego szczególnego spokoju, tak niepodzielnie pochłaniały je zapachy, widoki, a przede wszystkim smaki niecodziennej biesiady. Ale w miarę jak kolejne półmiski i talerze pojawiały się i znikwały ze stołu bez najmniejszego szelestu, do świadomości Księżniczki stopniowo poczęła docierać ta niesamowita, dzwoniąca w uszach cisza, w której każde poruszenie szczękami zdawało się strzałem, a przełknięcie — wybuchem. Odkrycie to tak ją onieśmieliło, że kończyła posilać się coraz wolniej i coraz dyskretniej, a Berzel poszła w jej ślady.

Kiedy ostatni talerz bezgłośnie odpłynął ze stołu, obie zastygły w oczekiwaniu, spoglądając na siebie pytająco, nie mając odwagi przerwać tej ciszy. Wreszcie Berzel nie wytrzymała i nachyliwszy się w stronę Księżniczki, wyszeptała:

— Nie przypominam sobie takiej wybornej kuchni w Othionie. Czy księżniczki zawsze tak jadają?

— Od czasu do czasu — skorygowała Księżniczka filuternie.

— Bardzo mi smakowało. Kiedy wyjdę za mąż, na moim stole zawsze pojawiać się będą takie frykasy.

— Wobec tego wkrótce będziesz musiała poszerzyć wszystkie drzwi w swoim pałacu — zauważyła Księżniczka, z trudem wydając z siebie głos z powodu przejedzenia.

Berzel kontynuowała radośnie:

— Ale nie pozwolę, byśmy jadaliby w takiej ciszy jak tutaj. To okropność! Sprowadzimy poetów, by recytowali wiersze w przerwach między daniami, trubadurów i minstrelów, by nam przygrywali wesoło, i kuglarzy z komikami, no i błazna oczywiście. Ty z Kedrigrinem codziennie będziecie ucztowali razem z nami. Czyż to nie cudowne?

— Pomysł wydaje mi się przedni, nie licząc jednak na naszą codzienną obecność.

Keddie zdecydowanie woli domowe pielesze.

Cichutko, prawie bezgłośnie klaszcząc w dłonie, Berzel natychmiast znalazła rozwiązanie:

— Wobec tego w te dni, kiedy nie zechce ruszyć się z domu, my będziemy odwiedzać was, przyprowadzając ze sobą poetów, trubadurów, minstrel, kuglarzy, komików, no i błazna oczywiście. Na pewno się zachwyci!

— Porozmawiam z nim o tym — obiecała Księżniczka, przyjaźnie poklepując dziewczynę po dłoni, nie zdradzając jej jednak, że pojawienie się w Cichym Gromie z trupą przebierańców i wesołków jest niezawodnym sposobem na przeniesienie się z szybkością lotu strzały na długie wakacje na antypodach razem z całą wesołą gromadą, w tym i błaznem oczywiście, albo też szybkie zaśnięcie czarodziejskim snem na najbliższe tysiąclecie.

Mnisi posługujący w trakcie posiłku oddalili się, pozostawiając obie panie same w wielkim hallu. Księżniczka skorzystała zatem z okazji, by przyjrzeć mu się bliżej. Wyposażenie bardzo przypominało izbę na górze: wszystko w ciężkim, ciemnym drewnie, takiegoż koloru tkaniny na ścianach, czarne zasłony w oknach. Doszła do wniosku, że zakonnicy poddani są niezwykle surowej regule. Wiodą życie pełne umartwień i wyrzeczeń — nie wydają z siebie głosu, śpią w trumnach albo na kamiennych płytach, pożywiają się suchym chlebem i pomyjami. Zbytki, którymi otaczają gości, według wszelkiego prawdopodobieństwa stanowią rodzaj zadośćuczynienia za ich własne grzechy młodości. Z zadumy nad srogim losem świętych i dobrych mężów wyrwała ją Berzel, mocno ciągnąc za rękaw. Obejrzawszy się, w drzwiach ujrzała zakapturzoną, ciemną sylwetkę osoby wysokiej i szczupłej, nieco pochylonej do przodu.

Tajemnicza postać przez chwilę pozostawała nieruchoma, po czym uniósłszy białą dłoń w geście pozdrowienia, kołyszącym krokiem zbliżyła się nieco, zatrzymując u szczytu stołu.

— Czujemy się zaszczytzeni, mogąc gościć tak piękne i dystyngowane damy — przemówiła zachrypłym głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

— Jesteście, panie, nad wyraz uprzejmi — podziękowała Księżniczka. — Czy mamy przyjemność mówić z opatem?

Czarny rozłożył ręce tak blade, że nieomal przezroczyste, i niezwykle wychudzone.

— Jestem tu gospodarzem. Czy jadło smakowało wam, moje panie?

— Och, żadne słowa tego nie opiszą — ożywiła się Księżniczka. — Łączyło wyrafinowanie Wschodu z powściągliwością Zachodu, przepych Południa ze skromnością Północy, dworską wymyślność z niewyszukaną elegancją domowego stołu. Zachwyciły nas finezja zamierzenia, perfekcja przygotowania, nienaganna obsługa, doskonałość smaków, błyskawiczne uprzątnięcie stołu.

— Pochlebiasz mi, pani, tymi łaskawymi słowami. Trzeba przyznać, że mój szpetny

stary kucharz ma smykałkę.

— Mnie też smakowało — wtrąciła Berzel z promiennym uśmiechem.
— Postanowiłam jadać tak zawsze, kiedy już poślubię pięknego księcia i zamieszkać z nim w pałacu obok mojej kochanej przyjaciółki Księżniczki.

— Wnoszę z tego, że mam do czynienia z dwiema księżniczkami.

— Zgadza się. Ja nawet pewnego dnia mogę zostać królową — oznajmiła Berzel.

— Z pewnością będziesz królową, pani, i to wcześniej, niż możesz się spodziewać. Skoro jednak w żyłach was obu płynie królewska krew, pozwólcie mi zająć wasz czas rozrywką, w której uczestniczą królowie i królowe, szlachetną grą w szachy — zaproponował gospodarz.

— Obawiam się, że bardzo przeciętny ze mnie gracz — wyznała zakłopotana Księżniczka, a Berzel dodała:

— Ja gram beznadziejnie. Nawet tatuś dostaje gęziej skórki na myśl o partyjce ze mną. Zupełnie sobie nie radzę z tyloma figurami. Przecież każda posuwa się w inny sposób. Kto by to spamiętał!

— Możecie grać obie przeciwko mnie. Zapewniam was, drogie panie, że moje umiejętności też są umiarkowane. — Zgiąwszy się w ukłonie, zawrócił i kierując się ku drzwiom, zachęcił obie damy: — Proszę za mną do sali pawilonu gry w szachy.

Udali się do przeciwległego skrzydła budynku. Przeciąwszy je, znaleźli się w komnacie tak obszernej jak jadalnia, lecz nieporównanie wyższej. Kiedy Berzel z Księżniczką podążały za gospodarzem w górę po wąskich schodkach na galerijkę biegnącą wokół całego pomieszczenia, ich kroki odbijały się echem od niebotycznego sklepienia. Wspiąwszy się tam, zachęczone przez przewodnika, spojrzały w dół. Szachownicę stanowiła cała posadzka komnaty; na polach stały pionki i figury odpowiednio dużych rozmiarów. Według oceny Księżniczki, każde pole mierzyło wzdłuż i wszerz około trzech kroków. Wysokość pionków odpowiadała przeciętnemu wzrostowi człowieka, wieże przypominały wielkością prawdziwe strażnice, a królowie i królowe spoczywali na potężnych tronach.

— Imponujące. Lecz jak przesuwa się figury? — zainteresowała się Księżniczka.

— Nie troskaj się tym, pani, figury będą się przesuwać zgodnie z twoim życzeniem. Proszę spocząć — zaprosił je gospodarz, wskazując miękko wyściełane krzesła, stojące tuż u bariery galerii. Z miejsca tego bez przeszkód można było ogarnąć wzrokiem całą szachownicę. — Białe pionki są do waszej dyspozycji. Ja zawsze grywam czarnymi.

— Jak to szlachetnie, ojczy opacie — dziękowała Księżniczka.

Obie z Berzel rozsiadły się wygodnie, okrywając kolana ciepłymi pledami, gdyż w pawilonie panował chłód. Gospodarz przez ten czas przyglądał im się życzliwie, potem zaś zdjął płaszcz z kapturem, ukazując wreszcie twarz — bladą i mizerną jak jego dłonie. Na głowie nosił czarną błazeńską czapkę z trzema ołowianymi dzwoneczkami. Opinający

go błazeński strój zadziwił tym, że zdobił go nie wzór w charakterystyczną pstrą kostkę, lecz szachownica z dwóch różnych odcieni czerni. W ręce dzierżył hebanowy kaduceusz zakończony miniaturową trupią czaszką.

— Nie jestem opatem, pani, ani to nie jest klasztor — wychrypiął w stronę Księżniczki.

— Kimże więc jesteś i co to za miejsce? — gniewnie zapytała Księżniczka, powstając z krzesła.

— Zważ mnie Czarnym Błaznem. Znajdujecie się teraz w mojej mocy. — Uśmiechnął się szyderczo. — Pierwszy ruch należy do ciebie, pani.

10. Odwołane postanowienie

Czarnoksiężnicy, zwinawszy obozowisko o świcie, wyruszyli w dalszą drogę. Wkrótce wjechali na główny szlak prowadzący do opactwa. W miejscu, gdzie podczas poprzedniej podróży Kedrigern uzupełniał ze źródła swoje zapasy wody, zatrzymali się na chwilę, by napoić konie i odpocząć. Kedrigern po raz pierwszy opowiedział koledze o niecodziennych okolicznościach towarzyszących jego wyjazdowi z klasztoru, wspominając o osobliwym zachowaniu opata oraz o swojej dziwnej przygodzie z wilkiem w nocy. Traffeo słuchał z uwagą, od czasu do czasu wydając pomruki aprobaty lub okrzyki zdziwienia.

— Wcale bym się nie zdziwił na wieść, że teraz też coś się tam święci — zakończył ponuro Kedrigern.

— Może nie powinienem wyrażać swoich opinii, skoro nawet nie gościłem w klasztorze, ale czy nie uważasz, Kedrigernie, że mnisi, żyjąc w takiej izolacji od świata, po prostu dziwaczej i stąd ich niezrozumiałe dla innych zachowanie?

— Nie przesadzałbym z tym oderwaniem od rzeczywistości. Bez przerwy odwiedzają ich wędrowcy, a poza tym utrzymują codzienny kontakt ze światem zewnętrznym za pośrednictwem służby. Oczywiście, nie zmienia to faktu, że mają swoje różne dziwne przyzwyczajenia, tak jak i my wszyscy. Nie o to mi jednak chodzi.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że brat piwniczny pragnął powierzyć mi wielki sekret, a opat z kolei drżał, abym przypadkowo nie wpadł na trop jakiejś tajemnicy. Ta myśl nie daje mi spokoju.

Kedrigern zamilkł z wyrazem niezadowolenia na twarzy. Po chwili spojrzął na Traffea, kiwając głową.

— Masz rację, trzeba się zająć obecnymi kłopotami, zamiast wymyślać nowe. Skoncentrujmy się na poszukiwaniu „Księgi pięciu błękitnych ślimaków”!

— Koniecznie. Tylko to się teraz liczy.

— Niemniej starajmy się na wszelki wypadek mieć oczy szeroko otwarte.

— Masz rację, ostrożność nie zawadzi. — A po chwili, tknięty nową myślą, zapytał:

— Powiedz mi, proszę, do jakiego zakonu należy opactwo?

— Nie wiem. To kolejna zastanawiająca rzecz: mnisi nie noszą habitów, a klasztor nie ma patrona.

— Prawdopodobnie stanowią dobrowolne zgromadzenie niedobitków z zakonów, które podupadły lub zostały zrównane z ziemią. W dzisiejszych czasach często się o tym słyszy. Życie świętych mężów nie jest łatwe...

— Nie tylko oni mają problemy... — ponuro podsumował Kedrigern.

— To prawda — zgodził się Traffeo. — Lecz mnisi i zakonnice mają ich więcej niż inni. Klasztory ciągle padają ofiarą napadów, a kościoły puszczane są z dymem, czasem dla zysku, czasem by wypełnić domniemaną herezję, lecz najczęściej po prostu dla zabawy.

Po zastanowieniu Kedrigern niechętnie przyznał mu rację, dodając:

— Niezależnie od tego, czy mnisi z opactwa należą do jednego zakonu, czy też stanowią nieformalną kongregację, nie przystoi im łaskawym okiem spoglądać na czarnoksiężników. Z tego powodu, goszcząc tam ostatnio, przedstawiłem się jako student o imieniu Siger z Trondhjem.

— Student? — zdziwił się Traffeo. — To chyba niezbyt fortunny pomysł.

— Dlaczego? Nie mam jeszcze nawet stu siedemdziesięciu lat, a do tego chyba wyglądam na dostatecznie rozgarniętego — obruszył się Kedrigern.

— Nie chciałem cię urazić. Chodzi mi o to, że ciebie, człowieka dojrzałego, doświadczonego i bywałego w świecie, nie sposób wziąć za studenta.

— Będę się więc przedstawiał jako doktor nauk.

— Raczej podawaj się za studenta nauk prawnych. Wówczas nikogo nie zdziwisz, albowiem jest to przedmiot wymagający szczególnie dociekliwych badań, na które czasem i jednego życia nie starcza.

— A cóż pocznę, jeśli ktoś przypadkiem zapyta mnie o radę w tej materii?

Traffeo lekceważąco machnął dłonią.

— Jako prawnik możesz mówić, co ci ślina na język przyniesie. Im bardziej niezrozumiale, tym lepiej. Tego właśnie wszyscy oczekują od prawnika.

— Doskonale, Traffeo, lecz cóż z tobą?

— W czasach kiedy ośmielałem się podróżować wyłącznie incognito, przedstawiałem się jako Hamish z Northumbrii, farmaceuta.

— Znasz się na medycynie?

— Potrafię ze swadą rozprawiać o wpływach astralnych na ludzkie organizmy i usposobienie oraz o zagadkach fizjonomiki. Jeśli mimo to widzę nieufność na twarzach słuchaczy, odwołuję się do Galena lub Dioscoridesa. Parę przytoczonych cytatów nieodwołałnie przełamuje wszelkie uprzedzenia.

Kedrigern wstał i otrzepawszy się z trawy, skłonił się dwornie przed Traffeem.

— Czas na nas, mój drogi Hamishu.

— Ruszajmy więc, drogi Sigerze — podchwycił Traffeo, zamaszycie oddając ukłon. Przybyli do klasztoru, kiedy słońce sięgnęło wierzchołków drzew. Powitał ich młody, krępy mnich o rumianych policzkach. Wezwał chłopca stajennego, by odprowadził konie podróżnych, a sam, rozpluwając się w uśmiechach i sypiąc kolejnymi błogosławieństwami, powiódł ich do kuchni. Po drodze Kedrigern jął ostrożnie wypytywać o poprzedniego furtiana. Dobry humor ich przewodnika prysł.

— Brata Jana nie ma już z nami — odparł, spuszcżając wzrok.

— Wielka szkoda. A dokąd wyjechał? — dociekał czarnoksiężnik.

— Nie żyje.

— Co takiego?! — Kedrigern zatrzymał się, wlepiając zdumione spojrzenie w mnicha. — Człowiek tak zdrowy i mocny jak tur?

— To prawda. Brat Jan uchodził za najsilniejszego mnicha w opactwie. Niemniej nie żyje.

Zapadła niezręczna cisza. Gdy ponownie ruszyli, Kedrigern zapytał, wiedziony nagłym przeczuciem:

— Ilu zakonników z klasztoru opuściło ten padół od zimy? Pięciu? Sześciu?

— Och, nie, straciliśmy zaledwie czterech braci — szybko zsumował mnich.

— Tylko czterech. Tak... — Kedrigern zamilkł na dłuższą chwilę, lecz przed kuchennymi drzwiami zaczął całkiem głośno mamrotać do siebie: — A to ci dopiero... żeby aż czterech braciszków zmarło w krótkim czasie w nie wyjaśnionych okolicznościach... — pokiwał głową, milknąc na dobre.

Te od niechcienia wypowiedziane słowa wywarły wielkie wrażenie na młodym przewodniku. Wsadziwszy jedynie głowę do kuchni, huknął krótko:

— Goście, bracie piwniczny!

I tyle go widzieli. Kedrigern wiedział, dokąd braciszek umknął tak niespodziewanie.

— Być nie może! Siger z Trondhjem! — piwniczny rozpromienił się na widok czarnoksiężnika.

— Witaj, Duodecimie z Arduy. Wróciłem, jak widzisz. A oto mój towarzysz i przyjaciel, Hamish z Northumbrii.

Po przywitaniu się z królewskim czarnoksiężnikiem piwniczny powiódł gości w kątek kuchni, gdzie pod niewielkim oknem wychodzącym na ogródek zielny stał stół. Tam ich usadziwszy, zapewnił solennie, że wróci co tchu, po czym żywo się oddalił.

— Czyżbyś celowo nastraszył furtiana? — zdziwił się Traffeo, gdy zostali sami.

— Oczywiście. W ten sposób bez mitrżenia czasu dotrzemy od razu do opata.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. Ale co będzie, jeśli zamiast udzielić nam posłuchania, rozkaże się pakować?

— Wówczas wymyślimy inny fortel. Jestem jednak pewny, że do tego nie dojdzie — rozejrzawszy się wokół, Kedrigern nachylił się ku Traffeowi i zniżając głos do szep-

tu, wyjaśnił: — Przecucia mnie nie zawiodły. W tym klasztorze dzieje się coś dziwnego. W ciągu kilku ostatnich miesięcy zmarło czterech mnichów, a najmniejsza wzmianka na ten temat wywołuje tu ogromne poruszenie.

— Wieści o czterech zgonach zaniepokoiłyby każdego — zauważył Traffeo.

— Nie mnichów, oni obcują z zagadkami wieczności na co dzień. Ich skrępowanie i niepewność budzą moje podejrzenia, że kryje się za tym mroczna tajemnica. Jeśli rozwiążemy tę zagadkę, mamy szansę uzyskać w zamian wdzięczność opata.

Traffeo zmarszczył brwi w zamyśleniu.

— Wszystko to brzmi nad wyraz logicznie, ale czy nie uważasz takiego postępowania za zbyt obcesowe?

— Czas nagli. Pełnia księżyca już za trzynaście dni, a podróż do Othionu zabierze nam dni pięć. Jeśli chcemy zdążyć, nie mamy wyboru. Musimy działać stanowczo.

Traffeo mruknął coś niewyraźnie, niechętnie przychyłając się do opinii kolegi. Nie dane mu jednak było rozwinąć tematu, gdyż w tej właśnie chwili nadszedł Duodecimo w towarzystwie młodego zakonnika, którego Kedrigern pamiętał z poprzedniej wizyty.

Ich widok rozgrzał serca wygłodniałym podróżnym, albowiem braciszki uginali się pod naręczem tac, talerzy i naczyń wypełnionych po brzegi jadłem, radującym oczy i mile drażniącym nozdrza swoim zapachem. Na stół wjechały misy z pasztetami; półmiski wypełnione plastrami pieczonej wołowiny i szynki, pętami kiełbasy i kawałkami kurczaka; salaterka zielonej sałaty cętkowanej krążkami białej rzodkwi; tace z wymięnitymi serami do koloru do wyboru: złocistymi, zielonkawymi z szałwią, mlecznobiałymi, pomarańczowymi i brązowymi jak dojrzałe kasztany; koszyk z chlebem, garnek masła oraz dwa dzbany białego i czerwonego wina. Zorientowawszy się, że na stole brakuje owoców, Duodecimo jał spieszenie sumitować się za to przeoczenie, jednocześnie wyprawiając po nie pomocnika. Młody mnich wybiegł pędem, jakby go kto gonił.

— William z Primofolio to dobry chłopiec — pochwalił go piwniczny. — Zdarza mu się czasem czegoś nie dopatrzeć w pośpiechu, ale szybko się uczy.

— Czy jest twoim pomocnikiem, bracie piwniczny? — upewnił się Traffeo.

— Tak, i jestem z niego bardzo zadowolony. Lecz ja, jak zwykle, zajmuję was paplaniem, a wy nie przerywacie mi z grzeczności. Dłużej nie będę już przeszkadzał. Jedźcie do woli, przyjaciele, z serca będziemy radzi!

Skorzystali ochoczo z zaproszenia, sami dziwiąc się swoim potężnym apetytom; uprzednio nacieszywszy wzrok i powonienie, teraz folgowali podniebieniom, niespiesznie rozkoszując się całą gamą smaków i konsystencji. Połykając z błogością kolejny kęs, Kedrigern wspomniał obrzydliwe i mierne jadlo, którym się musiał pożywiać w różnych brudnych i smrodliwych gospodach w trakcie niezliczonych wojaży. Tym większą poczuł wdzięczność dla dobrych mnichów za ich bezinteresowną gościnność.

Do kuchni wrócił William, dźwigając potężną glinianą misę, w której złościły się mo-

rele i połyskiwały rubinowym blaskiem kiście winogron. Po wyjściu młodego zakonnika piwniczny nie omieszkął pochwalić go ponownie:

— Mam pociechę z tego Williama. Wyobraźcie sobie, panie, że sam wyhodował te owoce. A do tego jeszcze wspaniale piecze.

— Wszechstronnie utalentowany chłopak — przyznał Kedrigern, sięgając po morelę.

— Tak, tak, święta prawda. Bóg pobłogosławił. Udali mi się obydwaj pomocnicy. Ten drugi, Francis z Gorhambury, chyba go jeszcze nie poznaliście...

— Nie mieliśmy przyjemności.

— Francis jest niezwykle błyskotliwym i znakomicie zapowiadającym się młodzieńcem. Świetnie się uzupełniają. Francis góruje nad kolegą intelektem i zdolnościami organizatorskimi, a William napędza go swą energią i zaangażowaniem.

— Masz szczęście, Duodecimo. W dzisiejszych czasach trudno o bodaj jednego dobrego asystenta, a tobie udało się znaleźć aż dwóch — kiwał głową Kedrigern, wyciągając dłoń po kiść winogron. Potem poczęstował się jeszcze dwiema morelami.

Trwali w przyjaznym milczeniu, rozważając wypowiedziane słowa. Kedrigern z wolna pogryzał kolejne morele, aż wreszcie zagadnął jakby od niechcienia:

— Cieszę się, że wędzarnia znowu działa. Dawno nie jadłem tak pysznych kiełbas i szynki.

Duodecimo pobladł.

— Wędzarnia? Co z wędzarnią? Kto wam doniósł, panie? — dopytywał się niespokojnie.

— Nie pamiętasz? Podczas mojej poprzedniej wizyty przepraszałeś mnie, że nie podajecie mięsiwa, gdyż akurat zepsuło się z powodu nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

— A tak, rzeczywiście — piwniczny, odetchnąwszy z ulgą, uśmiechnął się słabo. — Wędzarnia jest... już naprawiona.

— A na czym polegał kłopot?

Duodecimo począł wic się jak piskorz schwyty w sieć. Oblizywał usta, rzucając wokół rozpaczliwe spojrzenia, aż w końcu wydusił:

— To dlatego... że w wędzarni... miało miejsce coś... coś tak strasznego, że nie godzi się o tym wspominać przy posiłku — zaciął usta, potrząsając głową, lecz wyraz twarzy i szczególny błysk w oku zdradzały ogromną chęć kontynuowania tematu.

Zapewne rąbek tajemnicy zakonu zostałby uchylony, gdyby nie bezgłośnie pojawienie się młodego mnicha. Choć podobnego wieku jak energiczny William, wyglądał znacznie poważniej. Przenikliwe spojrzenie i szerokie czoło świadczyły o wysokiej inteligencji, a pełne spokoju i godności obejście o niezwykle budzącym respekt opanowaniu. Wydawał się stworzony na doradcę monarchy.

Kedrigern głowił się, cóż mogło przywieść tak uzdolnionego młodzieńca do opactwa, gdzie niewątpliwie marnował swoje talenty jako pomocnik piwniczego.

— Słucham, Francisie? — Duodecimo zwrócił się do braciszka.

— Opat pragnie zamienić słowo z naszymi gośćmi. Prosi, abym zaprowadził ich do niego — wyjaśnił młody mnich.

Czarnoksiężnicy wymienili szybkie spojrzenia. Duodecimo wstał i z westchnieniem odkładając dokończenie rozmowy na później, oznajmił:

— Zjawiłeś się we właściwym momencie, Francisie. Nasi goście właśnie skończyli jeść. — Dokonał prezentacji posłańca: — Sigerze z Trondhjem, Hamishu z Northumbrii, oto drugi z moich pomocników, Francis z Gorhambury, jeden z najtęższych umysłów w opactwie. Wiążemy z nim wielkie nadzieje.

Francis podziękował za pochwałę nieznacznym pochyleniem głowy. Oczy rozblęskły mu zadowoleniem. Traffeo, podnosząc się z ławy, zauważył:

— Rzeczywiście, Bóg pobłogosławił cię wspaniałymi pomocnikami, bracie piwniczy.

A Kedrigern dodał:

— O tak. I do tego, mimo odmiennego usposobienia, tak wspaniale się uzupełniającymi.

Poczuwszy pod nogami bezpieczniejszy grunt, Duodecimo wrócił do swojej zwykłej gadatliwości:

— Dacie wiarę, że jeden z naszych braci w ogóle ich nie rozróżnia? Bierze Williama i Francisza za jedną osobę i za nic nie daje sobie wytłumaczyć, że się myli! — piwniczy z rozbawieniem parsknął krótkim śmiechem, po czym ciągnął dalej: — Dobry brat Filigrane to wybitny znawca ksiąg i piśmiennictwa, znamienity skryba, nie mający sobie równych, lecz myli Williama z Francisem, i już! — Kręcąc głową i chichocząc, Duodecimo odprowadził ich do drzwi i tam pożegnał.

Francis powiódł przybyszów przez dziedziniec, gdzie powitało ich poranne słońce, grzejące mocno mimo wczesnej pory. Zwolniwszy nieco kroku, Kedrigern skorzystał z okazji, by rozejrzeć się dyskretnie wokół i zorientować w położeniu budynków w opactwie. Wieżę biblioteczną nieodmiennie otaczały rusztowania, czarnoksiężnik nie dostrzegł jednak najmniejszych oznak postępu prac remontowych. Ta posępna budowla bardziej przypominała więzienie niż sanktuarium nauki i wiedzy, a co gorsza, jej pogmatwana konstrukcja nasuwała przypuszczenie, że każdy przypadkowy gość zgubi się niechybnie w przepastnych wnętrzach. Nie ulegało zatem najmniejszej wątpliwości, że nie poradzą sobie bez pomocy opata.

Kiedy zbliżali się do budynku kapituły, gdzie miał oczekiwać ich Rectoverso, niepewnym krokiem przydreptał ku nim sędziwy, pochylony przez wiek mnich wspierający się na tęgim kijku. Na jego widok Francis westchnął ciężko.

Oślaniając oczy ręką, starzec powitał ich słabym, drżącym głosem:

— Witajcie, bracie Williamie i wy, zacni goście! Wszyscy trzej się zatrzymali.

— Witaj, bracie Filigrane. Nie poznałeś mnie w tym oslepiającym świetle. Jestem brat Francis — uprzejmie wyjaśnił młody mnich.

— Pomocnik piwniczego?

— Tak.

— Aha. Pomocnik piwniczego. A ci dwaj mężowie, bracie Williamie?

— Bracie Francisie — sprostował ponownie braciszek, już mniej cierpliwie.

Filigrane zajął uważnie w twarze gości z bliska, po czym odstąpiwszy krok do tyłu, potrząsnął siwą głową.

— Żaden z nich nie jest bratem Francisem — oznajmił. — Zawsze rozpoznam brata Francisia, to pomocnik piwniczego.

— Zwą mnie Siger z Trondhjem, a to Hamish z Northumbrii. Jesteśmy podróżnymi — przedstawił się Kedrigern.

— Opat czeka na naszych gości — nieodwoalnie uciął rozmowę Francis.

Wciąż potrząsając głową, Filigrane usunął się z drogi, przepuszczając podróżnych. Ponieważ żaden z czarnoksiężników nie znalazł odpowiednich słów, by zgrabnie i taktownie podsumować spotkanie ze staruszką, milczeli przez resztę drogi. Dopiero kiedy znaleźli się przed wielkim gmachem kapituły, Francis przemówił cicho, nieco nie naturalnie obojętnym tonem:

— Brat Filigrane wiele lat spędził na przepisywaniu ksiąg, co osłabiło jego pamięć. Kto nie trenuje pamięci, łatwo może ją stracić.

— Słusznie — wymamrotał Traffeo.

— Zwykle spaceruje w kapturze naciągniętym na oczy, gdyż kopiuąc księgi, stracił też wzrok — dodał Francis przez zaciśnięte zęby.

Opat oczekiwał ich przy wejściu do budynku. Odprawiwszy Francisia, wykrzywił twarz w uśmiechu. Mimo to widok tego suchego, ptasiego oblicza zmroził przybyszów, a uroczysty, tak odpowiedni do wygłaszania kazań ton, którym zakonnik przemówił, nie pasował zupełnie do sytuacji. Nie zrażony tym opat czynił wielkie wysiłki, by powitanie wypadło serdecznie.

— Rad znowu cię widzę, Sigerze z Trondhjem! Witam również twojego towarzysza! — pozdrowił ich uprzejmie.

— Dziękuję za serdeczne powitanie, opacie Rectoverso. Czy jednak na pewno jesteśmy tu mile widziani? — nie dowierzał Kedrigern, zaskoczony ciepłym przyjęciem.

— Miałem cichą nadzieję, że tu wrócisz.

— Doprawdy? Miło mi to słyszeć. Po naszym rozstaniu żyłem w przekonaniu, że nie powinienem się więcej pokazywać w opactwie.

— Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, przygniatały mnie poważne kłopoty, które

zmałyły mój umysł. Uczyniłem błąd, każąc ci wyjechać, zamiast poprosić cię o pomoc. Lecz oto wróciłeś, Bogu niech będzie chwała! Wierzę, że dzięki swoim zdolnościom ocalisz nas i cały nasz dorobek!

— Dzięki moim zdolnościom... ocalę wasz dorobek? — bezwiednie powtórzył oszłamiony Kedrigern. Nic nie rozumiejąc, bezradnie rozłożył ręce i pytająco spojrzął na Traffea.

— Byłem wówczas zbyt przerażony, aby zrozumieć, iż twój niezwykły dar obserwacji i wyciągania wniosków zostały nam tu zesłane jak z nieba. Lecz teraz użyjesz ich dla nas, prawda, drogi Sigerze?

— Co niby mam obserwować? O jakie wnioski chodzi?

Położywszy palec na ustach, opat ostrożnie rozejrzał się wokół, nie omieszkawszy rzucić okiem w górę i na dół, po czym nachylił się ku rozmówcom.

— Czy mogę mówić otwarcie? — zapytał scenicznym szeptem.

— Przed moim towarzyszem i przyjacielem Hamishem z Northumbrii nie mam tajemnic — uspokoił go Kedrigern.

— A zatem... — zakonnik raz jeszcze przezornie rozejrzał się dokoła. — Ostatnio straciliśmy czterech zakonników. Choć ich śmierć wyglądała na przypadkową, ja nie dałem się zwieść pozorom. Obawiam się, że wszyscy zostali zgładzeni ręką któregoś z naszych braci, a to oznacza, że w murach naszego klasztoru panoszy się zło.

— Sugeruje opat morderstwo? Skąd ta pewność?

— Osądź sam. Zimą, na dwa tygodnie przed twoim przyjazdem, brat Vinet, niemłody już zakonnik, zginął uduszony w wędzarni. Dziesięć dni później jeden z naszych młodszych mnichów utopił się w studni.

— Zgoda. To niewątpliwie niezwykły zbieg okoliczności, ale mimo wszystko całkiem prawdopodobny.

Rectoverso pokręcił przecząco głową.

— Poczyniłem pewne obserwacje, którymi dotąd z nikim się nie dzieliłem. Teraz jednak zdradzę wam, że zauważyłem zupełnie suche podeszwy butów pierwszego nieboszczyka. Tymczasem w dniu jego śmierci na dworze leżał śnieg, który padał przez cały dzień i stopił się dopiero nazajutrz w południe.

— Czy zakonnik nie mógł dostać się do wędzarni przed opadami?

— Wykluczone. Kiedy po raz ostatni rozmawiałem z nim w refektarzu, za oknem właśnie wirowały białe płatki.

Kedrigern uniósł brwi.

— A co z tym drugim mnichem?

— Kiedy ze studni wyciągnięto martwego Colophona z Canevari, naszego najmłodszego braciszka, okazało się, że w kurczowo zaciśniętych dłoniach trzyma księgę, co sprawiało wrażenie, jakoby wpadł tam przez nieuwagę, zbyt pochłonięty lekturą.

— Wszystko możliwe — zgodził się Kedrigern, a Traffeo mu przytaknął.

Rectoverso ponownie stanowczo zaprzeczył, kręcąc głową.

— Nie w przypadku Colophona. Uważamy, że ten nieszczęśliwy wypadek przydarzył mu się w porze niesporów, kiedy słońce chyli się ku zachodowi. A Colophon z powodu słabego wzroku nie mógł czytać przy słabym świetle...

— Jeśli źle widział, mógł nie zauważyć studni — zasugerował Traffeo.

— Niemożliwe. Mnie cembrowina sięga pasa, a Colophonowi, który nie odznaczał się wysokim wzrostem, musiała sięgać ramion. Nie wierzę, że fiknął do środka przez roztargnienie.

— A może... może nie zauważywszy studni z powodu zaczytania, wpadł na cembrowinę. Uderzenie wytrąciło mu z rąk księgę, która wpadła do środka, a on po prostu rzucał się, by ją podnieść i...

— Chyba nadmieniałem wyraźnie, że musieliśmy ją siłą wydzierać z zeszywniałych dłoni Colophona — usadził go opat.

Kedrigern w rozterce tarł podbródek.

— A co z pozostałymi zgonami?

— Wiosną nagle odszedł do wieczności Esparto z Seme, pomocnik kucharza. Od dłuższego czasu cierpiał na bóle brzucha. Pewnego dnia objawy gwałtownie nasiliły się, a wieczorem skonał.

— Tej śmierci też opat nie uważa za naturalną?

— Nie, ponieważ chory, umierając, zsiniał cały i gorączkowo domagał się mleka.

— To już trzech — policzył Traffeo.

— Miesiąc temu wielki kamień z murów biblioteki, spadając, roztrzaskał czaszkę brata Jana, naszego furtiana.

— Kamień uprzednio ktoś poluzował?

— Bez wątplenia.

Po tym stwierdzeniu opata zapadła głęboka cisza, którą po dłuższej chwili przerwał Kedrigern, mówiąc niepewnie:

— Wygląda na to, że rzeczywiście dzieje się tutaj coś tajemniczego. Nie rozumiem jednak zupełnie, dlaczego moja pomoc miałaby się przyczynić do rozwikłania tej zagadki. Wasz własny, opacie, znakomity zmysł obserwacji, talent do formułowania wniosków, a nade wszystko znajomość tajników klasztornego życia wystarczą dla przejrzenia tej sprawy. Cóż ja, przybysz z odległych stron, mogę zrobić więcej?

— Patrząc na wszystko świeżym okiem, bezstronnym i wolnym od uprzedzeń, możesz odczytać prawdziwe znaczenie różnych znaków, które my z przyzwyczajenia postrzegamy odmiennie. Masz szansę dostrzec drobiazgi, pomijane przez nas, które zaprowadzą nas prosto do mordercy lub siły sprawczej tych śmierci.

— Siły sprawczej? Co przez to rozumiesz, ojcze?

— Nie wierzę, aby ktokolwiek z naszego zgromadzenia był zdolny do odbierania życia innym braciom bez poduszczenia przez złe moce, może nawet samego szatana!

— Recto verso zniżył głos do ochrypłego szeptu.

— Och, to straszne! — Kedrigern pobladał.

— Widzisz więc, że musisz nam pomóc. Proszę cię o to! Czarnoksiężnik zerknął na Traffea, który od usłyszenia ostatnich słów opata stał jak skamieniały.

— Musimy się naradzić przed podjęciem decyzji — odparł, chociaż w duchu wiedział już, co czynić. To prawda, że bardzo mu zależało na zdobyciu „Księgi pięciu błękitnych ślimaków”, że palił się, by spenetrować wnętrza zakonnej biblioteki, i że rwał się pomóc dobrym mnichom w rozwikłaniu zagadki przerażających zgonów; mimo to nie zamierzał przekraczać pewnych granic. Choć wielokrotnie zmagał się ze straszliwymi siłami — smokami, demonami i potworami, a raz kiedyś stanął nawet oko w oko ze Śmiercią, zawsze unikał próby sił z Księciem Ciemności. Taka potyczka nie wchodzi w grę.

Nie zdążyli jednak odejść z Traffeem, gdyż opat, schwyciwszy ich mocno swymi chudymi dłońmi za przeguby rąk, ciągnął dalej:

— Nasza praca to święte dzieło. Chociaż niektórzy urągają, zarzucając nam fanatyzm, obłąkanie, a nawet herezję, wszystko, co tu robimy, czynimy dla Bożej chwały. Walczymy z Jego wrogami bezustannie i nieustępliwie.

— A na czym polega wasza praca? — odważył się zapytać Kedrigern.

— Tworzymy księgi.

Czarnoksiężnicy wymienili spojrzenia pełne niedowierzania, po czym jednocześnie zwrócili się do zakonnika:

— Jak się tworzy księgi? — Traffeo.

A Kedrigern:

— Przecież księgi się kopiuje, a nie tworzy!

Opat zwolnił uścisk i rozjaśniając się, spojrział na nich przeciągle. Po chwili spuścił oczy, powtarzając:

— Jak już mówiłem, spisujemy księgi. Czyż nie tego spodziewają się wszyscy po zakonnikach?

Potwierdzili. Kedrigern, choć zachowywał kamienne oblicze, w głębi duszy coraz bardziej upewniał się co do słuszności swojej decyzji o natychmiastowym opuszczeniu klasztoru. Perspektywa zadawania się z fanatykami i szaleńcami nęciła go jeszcze mniej niż porachunki z szatanem. Czuł przez skórę, że Traffeo poprze go ze wszystkich sił.

Opat chyba wyczuł nastroje gości. Krzywiąc twarz w wymuszonym uśmiechu, rzekł dobrotliwie:

— Oczywiście, potrzebujecie spokojnego zakątka, by się naradzić. Proponuję spacer po ogrodzie, w którym hodujemy zioła, lub odpoczynek na ławie w cieniu drze-

wa. Jeśli wolicie, możecie przejść się wokół opactwa. Ruch sprzyja czasem skupieniu. W południe przekażecie mi waszą decyzję, a do tej pory czujcie się tutaj jak u siebie.

— Czy możemy zwiedzić bibliotekę? — z nadzieją zapytał Kedrigern, łapiąc opata za słowo.

— To, niestety, jest chwilowo niemożliwe. Być może później, kiedy już zostaną rozwiązane zagadki tajemniczych i tragicznych zgonów.

Opat odszedł, pozostawiając ich na rozważaniach, dokąd się udać na naradę. Ostatecznie zdecydowali się pospacerować wzdłuż murów opactwa, gdyż obydwaj uznali, że poza terenem klasztoru łatwiej przyjdzie omówić wszystko bez skrępowania.

Dyskutowali burzliwie przez cały poranek, nicując rzecz na wszelkie możliwe strony, by około południa powrócić do punktu wyjścia zarówno w rozmowie, jak i w wędrówce. Z jednej strony, powinni pozostać w opactwie, aby dotrzeć do celu podróży — „Księgi pięciu błękitnych ślimaków”, choć mogli się wówczas narazić na starcie z siłami piekielnymi. Z drugiej zaś strony — pośpieszny odwrót zapewni ratunek ich ciałom i duszom przed niszczycielską mocą ciemności, ale jednocześnie pozbawi ich możliwości uratowania ofiar czarów i tym samym pograży imiona czarnoksiężników w wiecznej niesławie. Nie dość na tym. Nie ma wcale pewności, że piekło uknuło tę morderczą intrygę; a może w grę wchodzi jedynie najzwyczajniejszy zabójca, na przykład ostatni mściciel z krwawej wojny toczonej od wieków między dwoma zwaśnionymi rodami? Jeśli tak, należy zostać, ale z kolei wątpliwe, czy uda im się w ogóle dotrzeć do „Księgi pięciu błękitnych ślimaków” — Rectoverso nie pozwolił im nawet zajrzeć do biblioteki. Wertowanie ksiąg stało więc pod wielkim znakiem zapytania, a budzące nadzieje słowa, które opat rzucił im na pożegnanie, wydawały się raczej złudną przynętą niż rzetelną obietnicą.

Kedrigern wiedział, że wobec tych wszystkich niejasności tylko głupiec podjąłby wyzwanie, a każdy rozsądny człowiek uciekałby stąd co koń wyskoczy. A jednak tajemniczy wewnętrzny głos nie dawał mu spokoju, namawiając wbrew wszystkiemu do pozostania w klasztorze. Przecież bezwzględnie trzeba znaleźć klucz do zagadki. Wyrafinowanemu i bezlitosnemu mordercy niewinnych mnichów zbrodnie nie mogą ujść bezkarnie, chyba że w grę wchodzi inne moce... To jedno zasadniczo zmieniłoby postać rzeczy.

Wrócili na teren opactwa. Kiedy wspinali się ścieżką ku budynkowi kapituły, Traffeo wrócił do tematu:

— Wyjedźmy stąd! Jeśli dziś wyruszymy i pomkniemy co sił do Othionu, zdążymy jeszcze dokładnie przewertować wszystkie księgi z mojej biblioteki. Na pewno zdołamy na czas odnaleźć lekarstwo dla Berzel.

— Tak sądzisz? — bez przekonania zapytał Kedrigern.

— Nie. Lecz nie powinniśmy zostawać tutaj.

Kedrigern westchnął ciężko.

— Chyba masz rację, lecz do szaleństwa doprowadza mnie myśl, że musimy zrezygnować, znajdując się tak blisko celu!

— Ten opat i tak nie puści nas ani o krok dalej.

— To prawda. Tak się trzęsie nad tą swoją bezcenną biblioteką, że można by pomyśleć, iż... Nie, nie ma sensu rozważać tego w kółko. Nie pozostaje nam nic innego, jak spojrzeć prawdzie prosto w oczy: nigdy nie ujrzymy „Księgi pięciu błękitnych ślimaków”, i tyle!

— A może jej tu wcale nie ma? Twój sługa mógł się pomylić.

— Wierzę słowom Zorscha. Jeśli twierdzi, że ją widział i miał w rękach, mówi prawdę.

— Ale mogło się też zdarzyć, że mnisi zniszczyli ją po wyjeździe Zorscha. Na przykład wywabili wszystkie dotychczasowe teksty, aby mieć miejsce na nowe. Słyszałem, że często postępują w ten sposób.

— Tak, tak, wiem — niechętnie przyznał Kedrigern.

— A może po prostu zjadły ją szczury...

Kedrigern jęknął głucho i nie odzywał się, dopóki nie znaleźli się w pobliżu kuchni. Wówczas oznajmił:

— Pożegnam Duodecima. Ty tymczasem idź po konie.

— Poczekam na ciebie w stajni — ochoczo zgodził się Traffeo.

W kuchni Kedrigern nie zastał nikogo. Powietrze przesyciły kuszące zapachy warzących się potraw. Pokręcił się chwilę, nawołując kilkakrotnie zakonnika. Nie doczekawszy odpowiedzi, zdecydował się przygotować konia i zejść do kuchni ponownie tuż przed wyjazdem.

Kiedy zbliżał się już do stajni, w oddali dostrzegł opata spieszącego w stronę biblioteki. Doszedłszy do wniosku, że to znakomita okazja do przeprowadzenia naprędce ostatecznej rozmowy z Rectoversem, przywołał więc Traffea. Razem puścili się co tchu za opatem. Nie zdążyli ujść zbyt daleko, gdy wtem z biblioteki jak burza wypadło dwóch służących, którzy, wymachując dziko rękami i wykrzykując coś niezrozumiale jeden przez drugiego, rzucili się opatowi do stóp. Tymczasem z wnętrza biblioteki poczęli się wyłaniać kolejni służący nie mniej przerażeni.

— Uspokój się i mów! — zwrócił się Rectoverso do jednego ze służących akurat w chwili, gdy Kedrigern zbliżył się do nich,

— Brat piwniczny! W wykopie! — wyrzucił z siebie biedak jednym tchem, a drugi, równie oszalały z przestrawienia, przyszedł mu w sukurs, dodając: — Duodecimo z Arduy nie żyje! Zasypała go wykopana ziemia!

— *Requiescat in pace* — wymamrotał opat. Pomógł podnieść się obu służącym, którzy nadal trzęśli się, tym razem jednak pod jego przenikliwym badawczym spojrze-

niem. — A w jaki sposób dowiedzieliście się o wypadku, który wydarzył się wewnątrz biblioteki? — zapytał surowo.

— Od bibliotekarza! — wykrzyknął jeden z nich, tocząc wokół nieprzytomnym wzrokiem.

— To on nam powiedział, każąc zawiadomić cię, panie — wyjaśnił drugi. — Spełniamy tylko jego polecenie!

— Niczego nie widzieliśmy; nie wchodziliśmy do środka — tłumaczył się pierwszy.

— To dobrze. Czy to wszystko?

Kiedy potwierdzili, głośno zaklinając się na wszystkie świętości, pozwolił im odejść, machając dłonią. Cofnęli się parę kroków dla przyzwoitości, po czym odwrócili się jak na komendę i chyżo umknęli.

Kedrigern stał obok jak skamieniały. Przerazenie i wściekłość odebrały mu mowę.

— Nasz wróg nie odpoczywa — zauważył opat posepnie.

— Jeszcze rano gawędziłem z Duodecimem. A teraz miły braciszek nie żyje — zdławionym głosem jęknął czarnoksiężnik.

— Czy zostaniesz więc, aby pomóc mi wytropić tego, kto go zgładził?

— Tak — złamał się nieoczekiwanie Kedrigern. W obliczu strasznej śmierci dobrego mnicha wszystkie wcześniejsze rozsądne postanowienia przestały mieć znaczenie.

— Pójdź więc ze mną — rozkazał mu opat.

11. Rozgrywka

Księżniczka, ująwszy się pod boki, spojrzała Czarnemu Błaznowi prosto w oczy. Berzel, usiłując wyglądać na równie nieustraszoną, wstała i dzielnie zajęła miejsce u jej boku.

— Wcale się nie boimy — stwierdziła Księżniczka chłodno.

Czarna postać zgięła się we wdzięcznym ukłonie.

— Wszystko w swoim czasie, miłe panie — padła odpowiedź.

— Nie sądzę. Nie chcemy być nieuprzejme; jednak nie możemy bezwolnie poddawać się naciskom tych, którzy mają czelność twierdzić, że znajdujemy się w ich mocy — wyjaśniła, a Berzel, przybierając odpowiednio srogą minę, dodała:

— Nie ma mowy.

— Niczego nie twierdziłem, jedynie poinformowałem lojalnie o waszym położeniu. A przedstawia się ono tak, że przebywając w mych włościach, podlegacie mojej władzy i będziecie mi posłuszne, dopóki zechcę was gościć. Uprzedzam, że władza moja jest nieograniczona.

— Wobec takiego dictum nie popełnię nietaktu, przypominając ci twoje położenie — oznajmiła Księżniczka, sięgając po różdżkę. — Wiedz przeto, że ja też mam pewne możliwości, więc jeśli okażesz się niezręcznym gospodarzem, podziękujemy ci za gościnę stosownie do twoich zasług.

— Łaskawa pani! — wychrypiał błazen z urazą. — Obie łaskawe panie! Czyż źle was tu potraktowano? Grożono wam? Czy doznałyście w tych ścianach zniewagi miast gościnności, szczodrobliwości, uprzejmości i najwyższego szacunku?

— Jak dotąd nie — przyznała Księżniczka, spoglądając na Berzel. Ta niechętnie potrząsnęła głową.

— A zatem wybaczone mi, błagam, tych parę niefortunnych zdań. Powróćmy do naszej gry. Twój ruch, pani. — Czarny Błazen ponownie skłonił się uniżenie. Potem swym charakterystycznym kołyszącym się krokiem oddalił się na przeciwległy balkon.

— Pokazałaś mu, gdzie raki zimują — wyszeptała Berzel pełna podziwu. — Jeśli tacy mają być wszyscy trefnisie, nie chcę żadnego w moim pałacu.

— Ten jest wybitnie nietypowy — uznała Księżniczka z przekąsem. Kiedy usadowiły się ponownie w swoich wyściełanych krzesłach, zerknęła w dół na wielką szachownicę, mówiąc: — Cóż za dziwne szachy! Przecież żadnej z tych wież nie da się przesunąć bez pomocy co najmniej trzech silnych mężczyzn!

W tym czasie Czarny Błazen, przechylony przez barierkę, w skupieniu obserwował z góry trzydzieści dwie figury na szachownicy. Potem, przybierając marsową minę, pompatycznie rozłożył ręce. Na gest ów biały król i królowa z godnością skinęli Księżniczce głowami, a osiem białych pionków pochyliło się przed nią w głębokim ukłonie. Księżniczka odpowiedziała im, unosząc dłoń w królewskim pozdrowieniu.

— Wystarczy, pani, jeśli głośno obwieścisz swój ruch, a figury ustawią się same — wyjaśnił Czarny Błazen.

— Dobrze więc, otwieram grę pionkiem sprzed króla. Pionek zasłaniający białego króla, wystąpiwszy z szeregu, przemieścił się o dwa kroki do przodu, głośno przy tym tupiąc niewidocznymi nóżkami. Berzel i Księżniczka ukradkiem wymieniły zaskoczone spojrzenia. Oczy Berzel były okrągłe ze zdumienia. Nachyliła się ku Księżniczce, pragnąc coś jej oznajmić; ta jednak, ścisnąwszy dziewczynę za ramię, syknęła:

— To tylko zwykłe popisy. Udawaj, że niczego nie zauważyłaś. Księżniczka wyteżyła wzrok, próbując bliżej się przyjrzeć figurom. Nie dostrzegła w nich niczego niezwykłego, za to uszu jej dobiegły z dołu głosy, ściszone, lecz tak wyraźne, jakby sama znajdowała się wśród postaci na szachownicy.

— Dlaczego zawsze grę zaczyna pionek sprzed króla lub królowej, zamiast któregoś z nas? To niesprawiedliwe! — żalił się jeden z pionków.

— Właśnie tak należy. Przecież pionek króla jest najdostojniejszy z nas wszystkich — sprzeciwił się inny.

— Wyobrażasz sobie, że grę powinien otworzyć pionek sprzed wieży? — pogardliwie zapytał trzeci.

Śmiejąc się ironicznie, pierwszy rozmówca odparował:

— Widać od razu, jak świetnie znasz się na rzeczy. Podczas wielkiego turnieju w Narbonne słynny Spulsifer otworzył grę właśnie pionkiem sprzed wieży i wygrał w dziewięciu ruchach!

— Udało mu się psim swędem i to tylko dlatego, że jego przeciwnik nagle zmarł przy swoim ósmym posunięciu.

— To zupełnie inna sprawa. Ale dzięki temu genialnemu otwarciu całkowicie zaskoczył przeciwnika. Wszyscy byli tego zdania.

— A co pionek sprzed wieży może mieć do powiedzenia o genialnych posunięciach szachowych? — wtrącił się czwarty głos.

— Znacznie więcej niż pionek sprzed gońca — zjadliwie odciął się pionek sprzed drugiej wieży.

— Spokój tam, pionki, spokój! — uciszył je z krzykiem skoczek ze skrzydła królowej, podrzucając głowę i potrząsając grzywą. — Nie czas teraz na zwady! Przed nami cała gra, którą trzeba wygrać! Piers do przodu! Nie garbić się! Ustawić się i do boju! Wyglądacie jak banda warcabów!

Wśród cichych szemrań pionki, kołysząc się niemrawo, zajęły miejsca, każdy pośrodku swojego pola. Skoczek dokonał ich przeglądu po kolei.

— No, już lepiej — pochwalił. — Nie chcę więcej słyszeć żadnych kłótni, zrozumiano? Jeśli chcemy zwyciężyć przeciwnika, musimy trzymać się razem. — Z szeregów doszedł szmer. Kiedy wygasł, skoczek mówił dalej: — Ich wysokości życzą sobie, by każdy z was spisał się jak najlepiej. Przypominam, że każdy, kto dotrze na tyły wroga, otrzyma nagrodę. Tom przemierzył już połowę tej drogi; pozostali też wkrótce wyruszą.

— Kto tym razem dowodzi, panie? — dopytywał się któryś z pionków.

— Nie twoja sprawa. To wysoko urodzona, piękna dama o kruczoczarnych włosach i oczach, dla których każdy pionek gotów by oddać życie. Podobno zna się też na magii. Dostąpiliście wielkiego zaszczytu mogąc jej służyć, więc jeśli któryś ją zawiedzie, osobiście dopilnuję, by pożałował, że się urodził!

Na to z szeregów dobiegł cichy głos:

— Taki mocny w gębie, a trzech kroków w linii prostej przejść nie potrafi. — Słowom tym towarzyszył ukradkowy śmiech.

— Kto się ośmielił?! — zawył skoczek. — Który to pionek?! Niech no go tylko dostanę w swoje ręce!

— Spokojnie, mój synu, tylko spokojnie — odezwał się łagodny głos obok skoczka. — Nie wolno nam folgować złości. Powinniśmy bez reszty oddać się naszym obowiązkom, służąc pokornie tej szlachetnej damie, która ryzykuje tak wiele, dowodząc nami.

— Tak, ekscelencjo. Przepraszam uniżenie. To się już nie powtórzy — obiecał zmieszany skoczek.

Na dźwięk głosu czarnopolowego gońca pionki się uspokoiły. Księżniczkę natomiast jego słowa zaintrygowały wielce, gdyż jak dotąd w swojej grze nie widziała żadnego ryzyka. Z zadumy wyrwał ją głos Czarnego Błazna.

— Pionki grzeszą nadmiernym gadulstwem. Czy to cię, pani, nie rozprasza? — zapytał.

— Ani trochę. Goniec napomknął coś o ryzyku, jakie podjęłam, decydując się nimi kierować. Czy wiesz, o co mu chodziło?

— Zapewne o wielkie prawdopodobieństwo przegrania z moją skromną osobą, pani. Cóż innego mógłby mieć na myśli? Teraz mój ruch, pozwól, że również zacznę pionkiem sprzed króla o dwa pola.

Pionek sprzed czarnego króla przesunął się zgrabnie i bezszelestnie na wskazane miejsce, stając twarzą w twarz z białym pionkiem. Patrzyły na siebie z niechęcią.

— Nie przejmuj się nim, Tom! — dodał białemu otuchy któryś z towarzyszy.
— Jeśli spojrzy na ciebie zezem, przysuń mu jak należy! — dodał inny bojowo.
— Dosyc, pionki! Uciszcie się! Trzeba zachować siły na potem! — mitygował je drugi z białych skoczków.

Pionki posłusznie zamilkły. Pozostałe figury też stały w milczeniu. Dzięki temu Księżniczka mogła wreszcie w spokoju przemyśleć strategię dalszej gry. Grywała czasem w szachy z Kedrigernem, a poza tym kołatały jej w pamięci pewne posunięcia taktyczne i schematy rozgrywek, które prawdopodobnie zapamiętała z czasów sprzed swojej transformacji. Pozwalało jej to nieźle sobie radzić na szachownicy, ale żadną miarą nie mogła uchodzić za eksperta. Zdawała sobie z tego sprawę, toteż postanowiła dokładnie przemyśleć każdy ruch. Nigdy nie lubiła przegrywać. Tym bardziej więc teraz nie miała ochoty przegrać z błaznem.

Nagle zastanowiła ją cisza panująca po drugiej stronie szachownicy. Przyszło jej do głowy, że oprócz ożywionej paplaniny białej drużyny nie dotarł do jej uszu najcichszy bodaj szept ze strony czarnych. Dlaczego się nie odzywali? Nie umieli mówić? A może porozumiewali się wyłącznie między sobą i Czarnym Błaznem? Czy użyli milczenia jako fortelu, by wytrącić ją z równowagi, co niewątpliwie im się zresztą udało? Albo wprost przeciwnie — zamilkli przez grzeczność, by ułatwić jej koncentrację? Rozważała przez chwilę wszystkie te możliwości, po czym, rzuciwszy Czarnemu Błaznowi wyzywające spojrzenie, wróciła myślami do gry.

Doszła do wniosku, że tylko zuchwałe posunięcia umożliwią jej wygranę tej partii. Czarny Błazen miażdżył przeciwnika, stosując metodę zastraszenia lub co najmniej pozbawienia adwersarza pewności siebie. Temu służyły jego wymyślne szaty i dziwaczne maniery. Z nią nie pójdzie mu tak łatwo, nie pozwoli się zastraszyć. Przystąpi do ataku i nie popuści ani na chwilę. Zdecydowane, agresywne posunięcia aż nadto wyraziście uświadomią mu, że nie ma bynajmniej do czynienia z dwiema zalęknionymi, zagubionymi księżniczkami. Ostra rozgrywka i szybkie zwycięstwo — oto jej plan. Potem grzecznie podziękują za gościnę i pojedą swoją drogą.

— Królowa na pole h5 — rzuciła stanowczym tonem.

— Co? Co? Piąte pole w kolumnie wieży? Muszę więc pędzić! Już biegnę! — zawołała królowa, zgarniając fałdziste spódnice. Zstępując z tronu, zwróciła się do króla: — Lecę, staruszk! Pa! Wróć niedługo! Trzymaj się! Nie oddalaj się od wieży i uważaj na siebie! — Podnosząc głos, napomniała otoczenie: — Niech reszta opiekuje się jego wysokością podczas mojej nieobecności! Będę tu zaglądać od czasu do czasu! Trzymać się mi tu dzielnie i uszy do góry! — i popędziła na wskazane pole.

— Spójrz tylko, mknie jak rakieta! — zachwyciła się Berzel. — To dopiero energiczna kobieta! Och, taką właśnie królową pragnę zostać!

Księżniczka nie odpowiedziała. Z ciekawością przysłuchiwała się bowiem najpierw

leniwemu ziewnięciu, a potem niskiemu, niemiłosiernie zaspanemu głosowi, który wymruczał zrzędliwie:

— Nieznośna kobieta! Wiecznie ją gdzieś niesie! I na cóż ta cała bieganina i rwetes? Czy ona nigdy nie nauczy się załatwiać spraw, nie ruszając się z pola?

— Niezwykle wnikliwa uwaga, wasza wysokość — wtrącił się głos obok króla.

— Potrafisz prawić piękne słówka, gończe — gderał król. — Oboje jesteście z jednej gliny.

Goniec zaśmiał się krótko, z zażenowaniem.

— Tylko że ja nie mam ani takich obowiązków, ani tak wielkiej władzy jak jej wysokość. Ja do celu zmierzam wyłącznie na ukos; podczas kiedy królowa może robić, co chce.

— Za dużo słów. Po co tyle mówić? — wymruczał król, po czym ponownie zapadł w drzemkę.

— Odważny ruch, pani — stwierdził Czarny Błazen. — Odpowiem skoczkiem na c6.

Na te słowa czarny koń przeskoczył gracko ponad szeregiem pionków, by zająć wskazane miejsce. Skręciwszy w powietrzu w bok, wylądował przed pionkiem strzegącym białopolowego gońca. Księżniczka długo analizowała rozstawienie figur, aż wreszcie znalazła wyjście. W trzecim ruchu wysłała swego białopolowego gońca na c4.

— A nie mówiłem? Wart tyle samo, co królowa — utyskiwał król po jego zniknięciu.

Ziewając dla pozorów, Księżniczka z całych sił starała się zachować spokój, co nie przychodziło jej łatwo, gdyż zaledwie jeden ruch dzielił ją od wymarzonego mata. Jeśli tylko jej przeciwnik będzie kontynuował atak skoczkami i jeśli użyje skoczka ze skrzydła króla przeciwko białej królowej, gra skończy się na jej czwartym ruchu: królowa weźmie czarny pionek i mat!

— Doprawdy waleczny z ciebie przeciwnik, pani — orzekł Czarny Błazen.

— Celem gry jest wygrana. Nie ma więc na co czekać — chłodno odparowała Księżniczka.

— To mi się podoba. Postawa godna podziwu. Z całego serca podzielam twój punkt widzenia. Krótka, ostra rozgrywka nas ożywi.

— Mam nadzieję. Twój ruch.

— Widzę, pani, że nie obawiasz się rozlewu krwi. Prawdziwy gracz gotów jest do największych nawet poświęceń, ja jednak w tej chwili nie mam na to ochoty — stwierdził Czarny Błazen, z uśmiechem przesuwając pionek sprzed skoczka na królewskim skrzydle o jedno pole do przodu. — Z moim doświadczeniem nie wpadam w tak prymitywne pułapki. Zdaje się, że twoja królowa, pani, znalazła się w potrzasku.

Księżniczka, uznając, że trochę się zagalopowała, wycofała swoją królową na pole f3,

gdzie z głośnym aplauzem przywitały ją białe pionki.

— Witam was, zuchy! — odwzajemniła się królowa, nieco zasapana po spiesznym odwrocie. — Dziękuję za waleczną postawę i doskonałą prezencję! — dodała z królewską powagą. Nie ulegało wątpliwości, że dzielna monarchini, wytrącona z równowagi przez niespodziewany atak czarnego pionka, odetchnęła z ulgą, znalazłszy się wśród swoich.

Na następny ruch Czarnego Błazna nie trzeba było czekać długo. Skoczek ze skrzydła króla, przesadziwszy puste pole przed sobą, zatrzymał się na polu f6, zagrażając tym samym bezpieczeństwu białego pionka, stojącego na polu e4. Tom, rozejrzawszy się bezradnie wokół, wyprężył się odważnie, krzyżując ręce na piersiach i przybierając marsową minę.

— Odwagi, synu! — wsparł go goniec ze swego nieco oddalonego pola.

— Nie łam się! Jesteśmy wszyscy z tobą! Dzielny chłopak! — próbowała go podtrzymać na duchu królowa.

Księżniczka wysłała skoczka ze skrzydła królowej na pole za plecami osamotnionego dotąd gońca. Dzięki temu posunięciu za jednym zamachem przydała gońcowi towarzysztwa i jednocześnie osłoniła Toma, który odsapnął na ten widok.

— Uszy do góry! Trzymaj fason! — mruknął skoczek do Toma.

Czarny goniec zajmujący miejsce u królewskiego boku wyruszył dostojnym krokiem na pole c5. Tam znalazł się twarzą w twarz z białopolowym gońcem z drużyny białych. Obie figury ukłoniły się sobie z szacunkiem. Czarny goniec, zlustrowawszy uważnie swoje ścieżki biegnące przed nim w prawo i w lewo po czarnych przekątnych, zatrzymał wzrok na pionku schowanym za plecami królowej i uśmiechnął się pod nosem bez słowa.

— Skóra mi cierpnie pod spojrzeniem tego typu — wyszeptał pionek.

Zza pleców dobiegł go strofujący głos królewskiego skoczka:

— Zachowaj zimną krew, chłopcze! Nie czas teraz na takie uwagi!

Księżniczka przesunęła o jedno pole pionek sprzed królowej; gospodarz domu odpowiedział identycznym ruchem. Sytuacja nie przedstawiała się dla niej najlepiej. Nie dość, że błazen bez najmniejszego wysiłku powstrzymał jej atak, to jeszcze teraz przypierał ją coraz bardziej do muru. Płaciła w ten sposób za swoje brawurowe natarcie wyrosłe z naiwnej wiary, że zdoła błyskawicznie pokonać tak wytrawnego gracza. Nie mogła jednak dopuścić do przegranej z tym bezczelnym, fałszywie uśmiechającym się błaznem! Na samą myśl o tym burzyła się w niej błękitna krew.

Królowej chwilowo nic nie groziło. Potrzebowała jedynie osłony z prawej strony, pozostałych pozycji strzegli bowiem goniec, skoczek oraz dwa pionki. Poza tym biedny pionek za jej plecami, który znalazł się na linii rażenia czarnego gońca, potrzebował duchowego wsparcia. Księżniczka zdecydowała się więc wzmocnić prawą flankę, przesu-

wając skoczka ze skrzydła króla na pole h3.

— Ciekawe... Przyznaję, że nie spodziewałem się takiego posunięcia — wyznał zdumiony Czarny Błazen.

— Ha, i cóż ty na to? — odparła Księżniczka.

— Oto moja odpowiedź. — Jego białopolowy goniec uroczyście wkroczył na połowę białych. Zatrzymał się na polu g4 tuż przed białą królową, której złożył niski ukłon. Królowa w popłochu rozejrzała się wokół, szukając wzrokiem obrońcy, lecz nie znalazła w nikiem oparcia. Żarty się skończyły. Sytuacja zaczynała wyglądać naprawdę groźnie.

— Drobną rozlew krwi wydaje się nieuniknioną. To znakomicie, przynajmniej oczyści atmosferę. Czy zgadzasz się ze mną, pani? — zapytał Czarny Błazen.

Po głębszym namyśle Księżniczka doszła do wniosku, że ma tylko jedno wyjście — przesunąć królową na pole g3. Wówczas jej przeciwnik albo się wycofa, albo straci gońca w zamian za jej skoczka. Lecz co potem? Czarny skoczek ze skrzydła królowej najwyraźniej przygotowywał się do ataku, nie wspominając już o tym przeklętym czarnopolowym gońcu... No cóż, nie ma się co dłużej zastanawiać. Trzeba ratować królową i czekać na dalszy rozwój wypadków.

Królowa z gracją przeszła na sąsiednie pole, przy okazji poprawiając tren sukni. Czarny goniec niewinnie spuścił oczy, próbując ukryć zadowolenie, lecz nie uszło to uwagi białej drużyny. Zewsząd dochodziły szemrania pionków.

— Zapłaci nam za to! — odgrażał się jeden, a drugi dodał:

— Nie wywinie nam się, słowo białego pionka!

— Spokojnie, chłopcy! Jeszcze mnie nie pożarł — łagodził skoczek ze skrzydła króla.

— Jeśli to zrobi, sam straci życie. Już my tego dopilnujemy! — wykrzykiwał trzeci pionek, mierząc groźnym spojrzeniem milczącego i niewzruszonego tymi obelgami czarnego gońca.

— Okażcie, chłopcy, więcej szacunku dla stanowiska — upomniał ich skoczek.

— Phi, swoje stanowisko zawdzięcza okradaniu ludzi. Wszyscy wiemy, że taki ma tytuł do piastowania wysokich godności, jak ja do rangi marszałka — ze złością odciął się jeden z pionków.

— Już dobrze, dobrze. Zostawmy to na potem. Dopóki bierzemy udział w grze, ten jegomość ma być przez was traktowany z respektem należnym gońcowi, i basta! I to niezależnie od tego, co się ze mną stanie, zrozumiano? — skoczek uciał dalsze swary.

— Czy słyszysz rozmowę pionków, Berzel? — cichym szeptem zapytała Księżniczka.

— Nie, niczego nie słyszę.

— A ja tak. To niezwykle poruszające. Zachowują się tak, jakby naprawdę mieli poświęcić życie w tej grze.

— Bo tak jest, pani! Czy ten stary diabeł nie uprzedził cię o tym? — wyrwało się pionkowi strzegącemu wieży.

— Cisza! Ani słowa więcej! — rozkazał srogo skoczek, lecz nie udało mu się wcale powstrzymać pionka, który wykrzyknął jeszcze głośniejsze:

— Ona powinna znać prawdę! Niech ktoś wreszcie przedstawi naszemu pięknemu dowódcy prawdziwe zasady tej rozgrywki, w przeciwnym wypadku najpewniej skończy tak jak my!

— Zaraz, zaraz, o co znowu tyle krzyku? Proszę o spokój! — zirytowanym tonem przemówił król, wyrwany zniemacka ze słodkiej drzemki. — Wieczne zamieszanie, wrzawa i krzątanie, a teraz jeszcze i wrzaski? Jak wasz król może odpocząć w takich warunkach?

— Widzisz, co zrobiłeś? Obudziłeś jego wysokość — syknął skoczek.

— Ktoś w końcu musi jej powiedzieć!

— Na pewno nie pionek! Nie zapędzaj się, chłopcze. Twoim zadaniem jest przedrzeć się na drugą stronę szachownicy. Resztę pozostaw wyższemu rangą.

— Dobrze, lecz zróbcie to wreszcie! Ona musi się dowiedzieć! — warknął pionek z bezsilną złością.

— Dość! Weźcie się w garść! — wtrąciła ostro królowa. — Pionek ma rację. Czas najwyższy ujawnić prawdę. Gończe, czy zechcesz wyświadczyć nam grzeczność i podejmiesz się tego zadania?

Goniec ze skrzydła królowej, który dotąd nie brał udziału w grze, pochylił głowę:

— Jak wasza wysokość sobie życzy. — Odchrząknawszy, zapytał głośno: — Szanowny dowódco, czy mnie słyszysz?

— Tak, słyszę. Słyszałam też wszystkie wcześniejsze rozmowy — odpowiedziała Księżniczka w myślach, nie wypowiadając tych słów na głos.

— Tak, tak, rzeczywiście. Zapomniałem. Czy naprawdę nic ci, pani, nie wiadomo o istocie tej rozgrywki?

— Wiem jedynie, że zaprosił nas do niej po obiedzie gospodarz, który mieni się Czarnym Błaznem. Przyznaję, że zaskoczyły mnie rozmiary i gadatliwość figur i pionków, lecz poza tym nie znajduję w tej grze nic niezwykłego.

— Czy mogę spytać, w jaki sposób trafiłaś do tego domu?

— Prawdę mówiąc, stało się to przypadkiem. Szukając opactwa, pomyliłyśmy zapewne drogę. Ujrzawszy te zabudowania, wzięłyśmy je za klasztor. Nic w tym dziwnego. Nie wiedziałyśmy, jak opactwo naprawdę wygląda. Dopiero po obiedzie poinformowano nas, że gościmy w siedzibie Czarnego Błazna.

— Mnie pojmano w ten sam sposób, pani. Też grałem w szachy, a kiedy przegrałem, zmuszono mnie do odgrywania obecnej roli.

Księżniczka oniemiała. Przez dłuższy czas siedziała nieruchomo, wpatrując się sze-

roko rozwartymi ze zdumienia oczami w szachownicę, daremnie usiłując przełknąć tę przerażającą prawdę. Zaintrygowana Berzel przyglądała jej się z rosnącym zainteresowaniem.

— Czy coś się stało, kochana Księżniczko? — zapytała w końcu nieśmiało.

— Tak — padła ledwie dosłyszalna odpowiedź.

— Czy chodzi o złe posunięcie?

— Wręcz fatalne, kochanie.

— Wszystkich nas tutaj spotkał ten sam los — podjął tymczasem goniec. — Ich wysokości szukały schronienia przed burzą, która złapała je podczas polowania. Pan Roger wracał z turnieju rycerskiego, a pan Evan udawał się na wojnę... czy też odwrotnie.

— I pozostaniecie figurami szachowymi już na zawsze?

— Nie, tylko do momentu, kiedy polegniemy w bitwie.

— To wcale nie był taki najgorszy ruch, kochana Księżniczko — przerwała im rozmowę Berzel. — Nie mogłaś zrobić nic innego. Wiem, że nie jestem nawet w połowie tak biegła w rozgrywkach szachowych jak ty, niemniej...

— Nie to posunięcie miałam na myśli — niecierpliwie wtrąciła Księżniczka.

— Ach, rozumiem, mówiłaś o wcześniejszym. W takim razie nie ma już teraz sensu dzielić włosa na czworo — zagruchała radośnie Berzel. — Trzeba się z tym pogodzić i grać dalej.

— Ci, którym uda się ująć z życiem, grają dalej. Pozostałych zastępują nowi. Jego wysokość nie pamięta już nawet, od jak dawna tu przebywa. Jej wysokość jest zdania, że znaleźli się tu ponad dziesięć lat temu. Niestety, żywot reszty towarzystwa na ogół nie trwa tak długo...

— To straszne! Kim naprawdę jest ten Czarny Błazen? Jak można go powstrzymać?

— To potężny czarodziej, którego niezmierna moc dorównuje podłości. Jeśli przegra tę partię, ty, pani, i wygrywające figury odzyskają wolność. Nie wiem natomiast, jak można definitywnie pozbawić go mocy i położyć kres jego występkom — wyznał goniec.

— Ale jeżeli wygram, naprawdę zostaniecie wszyscy uwolnieni?

— Ci, którzy dotrważą do końca. Pamiętaj jednak, pani, że część z nas wypadnie z gry. To nieuniknione.

— Co z nimi się stanie?

— Umrą, pani.

— Nie przejmuj się tym, pani — skoczek, spoglądając srogo na laufra, próbował zatrzeć wrażenie jego dobitnych słów. — Dopóki mogę walczyć, śmierć mi nie straszna!

— Jakże mogę świadomie wysyłać was na śmierć?

— Nie masz wyboru, moja droga — wtrąciła królowa. — Jeśli tego nie zrobisz, zgubisz nas wszystkich i siebie też na dokładkę. Nie zwlekaj. Każde twoje wahanie natych-

miast obróci się przeciwko tobie.

— Wydawaj polecenia, pani, a my uczynimy, co do nas należy — pionek króla dołączył do pozostałych.

— Tom ma rację — poparł go inny pionek. — Jeśli ruszymy do ataku, przy okazji oczyścimy świat z kilku czarnych.

— Co o tym sądzisz, gończe?

— Ze złem trzeba walczyć, pani, a Czarny Błazen jak nikt inny zasługuje na to miano. Ja sam jestem przygotowany do spotkania ze Stwórcą, a co więcej, wierzę, iż osądzi mnie bardziej pobłażliwie, jeśli polegnę w obronie słusznej sprawy. Zapewniam cię, że w tej potyczce możesz liczyć na nas wszystkich.

— Jesteście bardzo dzielni. Dowodzenie wami poczytuję sobie za zaszczyt — oświadczyła Księżniczka głosem drżącym ze wzruszenia.

Pionki odpowiedziały głośnym aplauzem, do którego przyłączyły się oba skoczki, wykrzykując: „Brawo!”. Królowa łaskawie skinęła dłonią, a jego wysokość wymruczał coś przez sen z aprobatą. Księżniczka energicznie podwinęła rękawy sukni, po czym spojrzała na Berzel.

— Masz słusność, musimy się z tym pogodzić i grać dalej. — Odwracając twarz do przeciwnika, rzuciła wyzywająco: — Twój ruch, błaznie!

12. We młynie

Od rana w królewskim pałacu w Othionie panował taki rozgardiasz, że Zorschowi dopiero około południa udało się ustalić, że: a/ Księżniczka opuściła królewską siedzibę w nocy, b/ wkrótce potem zniknęła Berzel, c/ nikt w pałacu nie ma pojęcia, dlaczego wyjechały ani dokąd się udały, d/ Ithian w napadzie dzikiej furii grozi różnymi nieprzyjemnościami, ze śmiercią włącznie, każdemu, kto mógłby mieć cokolwiek wspólnego z ich ucieczką. Zorsch — chłopak nie w ciemię bity — bardzo szybko zrozumiał, że jako jedyny członek świty Księżniczki znajdujący się pod ręką, pierwszy padnie ofiarą wściekłości Ithiana. Nie zwlekając, zawinął swój skromny dobytek w koc i napchał jadła do tuniki, ile się dało. Ukradkiem wyprowadziwszy konia ze stajni, przemknął się poza bramy miasta — i tyle go widziano!

Nie wiedział, w którym kierunku wyruszyła Księżniczka. Doszedł więc do wniosku, że najrozsądniej będzie dogonić Kedrigerna, który prędzej czy później i tak pomoże mu odnaleźć Księżniczkę. Podążyć śladem czarnoksiężnika nie było trudno, Zorsch pamiętał bowiem, że tropy wiodą do opactwa położonego na zachód od Othionu. Skierował więc konia na zachód i pognał jak strzała.

Jechał bez ustanku, dopóki mury Othionu nie znikły za horyzontem. Wówczas zatrzymał się, nasłuchując odgłosów pogoni. Nie usłyszał jednak niczego oprócz szumu drzew. Zeskoczył z konia, by odpocząć w cieniu wielkiego dębu. Pogryzając twarde kawał suszonej wołowiny, usiłował rozwikłać zagadkę ostatnich wydarzeń. Po dłuższym zastanowieniu uznał to jednak za niemożliwe. Królowie, księżniczki i czarnoksiężnicy najczęściej zachowywali się w sposób zupełnie niezrozumiały dla niewtajemniczonych. Co gorsza, ich postępowanie na ogół narażało biednych poddanych na popadanie w poważne tarapaty lub nawet niebezpieczeństwa.

Tak, tak, za przyjemność obcowania z nimi zawsze w końcu płaci się kłopotami. To prawda, że Kedrigern zaoferował swą pomoc, a miłszej damy od Księżniczki ze świecą nie znajdziesz, lecz cóż mu po tym? Siedzi tu sam w trawie — biedny uciekinier zagubiony w obcym kraju. Nie dość na tym — księżyc dochodzi już połowy swego cyklu, a lekarstwa nadal ani widu, ani słychu. Zorsch westchnął zmartwiony. Może postąpiłby

rozsądniej, zawracając teraz do domu? Jeśli pogodzi się z tym, że raz w miesiącu do końca swoich dni będzie się budził rano w podartych i ubłoconych szatach, podrapany i niepomny wydarzeń poprzedniej nocy, w zamian odzyska przynajmniej radość rozkoszowania się domowymi pieleszami.

Myśl o domu przywiodła mu na pamięć dawnych druhów. Nie bez satysfakcji przypomniał sobie, że większość z nich również od czasu do czasu miewa zaniki pamięci, choć wcale nie z powodu pogryzienia. Co więcej, rozpowiadają o tym z dumą na prawo i lewo, uważając te objawy za niezbity dowód znakomitej zabawy, której zakosztowali poprzedniego wieczoru. Hm, wobec tego wygląda na to, że jego położenie wcale nie jest takie niezwykłe. A że zamienia się przy tym w wilkołaka? Nikt nie musi wiedzieć o tej drobnostce.

Tu westchnął tęsknie, tym razem na wspomnienie uroczej Meerli, córki młynarza. Uśmiechnął się na myśl o długich kasztanowych włosach dziewczyny, wdzięcznie kołyszących się przy każdym jej kroku; wielkich fiołkowych oczach, wpatrzonych w niego z oddaniem; małym zgrabnym nosku oraz słodkich różowych ustach... Niechętnie odrywał się od tak przyjemnych rozmyślań. Przyszło mu jednak do głowy, że ktoś uczynny może wyjawić Meerli jego sekret. Chyba lepiej będzie, jeśli wróci do niej jak najspieszniej i sam wszystko wyzna. Ona na pewno zrozumie, ma dobre serce, a co więcej — lubi zwierzęta. Wprawdzie zawsze gustowała w puszystych małych pieskach, ale może pokocha też wilka? W każdym razie na pewno zgodzi się udzielić wilkowi noclegu raz w miesiącu. Skoro kocha Zorscha, nie będzie to dla niej żadnym poświęceniem. Wierzył, że dziewczyna darzy go uczuciem — niejednokrotnie napomykała o chęci założenia rodziny i o dzieciach...

Ta refleksja obudziła w nim głos chłodnego rozsądku, pod wpływem którego misternie utkane marzenie pierzchnęło w jednej chwili. Dom i dzieci oznaczają przecież zupełnie coś innego niż wilcze legowisko pełne wiecznie głodnych wilczków! Nie ma rady, żadne półśrodki, jedynie całkowite uzdrowienie może odwrócić jego zły los i sprawić, by przyszłość znowu nabrała barw. Nie ma co dłużej rozważać — trzeba odnaleźć Kedrigerna, który jest ostatnią nadzieją na ratunek. Podniósłszy się ciężko, wsiadł na konia i ruszył w drogę.

U schyłku dnia młodzieniec zaczął uważnie rozglądać się wokół, szukając miejsca dogodnego na nocleg: suchego, lecz ze źródłem w pobliżu, zacisznego, lecz niezbyt oddalonego od traktu i zapewniającego bezpieczny odwrót. W głębi duszy marzył mu się przytulny zajazd, choć nie liczył nań, wiedząc, że te okolice uchodzą za nie zamieszkałe. Jechał, rozglądając się uważnie. Wreszcie, gdy słońce schowało się na dobre, z lewej strony między gałęziami drzew mignęło mu światelko. Co za ulga, pomyślał, chata lub zajazd z ogniem buzującym wesoło na palenisku, gdzie podróżnych częstują piwem i pożywną przekąską, gdzie znajdzie się dla niego miękkie łóżko, a dla strudzonego konia

wygodna stajnia. Ożywiony tą perspektywą, skierował się w tamtą stronę, uśmiechając się i mruczając pod nosem z zadowolenia.

Koń stąpał ostrożnie po nierównym gruncie, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Po pewnym czasie Zorsch usłyszał chóralną pieśń. Zachichotał zadowolony. Cóż za szczęśliwy traf: nie pierwsza lepsza, lecz rozśpiewana, wesoła gospoda — wymarzone miejsce dla każdego znużonego wędrowca. Już miał wykrzyknąć radosne słowa powitania, gdy wtem światło rozbłysło mocniej. Błyskowi towarzyszył głośny rechot i zaraz rozbrzmiała pieśń, a raczej monotonne skandowanie zdań, których treść sprawiła, że Zorschowi z przerażenia skrzepła krew w żyłach.

*Wiedzmy ze Studni — bywajcie!
Stańcie w krąg, zakłęcie rzucajcie!
Zatopcie go we wrzącym błocie,
Upieczcie mózg, mięśnie i inne łakocie,
Uwarzcie krew, upieczcie też wątrobę mu
— niech pyszny obiad starczy dla staruch stu!*

Melorecytację zakończył piskliwy okrzyk, gwałtownie przerwany głuchym trzaskiem. Pod niebo wystrzelił słup płomienia. Podobnie jak przedtem, wybuch powitały salwy rechotliwego śmiechu w najróżniejszych tonacjach. Zorsch zawrócił konia. Z bijącym sercem przedzierał się z powrotem do drogi.

Wkrótce nie widział już nic oprócz połyskujących gwiazd. Skąpe światło schodzącego księżyca nie docierało do szlaku ukrytego wśród gęstych drzew. Próbując dojść do siebie po niedawnym wstrząsie, Zorsch chwilowo nie miał sił, aby bodaj pomyśleć o noclegu. Ciągle przerażony, co chwila niepewnie spozierał na gwiazdy, spodziewając się, że lada moment ich blask zmaćci cień przelatujących głodnych wiedźm. Drżał z obawy, że zaraz go porwą w szponiaste ręce i zawloką do zakazanych ostępów, aby tam uczynić zeń smakowity kąsek na ucztę czarownic. Straszne! Cóż za przekłety las! W porównaniu z czającymi się tu pułapkami napady wściekłości Ithiana wydawały się niewinną igraszka. Nie mógł się oprzeć przeczuciu, że jego los dopełni się tutaj za parę minut. Straszliwy koniec spotkał też zapewne Księżniczkę i Berzel, a i obydwaj czarno-księżnicy nie mieli wielkich szans, by ująć cało z tych ponurych ostępów.

Kiedy tak deliberował zrozpaczony, nagle na wprost przed sobą znowu ujrzał w oddali błysk światła. Nie wstrzymał konia, pozwalając mu iść powoli dalej, sam jednak mocniej zacisnął dłonie na cuglach, aby w razie czego błyskawicznie je ściągnąć i czmychnąć w bok do lasu. Po pewnym czasie przekonał się, że tym razem światelko pozostaje nieruchome i nie zmienia natężenia. Zamiast jeżących włosy na głowie śpiewów czy dzikich pokrzykiwań dobiegł go jedynie szum wody i rytmiczne turkotanie

młyńskiego koła. Przybliżał się ku światłu z duszą na ramieniu, wciąż niepewny, czy zaraz jakieś straszdyło nie wychynie z ciemności. Wkrótce oczom Zorscha ukazały się zarysy sporego budynku z wielkim kołem młyńskim. Prowadził doń zgrabny mostek przerzucony ponad rwącym strumykiem. Widok młyna przypomniał mu Meerłę i jej ojca młynarza oraz jego własny, jakże odległy dom. Zorsch z nową nadzieją, przeciężając strach, zawołał głośno w stronę młyna.

— Kto tam? — odezwał się gruby głos z wnętrza budynku.

— Podróżny. Szukam schronienia. Jestem zmęczony i głodny.

Drzwi się otworzyły i na tle padającego ze środka światła ukazała się zwałista, przygarbiona postać.

— Ilu was jest?

— Jestem sam.

— Znajdziesz tu łyżkę strawy i miejsce do spania. Choć kiepską dziś mamy wieczere, chętnie podzielimy się z tobą, wędrowcze — przywitał go młynarz.

— Głodnemu wszystko smakuje. Dziękuję za zaproszenie — odparł Zorsch, zsiadając z wierzchowca.

— Stajnia jest tam! — gospodarz wskazał stojący obok budynek. — Przyjdź do nas, gdy tylko będziesz gotów.

Zorsch odprowadził do stajni strudzone zwierzę, po czym zarzuciwszy na ramię zwinęty koc, pomaszzerował do młyna. Gospodarz oczekiwał go w obszernej izbie jasno oświetlonej ogniem płonącym żywo na kominku. Jego twarz ukryta była w cieniu. Na środku pomieszczenia, w bezpiecznej odległości od ognia, rozpierał się potężny stół z wsuniętym podeń topornym taborem. Nad perkoczącymi na piecu garnkami pochylała się stara babka, która posłała przybyszowi szeroki uśmiech, błyskając przy tym jednym zębem. Szybko wyłowiwszy coś z garnka na płytką misę, ustawiła ją na stole.

— Gotowana rzepa, wędrowcze — objaśnił młynarz. — Nic więcej dziś nie mamy.

— Lubię rzepę — nie zniechęcił się Zorsch.

— Jutro będziemy jeść mięso, a pojutrze zmielę mąkę na chleb. Ale dzisiaj tylko rzepa.

— Przywiozłem trochę chleba. Chętnie się z wami podzielę — zaofiarował się Zorsch, sięgając do tuniki, skąd wyjął dwa okrągłe, twarde jak kamień bochenki.

— Nie trzeba, wędrowcze — wzbraniał się gospodarz. — W tym domu jada się wyłącznie chleb z własnej mąki.

Starucha przytaknęła żywo, sapiąc i ukazując bezzębne dziąsła:

— O tak, tak. Tylko nasz chlebek, pyszny chlebek.

— No cóż, jeśli naprawdę nie chcecie... — zaczął Zorsch.

— Nie — krótko odparł młynarz.

— W takim razie zachowam go na później. Przede mną jeszcze szmat drogi.

— Jedz rzepę! — przerwał mu gospodarz.

— Pyszna rzepka, pyszna rzepka — skrzeczała starucha, kręcąc trzęsącą się głową.

Zorsch zjadł. Ledwie zdążył przełknąć ostatni kęs, staruszka błyskawicznie porwała mu misę sprzed nosa, napełniając ją ponownie po brzegi parującymi kawałkami rzepy.

— Zjedz jeszcze — zachęcał chłopca gospodarz.

— Wasza hojność mnie wzrusza. Nie skosztujecie sami?

— Nie cierpię rzepy.

Stara kobieta, nabrawszy chochlą trochę płynu z garnka, poczłapała w stronę Zorscha.

— Masz na dodatek łyk pysznej zupki. Możesz pomoczyć w niej chleb.

— Ależ wspaniałości — dziękował pokornie Zorsch.

— Daj mu cebulę! — rozkazał młynarz staruszce.

— A tak, tak, cebulę. Jeszcze pyszną cebulkę. Po prostu cebulę. — Kołysząc się jak kaczką, powoli podreptała w kąt izby, gdzie stał okazały wór. Wygrzebała z niego cebulę i hołubiąc ją w dłoni niczym drogocenną perłę, wręczyła młodzieńcowi ze słowami: — Oto ona. Pyszna cebulka. Tego właśnie nam brakowało. Tylko cebulki.

Zorsch przyjął cebulę z wdzięcznością. Okazała się jeszcze jadalna, choć już zmiękła z powodu zbyt długiego przechowywania. Na powrót wygrzebał z tuniki jeden z bochenków chleba i podsunął go gospodarzom.

— Czy nadal nie macie ochoty na chleb? — ponowił zachętę.

— Jedz! — rozkazał młynarz.

Zorsch tak długo uderzał bochenkiem o kant stołu, aż chleb rozpadł się na kawałki, które następnie co do okruszka wsypał sobie do misy. Sprzątnąwszy najpierw główne danie składające się z rzepy i cebuli, zabrał się ochoczo do chleba, który już nasiąknął. Wszystko to popił resztką płynu z dna misy, po czym obtarłszy usta wierzchem dłoni, westchnął z lubością.

— Najedzony? — upewnił się gospodarz.

— Aż do przesady.

— Dobrze. A teraz spać.

Zorsch przeciągnął się i potarł oczy, ziewając przy tym głośno.

— Miałem ciężki dzień. Tym bardziej wdzięczny jestem za waszą troskliwość.

— To nic wielkiego — zapewnił go młynarz. — Zawsze chętnie służyliśmy pomocą zbłąkanym w tych stronach podróżnym.

— O tak, tak, zawsze. Uwielbiamy pomagać podróżnym — skwapliwie potwierdziła starucha, ukazując przy tym swój jedyny ząb.

Tłącą się szczapą z paleniska gospodarz przypalił knot latarni stojącej na kominie, po czym uniósł ją wysoko. Zorsch po raz pierwszy ujrzał jego twarz i oblał się zimnym potem. Próbując ukryć zmieszanie, poderwał się niby szukając swojego zwiniętego

koca, potem zebrał ze stołu misę i łyżkę, ale zaraz odłożył je z powrotem na to samo miejsce, aż w końcu, wsunawszy pod stół taboret, stanął jak kołek, wlepiając szeroko otwarte oczy w owo przerażające dziwo.

Całe oblicze gospodarza porastały gęste, czarne, splątane włosy. Na środku spod tej gęstwiny wylaniał się gruby, haczykowato zgięty nos. Jedno oko przypominało małeńki, połyskujący, czarny jak heban szklany paciorek, drugie natomiast, o konsystencji mętnego białka i wielkości gęsiego jaja, zajmowało prawie połowę twarzy. Na wpeł otwarte mięsiste, oślinione, czerwone wargi odsłaniały krzywe zęby pokryte nieapetycznym osadem. Ta odrażająca twarz w połączeniu ze zwalistą, koślawą posturą budziła grozę. Przepelniony obrzydzeniem Zorsch miał ochotę podziękować za dalszą gościnę; przemógł się jednak, uznając ten pomysł za przejaw czarnej niewdzięczności. Ów człowiek nie był przecież winny swego straszego wyglądu, a fakt, że mimo to nie stroił od ludzi, bezinteresownie dzieląc się swymi skromnymi zapasami z podróżnymi, i to na dodatek na bezludziu, gdzie każde ziarno zboża było na wagę złota, mógł mu tylko przysporzyć chwały. Zorsch poczuł się zobowiązany do odpłacenia za hojność przynajmniej uprzejmością — uśmiechając się, podziękował raz jeszcze za troskę.

— Tędy! — młynarz wskazał przejście ukryte z tyłu za kominem.

Z kocem pod pachą Zorsch stanął w progu. W świetle latarni gospodarza ujrzał przed sobą wnętrze niskiej komórki z przygotowanym w kącie siennikiem.

— Tu będziesz spał — rzekł młynarz.

— Na pewno będzie mi wygodnie.

— Dobranoc — pożegnał się młynarz, wręczając gościowi latarnię.

Młodzieniec wypróbował legowisko i uznał je za całkiem znośne. Ściągnawszy buty, zawiązał się w koc. Przez chwilę leżał nieruchomo, rozmyślając o szczęśliwym zrządzeniu losu, dzięki któremu zawitał do gościnnego młynarza po tym, gdy cudem umknął wiedźmom. Widok gospodarza nie sprawiał przyjemności, ale ciepła strawa i czysty, wypchany świeżą słomą siennik warte były odrobiny poświęcenia. Zorsch wzdrygnął się na myśl o chłodnej nocy spędzonej w lesie po wieczery złożonej z wody i suchego chleba. Postanowił odwdziżyć się młynarzowi. Może Kedrigern i Księżniczka ułożą zaklęcie zdolne odmienić jego odrażającą twarz? Albo Ithian, kiedy już nieco ochłonie, znajdzie mu posadę w Othionie. A Berzel... No właśnie — to pole do popisu dla niej, zawsze przecież uchodziła za pocieszycielkę potrzebujących. Znalazłszy właściwe rozwiązanie, Zorsch zgasił latarnię i ułożył się wygodnie do snu.

Kiedy się obudził, jasne światło sączyło się do środka przez szpary w zewnętrznej ścianie. A więc przespał świt i wczesny ranek! Poderwał się z posłania i zwinawszy koc, udał się do głównej izby.

Nad ogniem kołysał się wielki kocioł pełen parującej wody. Wokół niego krzątała się starucha, co chwila dokładając do ognia, kiwając głową i pomrukując po nosem:

— Milutki ogień. O tak, tak, milutki...

Do izby wszedł młynarz z wielkim naręczem świeżo narąbanych drewn, które z głośnym łoskotem rzucił na podłogę koło paleniska.

— Zaspąłem, muszę już jechać — oznajmił Zorsch.

— Zostajesz. Dzisiaj mięso — zagrzmiał gospodarz, a starucha, błyskając zębem w potwornym uśmiechu, dodała:

— I chlebek też. Pyszny chlebek. Tak, tak.

— Dziękuję, ale muszę pędzić, żeby odnaleźć mojego pana, a on z kolei odszuka moją panią.

— Zostajesz — powtórzył młynarz z mocą, jedną ręką znienacka chwyciwszy chłopca wpół, a drugą zręcznie oplątując mu grubym sznurem nogi w kostkach. Potem z całej siły zaciągnął linę.

— Ale ja muszę jechać! — wrzasnął Zorsch.

— Jeśli pojedziesz, nie będzie dziś mięsa — objaśnił go młynarz, szczerząc się przy tym przeraźliwie.

— Ani mąki na chlebek jutro — dodała starucha, trzęsąc głową.

Na nic się zdały żalosne protesty i błagania o litość. Gospodarz przerzucił sznur przez belkę u sufitu i podciągnął gościa do góry. Przywiązawszy koniec liny do kołka, przyciągnął wielką drewnianą balię i ustawił ją pod zwisającym głową w dół chłopcem.

— Nie wolno marnować krwi. Przyrządę z niej pyszną zupę. Tak, tak! — zaskrzeczała starucha.

Zorsch jęknął cicho i stracił przytomność. Kiedy się ocknął, usłyszał dobiegające z podwórza piskliwe zgrzytanie, od którego przeszły go ciarki. Rozpoznawszy dźwięk ostrzenia noża o kamień, krzyknął głośno i począł skamleć płaczliwie:

— Tylko nie ja! Jestem trujący! Rzepa jest zdrowa, ja nie!

— Rzepka pyszna, ale od czasu do czasu potrzebujemy urozmaicenia — odezwała się staruszka, spoglądając w górę na chłopca i przesyłając mu swój niepowtarzalny uśmiech.

— Znam tysiąc przepisów na wyśmienite potrawy z rzepy! Podani wam je wszystkie! — zapłakał Zorsch. W tym momencie do izby wszedł młynarz z długim nożem w ręce. Młodzieniec okręcił się, by zwrócić się wprost do niego. — Nie możecie mnie zjeść. Nie zdążyłem wam powiedzieć, że jestem wilkołakiem!

— Nie szkodzi. Lubimy ryzyko.

— Nie zrozumieliście! Nie jestem królikołakiem, tylko wilkołakiem! Przy pełni księżyca zamieniam się w wilka! Jestem niejadalny!

— Nie ma obaw, wędrowcze. Zdążymy cię strawić do cna na długo przed nadejściem pełni — odparł chłodno młynarz, przesuwając nogą balię nieco w lewo.

— Pogotujemy go trochę dłużej. Będzie pyszny i mięciutki — oblizywała się staru-

cha.

— No i już po kłopocie — stwierdził gospodarz, ponownie przesuając drewniany ceber dosłownie o włos. — Dziękuję za ostrzeżenie, wędrowcze, ale jako były czarno-księżnik, potrafię jeszcze dać sobie radę ze wszelkimi komplikacjami.

Zorsch, straciwszy wszelką nadzieję, począł żałośnie zawodzić. Młynarz cofnął się o dwa kroki, by ocenić, czy ceber jest dobrze ustawiony, po czym mocno złapał więźnia za włosy. Nóż błysnął mu w rękę. Zorsch niechybnie straciłby swe młode życie, gdyby raptem nie wydarzyło się coś całkiem nieoczekiwanego.

Na środku izby wyrosło jakby spod ziemi potworne lichy. W wieńcu potężnych kłów i szponiastych pazurów, z kłębiącymi się na całym tułowiu ślepyimi stworami o świecących szczypcach wyglądało zaiste przerażająco. Straszydło wbiło jeden pazur w stół i uniósłszy go bez najmniejszego wysiłku niby piórko, cisnęło nim o ścianę z taką siłą, że mebel przebiwszy ją na wylot, wylądował na dworze. Drugim pazurem rozcięło staruchę na kawałki, które upchnęło do przepastnej, zaplutej paszczy. W końcu, wlepiwszy pięcioro oczu w gospodarza, zamarło na moment. Przypominające szczury paskudztwa rojące się na nim warkotały i skrzeczały, kłapiąc przy tym szczękami i trzaskając szczypcami.

— Co ty tutaj robisz? Przecież wysłałem cię do lasu! Miałeś czatować na urojonym szlaku, a nie obijać się gdzie popadnie! — wrzasnął wściekle młynarz, wywijając nożem. Stwór zaryczał zgrzytliwie, wionąc cuchnącym oddechem. — Jako twój pan rozkazuje ci: natychmiast wracaj na swoje miejsce! — powtórzył młynarz z ledwo dostrzegalnym drżeniem w głosie.

Zorsch ze wszystkich sił pragnął zemdleć ponownie, by choć w ten sposób wyzwolić się od cierpień. Niestety, nie zaznał tej ulgi. Wisiał więc bezwładnie; w głowie mu hucało, a serce łomotało nieprzytomnie. Opanowała go taka słabość, że nie drgnął nawet, kiedy młynarz z lichem rzucili się na siebie i zwarli w straszliwej walce, tarzając się po klepisku, kopiąc i okładając zajadle. Młynarz złorzeczył okrutnie, pasożyty, trzaskając szczypcami, piszczały w panice, a lichy na zmianę to wyło, to warczało lub syczało gniewnie. W wirze zmagania mocujący się wpadli na rozbitą ścianę z taką siłą, aż pod naporem dwóch skłębionych ciał cały budynek jęknął i zatrzęsł się w posadach. Z powały posypał się pył, zatrzeszczały drewniane dźwigary. Walczący gruchnęli w przeciwną stronę. Belki spod sufitu posypały się w dół, uwalniając Zorscha, który runął na podłogę. Udało mu się przeciąć sznur na kostkach akurat w momencie, gdy lichy wrzucało młynarza do ognia. Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, Zorsch wyczołgał się z rumowiska. Tymczasem młynarz, na którym szaty zajęły się ogniem, miotając najgorsze przekleństwa, ruszył na lichy z płonąca głownią w rękę.

Przy kamieniu młyńskim młodzieniec znalazł swój zwinięty koc. Wepchnąwszy go pod pachę, usiłował wstać, lecz zawył z bólu. Nogi całkiem mu zdrętwiały, opadł więc

ponownie na kolana i popęzł do stajni.

Koń zniknął bez śladu — nie wiadomo, czy uciekł w popłochu, czy został zjedzony, czy też padł ofiarą czarów. Zorsch zatrzymał się niezdecydowany, gdy wtem od strony młyna dobiegł go straszliwy huk. Młodzieniec ujrzał walące się ściany budynku. Wśród obłoków kurzu pokazały się czerwone języki ognia, które, rozprzestrzeniając się szybko, zaczęły coraz śmielej trawić drewniane szczątki domu.

Zorsch miał dość mocnych wrażeń. Z wysiłkiem stanął na nogi i pomimo bólu pędził przed siebie na oślep, dopóki tchu mu starczyło. Wyczerpany padł na mech, a kiedy odzyskał dość sił, znowu pognął wprost przed siebie, byle dalej od straszego młyna.

Po południu niebo zaciągnęło się, a w nocy spadł deszcz, który siąpił przez cały następny dzień. Zorsch błąkał się w kółko, kompletnie zagubiony.

Deszcz utrzymywał się jeszcze przez kolejny dzień, uniemożliwiając chłopcu ustalenie, w którą stronę powinien wędrować. Kiedy wreszcie wyjrzało słońce, Zorsch wznowił swój marsz na zachód, chociaż nie był pewien, czy obiera właściwy kierunek. Nie wiedział też, jaka odległość dzieli go od szlaku. Co do paru innych spraw nie miał najmniejszych wątpliwości: że jest mokry od stóp do głów; że pozostały mu jedynie marne resztki pożywienia; że woli polegać wyłącznie na sobie i będzie sypiać tylko w lasach, trzymając się z daleka od osad, ludzi i wszelkiego innego towarzystwa oraz że powinien jak najspieszniej odnaleźć Kedrigerna.

Radził sobie, jak umiał: ubranie i buty dały się łatwo wysuszyć w słońcu, a zabawa w zastawianie sideł na drobną zwierzynę przynosiła rezultaty, co więcej, stała się dobrym pretekstem do wyszukiwania wieczorami godziwego miejsca na nocleg. Wszystko układałoby się więc dobrze, gdyby nie świadomość, że czas płynie nieubłaganie, przybliżając pełnię księżyca, a on tymczasem niezmiennie tkwi samotnie w lesie, zagubivszy drogę i powoli tracąc też nadzieję na ujrzanie opactwa, czy nawet gór, wśród których klasztor jest położony.

Toteż kiedy pewnego dnia niespodziewanie trafił na szlak wiodący zboczem niewielkiego wzgórza, poczuł niewysłowioną ulgę. Przypomniał sobie, że opactwo spoczywa na szczycie góry. W przyływie nadziei, że oto opatrność zsyła mu ostatnią deskę ratunku w postaci nie znanej drogi wiodącej do klasztoru, począł się wspinać.

13. W poszukiwaniu księgi

Biblioteka mieściła się na najwyżej położonym, południowym krańcu gruntów klasztornych. Potężny jak warownia budynek, zgrabnie wtopiony w mury obronne, strzegł opactwa z wysokiego wzniesienia, którego zbocza za murami klasztoru opadały stromo, łagodniejąc dopiero o sto metrów poniżej szczytu na tyle, by co odporniejsze drzewa lub krzaki mogły tam zapuścić korzenie.

Opat z czarnoksiężnikami zatrzymali się u stóp wielkiego gmachu, który zwieszał się nad nimi niczym olbrzymia szara skała. Kedrigern ocenił jego wysokość na mniej więcej piętnaście metrów, a szerokość — na trzy razy tyle. Czarnoksiężnik próbował obliczyć, ile egzemplarzy ksiąg może mieścić taka powierzchnia, lecz wytracony z równowagi przez śmierć Duodecima zaplątał się w rachunkach. Stwierdził więc tylko ogólnikowo, że liczba zgromadzonych tu woluminów jest zapewne imponująca; niechybnie biblioteka ta pod względem objętości zbiorów przewyższa nawet słynną bibliotekę aleksandryjską z czasów jej największej świetności za panowania Cezara. To odkrycie go zaskoczyło — skąd tyle ksiąg, skoro cała wiedza świata nie starczyłaby do ich zapełnienia?

— Idź sam, Sigerze. Ja pozostanę tutaj na straży — zaproponował Traffeo, zatrzymując się przed wejściem i machając dłonią na pożegnanie.

— Pójdź za mną! Prędziej! — poganiał czarnoksiężnika opat.

Kedrigern wszedł za nim do środka.

Po wkroczeniu z zalanego jasnym słońcem dziedzińca w mroczne czeluści biblioteki Kedrigern przez dłuższą chwilę niewiele widział. Starając się nadażyć za pędzącym Rectoversem, dla zachowania równowagi musiał podtrzymywać się półek z księgami, zastawiających niezliczone wąskie przejścia, przez które wiódł go opat. Dużo czasu upłynęło, zanim uzmysłowił sobie, że chyba większość półek jest pusta. Nie mógłby tego powiedzieć z absolutną pewnością, ponieważ całą uwagę poświęcał śledzeniu czarnej sylwetki przewodnika. Gdyby spuścił z niej wzrok bodaj na chwilę, niezawodnie natychmiast zagubiłby się w plątaninie półek i ciemnych korytarzy, w której już dawno przestał się orientować.

W końcu opat zatrzymał się u wejścia do korytarza. Odwróciwszy się, uroczystym gestem uniósł dłoń:

— Ten korytarz prowadzi do wewnętrznej biblioteki. Pamiętaj, abyś tam niczego nie dotykał. Nie zaglądał do ksiąg ani nie czytaj tytułów. Dla swojego własnego dobra nie patrz nawet na ich oprawy — ostrzegł Kedrigerna surowo. Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się ponownie i wszedł do korytarza.

Czarnoksiężnik podążył za nim. Nie miał zresztą wyboru — i tak o własnych siłach nie dotarłby na powrót do wejścia. Ale przede wszystkim pchała go naprzód rosnąca z każdą chwilą ciekawość. Tajemniczość biblioteki przerastała wszelkie jego wyobrażenia; bladły przy niej wszystkie zasłyszane dotąd najdziwniejsze bajki i zmyślane, szalone opowieści.

Weszli do wewnętrznej biblioteki. Pomimo przyćmionego światła Kedrigern widział tu dużo lepiej, gdyż zdążył się już oswoić z ciemnością. Ujrzał niezliczone półki tak zapchane księgami, że w każdej chwili groziły eksplozją i zasypaniem przypadkowych ofiar lawiną oswobodzonych słów. W bibliotece zewnętrznej pomieściłyby się jeszcze tysiące nowych ksiąg; tymczasem tutaj w długich, prostych rzędach półek nie znalazłbyś miejsca, by wcisnąć choćby jeden cienki skrawek pergaminu; aby cokolwiek wstawić na półkę, trzeba by było siłą upychać sąsiednie księgi. Wyglądało na to, że kopie wszystkich ksiąg świata rzeczywiście znajdują się w tym pomieszczeniu, a co więcej, że poddaje się je tu stałej presji, w nadziei że same uwolnią swe tajemnice.

Opat otworzył niewielkie drzwiczki. Przekroczywszy próg, Kedrigern zamarł z wrażenia. Znajdowali się na kwadratowym dziedzińcu zamkniętym ze wszystkich stron ślepyimi ścianami wysokości około piętnastu metrów. Gładki mur miejscami znaczyły szczeliny wentylacyjne, nie szersze niż dłoń, które wpuszczały odrobinę światła i powietrza do wnętrza budynku. Podwórze miało podobne wymiary jak ściany — około piętnastu metrów z każdej strony — a mimo to okalała je jedynie wąska ścieżka, środek dziedzińca bowiem zajmowała czarna otchłań. Na jej krawędzi leżało na wpeł przysypane ziemią ciało Duodecima z Arduy. Jedna ręka i noga nieboszczyka zwieszały się do wykopu. Obok stali dwaj nieznani Kedrigernowi zakonnicy. Ukłoniwszy się opatowi, zwrócili niechętnie, choć zaciekawione spojrzenia na przybysza.

— To Siger z Trondhjem. Pomoże nam w tej sprawie. Możecie szczerze odpowiadać na wszystkie jego pytania — przedstawił gościa Rectoverso.

Zakonnicy wymienili między sobą zakłopotane spojrzenia. Zwąchawszy niepowtarzalną okazję, czarnoksiężnik szybko przystąpił do ataku:

— Dlaczego półki w wewnętrznej bibliotece aż uginają się od nadmiaru ksiąg i z jakiego powodu zostałem pouczony, żeby niczego tu nie dotykać?

— Wyjaśnij mu, Johannesie — zachęcił opat jednego z mnichów.

— Oprócz dzieł pochodzących z różnych stron świata na półkach gromadzimy księ-

gi, które są owocem naszej pracy — odezwał się niski i wąły braciszek.

— A na czym ta praca polega?

— Nasza wielka misja polega na uprzedzaniu wydarzeń. Spisujemy dzisiaj wszystkie księgi, które kiedykolwiek w przyszłości mogą zostać stworzone.

Kedrigern aż zamrugał ze zdumienia.

— Po co? — zapytał cicho.

— Dla dobra ludzkości, a naszego zbawienia. — Zakonnik zwrócił się do opata:
— Czy powinienem dodać coś jeszcze?

— Wystarczy — uciął opat, sprytnie zamykając w ten sposób temat misji zakonu.

Kedrigernowi nie pozostało nic innego, jak zacząć z innej strony:

— Czemu służą te wykopy?

— Sam wspomniałeś, panie, o przepełnieniu półek. Kopiemy fundamenty pod nową wieżę, która pomieści wszystkie księgi z wewnętrznej biblioteki.

— Nie prościej byłoby je przenieść do biblioteki zewnętrznej? Tam jest przecież dość miejsca.

— To nie wchodzi w rachubę.

— Czy warto porywać się na tak niebezpieczne przedsięwzięcie, jeśli nie jest ono konieczne?

— Ależ właśnie jest konieczne — oburzył się Johannes.

— Skoro tak twierdzisz... Wyznaję jednak, że nie pojmuję. Obawiam się, czy nie naruszyście przy tym fundamentów stojących już ścian... — Kedrigern powiódł niespokojnym okiem wzdłuż pnących się wysoko ciemnych murów.

— Nigdy bym do tego nie dopuścił. Jako główny bibliotekarz odpowiadam za bezpieczeństwo w tym budynku — odparł mnich, z trudem tłumiąc gniew.

— Świadomie z pewnością nie, lecz wybierając ziemię tutaj, gdzie grunt jest wyjątkowo miękki, możecie przy okazji niechcący podkopać bibliotekę wewnętrzną — ciągnął Kedrigern niezrażony.

Tym razem wtrącił się drugi mnich.

— Zapewniam, że dogłębnie przemyśleliśmy tę sprawę. Będziemy wybierać błoto, dopóki nie dotrzemy do skalnego podłoża. Wówczas zasypimy dół kamieniami, żeby dodatkowo wzmocnić przyszłe fundamenty nowej budowli. Na tak przygotowanej podstawie wzniesiemy wieżę z kamieni pochodzących z rozbiórki obecnej biblioteki zewnętrznej.

— A gdzie podzieją się w tym czasie księgi?

Opat nie wytrzymał, replikując ostro:

— Będą bezpieczne. Budowa w żaden sposób im nie zaszkodzi.

— Budowa? — Kedrigern z uśmiechem pokręcił głową. — Raczej rozbiórka!

Drugi z zakonników odplącił mu chłodnym uśmiechem.

— My nazywamy to budową.

— Może więc przebudowa?

Mnich skinął głową uprzejmie.

— Można to i tak określić.

— Ta słowna potyczka nie zawiedzie nas daleko. Wróćmy raczej do istoty sprawy. Co Duodecima łączyło z budową wieży? — czarnoksiężnik ponownie podjął główny wątek rozmowy.

— Z samymi pracami budowlanymi nic, ale jako piwniczny odpowiadał za przygotowywanie posiłków dla budowniczych.

— Zapewne nie przynosił ich tu osobiście — zauważył Kedrigern.

— Jako człowiek skrupulatny, sam nadzorował, czy służba wykonuje sprawnie jego polecenia — odparł opat.

Kedrigern z namysłem potarł podbródek. Rozejrzał się uważnie wokół i po dłuższej chwili rzekł:

— Skoro jadła nie przenoszono przez bibliotekę, musi istnieć przejście łączące budowę bezpośrednio z kuchnią. Chciałbym je zobaczyć.

— Zobaczysz je w drodze powrotnej. Masz jeszcze jakieś pytania? — niecierpliwił się Rectovero.

Czarnoksiężnik z trudem odwrócił zwłoki na wznak i przyklęknął, by przyjrzeć im się z bliska. Umazana błotem i ziemią twarz Duodecima tchnęła spokojem, jak gdyby na spotkanie ze śmiercią piwniczny wybrał się bez wielkiego zdziwienia. Podnosząc wzrok na zakonników, Kedrigern zapytał:

— Kto go znalazł?

— Pracujący w wykopie zobaczyli, jak spada — odpowiedział Johannes. — Kiedy dobiegły mnie ich krzyki, zawiadomiłem zwierzchnika biblioteki zewnętrznej, a on z kolei pchnął posłańców do opata.

— Czy ktoś towarzyszył Duodecimowi?

— Nie było z nim nikogo — odparł zakonnik.

— Skąd ta pewność?

— Ponieważ wolno mu było przychodzić tutaj tylko samemu, a on zawsze stosował się do nakazów.

Kedrigern podziękował mnichom i wyraził życzenie powrotu.

Opat z latarnią w dłoni powiodł go ku obszernemu tunelowi, w którym dwóch mężczyzn mogło śmiało kroczyć ramię w ramię. Wysokość tunelu nie dochodziła dwóch metrów, zmuszając opata do pochylania głowy. Kedrigern zatrzymywał się kilkanaście razy po drodze, z uwagą przyglądając się strzępom pajęczyn gęsto zdobiących strop, lecz zachowywał milczenie. Kiedy w końcu dotarli do kuchni, opat przemówił zaskakująco łagodnym tonem:

— Biedny Duodecimo. Poniósł straszną śmierć.

Upewniwszy się, że są całkiem sami, czarnoksiężnik odparł cicho:

— To prawda, tylko że on wcale nie zginął uduszony pod zwałami ziemi. — Widząc poruszenie opata, ciągnął dalej: — Zamordowano go tutaj, a następnie przeniesiono na teren budowy sekretnym przejściem.

— Co takiego? Kolejne morderstwo? Czy wiesz, co mówisz, Sigerze? Dlaczego uważasz, że tym razem nie mamy do czynienia z prawdziwym wypadkiem?

— Ponieważ na jego habicie odnalazłem szczątki pajęczyn, a sklepienie w tunelu nosi ślady otarć, które powstały przy przenoszeniu ciała.

— Ale kto chciałby zgładzić Duodecimo? I dlaczego?

— Z pewnością uczyniła to ta sama ręka co w poprzednich przypadkach. Wszystkie te zgony są powiązane ze sobą i, moim zdaniem, prowadzą nas wprost do biblioteki wewnętrznej.

— Niemożliwe! Żadna z ofiar nie miała nic z nią wspólnego!

— Duodecimo dostarczał jadło budowniczym — przypomniał opatowi czarnoksiężnik.

— Duodecimo, służąc nam jako piwniczny, odgrywał ważną rolę w życiu klasztoru, ale w wewnętrznej bibliotece nie znaczył nic.

— A Colophon? Zginął, zaciskając w dłoniach księgę, choć jej nie czytał. Co to za księga?

Rectoverso lekceważąco machnął kościstą dłonią.

— Nie udało nam się ustalić. Zbyt długo leżała w wodzie.

— Mogła więc pochodzić z wewnętrznej biblioteki, tego przynajmniej nie możemy wykluczyć, prawda? — Rectoverso zgodził się niechętnie, kiwając głową i chrząkając. Kedrigern drażył dalej: — Być może, pozostali zakonnicy musieli zginąć, ponieważ coś przez przypadek odkryli. Czyż nie mogło tak się zdarzyć?

Opat zmienił się na twarzy; w jego oczach pojawiło się przerażenie. Podeszedłszy chwiejnie do ławy, usiadł zgarbiony.

— Nadszedł czas, ojcie, abyś zdradził mi wreszcie sekret misji zakonu — zwrócił się do niego Kedrigern, zajmując miejsce obok na ławie.

— Zrobił to już Johannes z Octavo — odparł opat z nieruchomą twarzą.

— Za twoją aprobatą uchylił się od odpowiedzi na to pytanie. Jeśli naprawdę chcesz mojej pomocy, musisz opowiedzieć mi wszystko.

Przez dłuższą chwilę Rectoverso siedział bez ruchu, z twarzą ukrytą w dłoniach. W końcu podniósł głowę i, kiwnąwszy nią dostojnie na znak zgody, podniósł się z ławy, gestem zapraszając gościa, by podążył za nim. Udali się do ogrodu pełnego pachnących ziół, gdzie nikt nie zauważony nie mógł podsłuchać ich rozmowy. Tam opat odezwał się w te słowa:

— Johannes z Octavo powiedział prawdę. Zakonnicy z wewnętrznej biblioteki oddają się spisywaniu wszelkich ksiąg, które kiedykolwiek mogą powstać w dowolnym języku i na dowolny temat; poczynawszy od dzisiaj aż po kres dziejów.

Kedrigern potrząsnął głową, nie kryjąc konsternacji.

— Ale po co? W jakim celu? Jeśli dzisiaj tworzycie coś, co najprawdopodobniej jutro ponownie zostanie napisane, to — wybacz, ojcze, ale muszę nazwać rzecz po imieniu — tracicie tylko wasz cenny czas.

Rectoverso skwitował to stwierdzenie gorzkim, szyderym śmiechem.

— Nic nie rozumiesz. Nikt nie jest w stanie tego pojąć.

— A co tu jest do rozumienia? Wszyscy mnisi wyrzekają się świeckiego życia po to, aby czynić dobro: karmić głodnych, pocieszać strapionych, pomagać ubogim i bezdomnym. Tymczasem w tym klasztorze... — Kedrigern skrzywił się, potrząsając głową.

— Nie potępiaj nas pochopnie. Pomyśl raczej, jaki tytaniczny wysiłek nas czeka. Musimy rozgryźć zagadkę najdzikszych przyszłych pomysłów, odkryć i wynalazków, przewidzieć osiągnięcia naukowe i artystyczne nie znane naszym czasom. Nie wolno nam pominąć żadnych najbardziej ekstrawaganckich wizji czy nieprawdopodobnych zdarzeń. Musimy więc wywołać z przyszłości zdobywców przestworzy, bywalców innych światów, badaczy morskich głębin, istoty o rozmiarach olbrzymów i tak maleńkie, że kropla rosy mogłaby stanowić dla nich wszechświat; wysłuchać głosy wołające przez łądy i oceany, oczy widzące dalej niż wzrok, uszy słyszające rozmowy umarłych. Musimy odtworzyć brzmienie, pisownię i ducha wszystkich języków tego świata i nauczyć się formułować myśli w sposób charakterystyczny dla przyszłych pokoleń, aby spisać ich śmiałe idee, tak jak oni sami by to zrobili. Musimy wyobrazić sobie wszelkie symbole, znaki i formuły, które kiedykolwiek zostaną zastosowane we wzajemnym komunikowaniu się ludzi. Mówiąc krótko, musimy przewidzieć dosłownie wszystko i zapisać to bez wyjątków w księgach. Powtarzam — bez wyjątków, co oznacza, że rzecz dotyczy nie tylko szacownych i godnych dzieł z zakresu prawa czy teologii, historii, matematyki, filozofii, retoryki lub nauk medycznych. Gdybyśmy mogli ograniczyć się tylko do nich czy dzieł nabożnych, jak zbiory kazań i żywoty świętych, byłibyśmy najszcześniejszymi z ludzi. Niestety, sięgamy również do wstrętnych wytworów umysłów zatrutych wszelkim możliwym zepsuciem. Musimy stawić czoło każdej heretyckiej myśli, każdemu słowu bluźnierstwa, podłej chciwości, nieposkromionej żądzy, zawiści, grzesznemu pragnieniu krwi i odwetu... krótko mówiąc, całemu złu, które zrodzić może chora wyobraźnia rodzaju ludzkiego.

Kedrigern przez dłuższą chwilę trawił słowa opata, po czym bezradnie rozłożył ręce.

— Jak Johannes z Octavo może twierdzić, że zamysł wasz jest święty i szlachetny, skoro zło, deprawacja i szaleństwo goszczą na stronach waszych ksiąg? Co to ma wspól-

nego ze zbawieniem świata?

— Dobro i zło tworzą świat. Pisząc o całokształcie, nie możemy nie dostrzegać czarnej strony rzeczy, to chyba oczywiste.

— Dlaczego zadajecie sobie tyle trudu, skoro te księgi i tak pewnego dnia zostaną napisane przez innych ludzi?

— Niektóre na pewno zostaną napisane; napisaniu innych chcemy właśnie zapobiec. Żywimy bowiem nadzieję, że tworząc nasze księgi, odwiedziemy przyszłe generacje od podjęcia tej pracy, jak również od czytania naszych ksiąg, a nawet od myślenia na opisane w nich tematy — zakończył opat z triumfalnym uśmiechem, w swoim mniemaniu dogłębnie wyjaśniwszy tajemnicę misji zakonu.

Niestety, ciągle nie usatysfakcjonowany czarnoksiężnik nie poprzestał na tym.

— Nadal nie rozumiem, po co to wszystko. Przecież nie ma żadnej pewności, że osiągniecie swój cel.

— Oczywiście, że jest.

— Jak to?

— Zapamiętaj moje słowa, Sigerze z Trondhjem: ludzie nie spoczną, dopóki nie spróbują wszystkiego. Ich szaleństwa uśmierzyć może jedynie wyczerpanie twórczych zasobów myśli i spełnienie wszelkich zachcianek; tylko brak nowych możliwości położy kres ich niepokojom. Wierzmy, że jeśli w naszych księgach opiszemy każdą możliwą podłość, ludzie zaniechają złych uczynków, bo przestaną się nimi interesować. Tak oto uczynimy świat dobrym.

— A co się stanie, kiedy opiszecie także wszystkie dobre uczynki tego świata?... — zaniepokoił się Kedrigern.

— Bez obaw. Zaczęliśmy od niegodziwości i chorych fantazji, które zajmą nam trochę czasu. Dopiero po wyrwaniu świata ze szponów szatana przejdziemy do świętych wątków. — Rectoverso szeroko rozłożył ramiona, hucząc w transie: — Kiedy zbliżymy się do końca naszej pracy, na świecie zapanuje wielki spokój, ponieważ ludzie z konieczności porzucą wszelką aktywność i wszelkie zamysły, i te dobre, i te złe. Dysponując bowiem naszymi księgami tu zebranymi, nie będą się musieli już wysilać. I tak nic nowego nie wymyślą. Jako wspomnienie dawnych szaleństw pozostanie im tylko ta biblioteka pełna ksiąg pokrytych kurzem. Nikomu już nie będą potrzebne. Wyzwoleni ze swych niepokoi ludzie pogrążą się w błogim oczekiwaniu na koniec — uśmiechając się dobrotliwie, opat wznosił oczy do nieba.

W pewnym sensie idea ta wydała się Kedrigernowi krzepiąca, niemniej jej wyznawców uznał za nawiedzonych. Intuicja go nie zwiodła — od dawna przeczuwał, że w opactwie nie brakuje szaleńców; teraz miał na to dowody. Nie musiał być teologiem ani duchownym, by odgadnąć, że misja klasztoru niewiele ma wspólnego z nauką Kościoła. Każdy inkwizytor bez wahania podpaliłby stos pod jej głosicielami. A jeszcze

to całkowite zapamiętanie się, ta żarliwość!

— Wyznaję, ojczy opacie, że idea ta nie jest mi znana. Czy wynika ona z reguły waszego zakonu? — zapytał, wiedząc doskonale, że żadne ze znanych zakonnych zgromadzeń nie głosi podobnych poglądów. Pragnął jednak dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczych mnichach z opactwa.

— Nie należymy do żadnej porządku zakonnego, a w każdym razie nie należą doń bracia, którzy poświęcają się wielkiej misji. Pozostali przyjęli reguły zakonne i podobnie jak reszta zwykłych zjadaczy chleba żyją tylko pracą i modlitwą. To my z wewnętrznej biblioteki jesteście jak wygnańcy.

— Dlaczego zaraz wygnańcy? Przecież dobrowolnie odseparowaliście się od świata?

Rectoverso, odrzuciwszy głowę do tyłu, zawył przeciągle, nie wiadomo — z radości czy rozpacz. Potem patrząc z powagą na czarnoksiężnika, oświadczył:

— Nazywamy siebie wyrzutkami, ponieważ wyklęci z nas grzesznicy; upadli i zgubieni nędznicy wyzuci ze wszystkiego oprócz tej ostatniej, wielkiej nadziei. Znajdziesz wśród nas heretyków, morderców, rozpustników, złodziei, krzywoprzysięzców, bałwochwalców. Zebraliśmy się tu, by ciężką pracą odpokutować za grzechy przeszłości. Pragnąc zbawić ten plugawy świat, sami nurzamy się w brudach.

Kedrigerna nie zdziwiły słowa opata, ponieważ wiedział, że święci mężowie zazwyczaj opisują swoje życie w podobny sposób — im bardziej są nabożni, tym cięższe oskarżenia rzucają pod własnym adresem.

Opat zdawał się wyczuwać nastawienie czarnoksiężnika. Ścisnąwszy go za ramię, dodał z przejęciem:

— Tylko przekłete dusze mają dość siły, by obcować ze sprawami, które zwykłego śmiertelnika zatrąłyby do cna. Wziąwszy na siebie to straszliwe brzemie, wyszukaliśmy i zgromadziliśmy w tych murach całe zło tego świata, nie pomijając ani jednej podłości, obrzydlistwa, klątwy, zaklęcia lub czaru. Cokolwiek jeszcze nie dotarło, znajdzie się tutaj bez wątpienia pewnego dnia, na zawsze uwalniając ludzkość od niegodziwości. Wiara w to dodaje nam siły.

Nie znajdując słów odpowiedzi na te wyznania, Kedrigern zapytał z niepokojem:

— Czy tylko mnisi z wewnętrznej biblioteki dzielają tę wiarę?

— Tak. Stanowimy klasztor w klasztorze, zgromadzenie wewnątrz zgromadzenia. Jest nas wielu, większość nie opuszcza wewnętrznej biblioteki. — Rectoverso wymierzył bladą dłoń w wielki, szary budynek. — Tam jedzą, śpią i pracują, nie kontaktując się ze światem zewnętrznym, niewolnicy swojej budzącej grozę misji. Czy to omdlewając z gorąca latem, czy szcękając zębami zimą, nie poddają się i pracują bez ustanku: piszą, katalogują, kopią fundamenty, noszą kamienie i oprawiają księgi; jak jeden mąż służą naszej wspólnej idei bez wytchnienia. Tracą wzrok, cierpią bóle odrętwiałych palców i ciągle pochylonych pleców, marne pożywienie nadwątla ich ciała, trud wysysa

z nich ostatek sił. Cierpią męki, których innym udało się uniknąć w tym życiu. A mimo to są zgubieni, potępieni i przeklęci! — Opat przerwał na chwilę, po czym łagodniejąc, zakończył cicho: — Ale Duodecimo nie należał do nich. Był dobrym człowiekiem. Tacy ludzie nie powinni ginąć.

* * *

Przez parę następnych dni Kedrigern i Traffeo węszyli, indagowali, badali, łamali sobie głowy, sprawdzali każdy trop po tysiąc razy i konferowali zawzięcie. Na próżno. Wszystkie poszlaki wiodły donikąd. W trakcie poszukiwań wolno im było swobodnie poruszać się po całym opactwie z wyjątkiem upragnionej biblioteki. Tam mogli wchodzić jedynie w towarzystwie opata, który zwykle pędził przez mroczne labirynty jak strzała, nie zostawiając im ani chwili na rzucenie wokół okiem. Kilka wypraw z nim uznali więc za czas stracony. Lecz nawet gdyby za sprawą czarów mogli bez przeszkód przemieszczać się we wnętrzach potężnego gmachu, odnalezienie „Księgi pięciu błękitnych ślimaków” wśród ogromu chaotycznie poukładanych ksiąg przy całkowitej nieznamomości systemu gromadzenia — o ile system taki w ogóle istniał — graniczyłoby z cudem. A czas uciekał...

W końcu na dzień przed planowanym wyjazdem, kiedy obydwaj czarnoksiężnicy siedzieli cisi i zniechęceni w cieniu wielkiego drzewa, w ich stronę przydreptał brat Filigrane. Usadowiwszy się na ławie naprzeciwko, przyglądał się im pilnie przez chwilę, po czym przywitał się życzliwie:

— Witam odkrywców tajemnicy!

— Chyba nas z kimś mylisz — smętnie zaprzeczył Traffeo. — Nie odkryliśmy niczego, a jutro o świcie musimy wyjechać.

— Nie wypadliśmy najlepiej — dodał Kedrigern. — Trzeba umieć przyznać się do porażki.

Stary mnich nie przestawał się uśmiechać.

— Pełno tu zagadek, same łamigłówki. Wiem, czego szukacie; a wy szukacie tego, co ja znalazłem. Znajdźcie rozwiązanie łamigłówki, a sprawy ułożą się po waszej myśli.

— Ostatnio nie wiedzie nam się ze zgadywankami — pożalił się Traffeo.

— Spróbujcie rozwikłać tę: „Biegnij, biegnij, biegnij. Lewituj o ósmej. I potem leż spokojnie. Przemyśl dwa razy. W końcu leniuchuj w samotności. Wzleć ponad wierzchołki drzew, zajrzyj pod muchomory, a znajdziesz niewidzialne”.

Filigrane, wciąż życzliwie uśmiechnięty, podniósł się z trudem. Niepewnym krokiem oddalił się powoli, wspierając się ciężko na kiju i zatrzymując co chwila, by złapać oddech. Czarnoksiężnicy bez słowa spoglądali za nim, dopóki nie zniknął z oczu.

— Dziwny starzec — wymamrotał Traffeo, kręcąc głową.

— Raczej ciekawa łamigłówka — z namysłem zauważył Kedrigern.

— Szkoda naszego czasu na bezsensowne zmaganie się z głupimi łamigłówkami.
— Traffeo skrzywił się pogardliwie.

— Wręcz przeciwnie. Zgadywanki wyostrzają umysł i czynią życie ciekawszym. W drodze powrotnej do Othionu opowiem ci o niezwyklej przygodzie Zielonego Zagadkowicza... — Kedrigern ucichł, zamyśliwszy się głęboko ze zmarszczonym z wysiłku czołem. Zapatrzonej w dal, w rozterce skrobał się w podbródek.

Traffeo próbował jeszcze coś mamrotać, lecz w końcu zamilkł całkiem, przyglądając się koledze. Kedrigern odchylił głowę do tyłu i założywszy pod nią rękę, zamknął oczy. W myślach po wielokroć powtarzał słowa zagadki Filigrano. „Lewituj o ósmej. I potem leż spokojnie”. Cóż za bzdury! „Przemyśl dwa razy”. Dwa? Dwa! Poderwał się, krzycząc w podnieceniu:

— To mapa!

— Co? Kto? — zdumiał się Traffeo, nic nie rozumiejąc.

— Łamigłówka Filigrane to plan! Staruszek zawarł w niej wskazówki dla nas!

— Jakie wskazówki? O czym ty mówisz?

— Pomyśl przez chwilę — nawet nie spróbowaliśmy wejść do biblioteki, wiedząc, że i tak zagubimy drogę w jej wnętrzu. Tymczasem Filigrane właśnie podsunął nam łamigłówkę, której rozwiązanie zaprowadzi nas do celu! Pamiętasz wszystkie występujące w zagadce litery „l” i „p” oraz ukryte między wierszami cyfry? Można odczytać je tak: musimy pójść prosto aż do trzeciego korytarza, skręciwszy weń w lewo przejść aż do ósmego, ponownie w lewo do pierwszego, w prawo do drugiego i w końcu w lewo do pierwszego.

— A potem już tylko wskakujemy na środku biblioteki na wierzchołki drzew i na koniec spleżamy pod muchomory. Jesteś równie stuknięty jak dziadzio Filigrane.

— Przyznaję, ostatnich słów zagadki jak dotąd nie rozumiem, niemniej jestem przekonany, że całość stanowi zbiór wskazówek i, co więcej, dzisiejszej nocy zamierzam to sprawdzić. To nasza ostatnia szansa. Pójdiesz ze mną?

Traffeo po krótkim namyśle zgodził się bez entuzjazmu:

— No dobrze. I tak nie mamy nic do stracenia.

* * *

Dla czarnoksiężników zamki w drzwiach nie stanowią najmniejszej przeszkody. Późną nocą obydwaj wdarli się do biblioteki, na wszelki wypadek ponownie zamykając za sobą drzwi na cztery spusty. W środku panowały nieprzeniknione ciemności.

— Mógłbyś trochę przyświecić? — zapytał Kedrigern.

— Oczywiście. — Traffeo strzelił palcami i tuż przed nimi rozbłysła jasna poświata. Początkowo rozedrgana i falująca, powoli uformowała się w świetlistą kulę, która stale płynęła ponad ich głowami, oblewając czarne czeluści ciepłym, jasnym światłem.

— Dziękuję. Sam nie opanowałem dotąd tej sztuki — przyznał się Kedrigern.

— To nic trudnego. Chętnie cię nauczę w wolnej chwili.

Skręcili w trzeci korytarz w lewo. Na wpół puste półki sięgały sufitu, lecz miały różne szerokości. Stojąc w nierównych odstępach, tworzyły prawdziwą płataninę ścieżek. Mimo to Kedrigern kroczył pewnie tym labiryntem, posiłkując się wskazówkami Filigrana. Po ostatnim skręcie w lewo nieomal wpadł na masywny kamienny filar. Zdobiąca jego fronton płaskorzeźba przedstawiała porośniętą lasem arkadyjską dolinę, którą otaczały wysokie skały.

— Ponad wierzchołki drzew... — wyszeptał podekscytowany Kedrigern.

— I pod muchomorowi! — dodał Traffeo, sięgając ręką ku wyrytemu w kamieniu muchomorowi. Tak długo przesuwiał palcem po płaskorzeźbie, aż pod kapeluszem grzyba natrafił na niewielki przycisk.

Nie namyślając się, nacisnął go. Sielankowa scena bezszelestnie usunęła się sprzed ich oczu, odsłaniając rząd schodów prowadzących w dół.

— Moje gratulacje — ucieszył się Traffeo.

— Nigdy nie lekceważ łamigłówek. Ani wiekowych mnichów.

— Obiecuję przemyśleć swoją postawę w tym względzie. Schodzimy?

Podparłszy drzwi kilkoma ciężkimi tomiskami, by się same nie zamknęły, zeszli długimi, krętymi schodami do podziemi biblioteki. Na samym dole otworzyła się przed nimi kwadratowa komnata, z której łukowate przejścia wiodły do mniejszych komnat, łączących się z następnymi pomieszczeniami. Wszystkie komnaty wieńczyły niskie sklepienia podtrzymywane przez narożne kolumny. Wzdłuż ścian piętrzyły się półki z księgami.

— Komnata wewnątrz komnaty wewnątrz komnaty! — Kedrigern z drżeniem przywołał słowa Zorscha. — Jestem pewny, że któreś z tych pomieszczeń kryje w sobie „Księgę pięciu błękitnych ślimaków”!

— Powinniśmy oznakować drogę powrotną. — Traffeo zachował zimną krew. Wypowiedział krótkie zaklęcie, pod wpływem którego towarzyszące im światło rozdzieliło się, nie zmniejszając jednak swoich rozmiarów. Jedna kula zatrzymała się w miejscu ich postoju, a druga popłynęła w górze, oświetlając im jak dotychczas drogę.

Przez godzinę to razem, to osobno kręcili się, myszkując we wszystkich komnatach po kolei. Wierne światło rozdawało się ponownie lub zlewało na powrót zależnie od okoliczności. W końcu znaleźli się pod biblioteką wewnętrzną, całkiem blisko wykopu — tak przynajmniej wynikało z obliczeń Kedrigerna. Podzielili się, by przeszukać ślepe piwnice znajdujące się w tej części podziemi. W pewnej chwili Kedrigern, schyliwszy głowę, by przejść pod jednym z łuków, poczuł zimny powiew. Światło zaczęło migotać i przygasło tak, że w końcu ledwo się tliło słabym niebieskim płomieniem. Nieznośny odór rozszedł się w powietrzu, przyprawiając o mdłości i zawroty

głowy. Czarnoksiężnik czuł, że coś czepia się jego szat i szarpie za nogi; czyjeś lepkie palce prześlizgnęły się po jego twarzy, na oślep szukając oczu. Próbując uciec, odwrócił się, lecz przeciwnik z całej siły ciągnął go z powrotem. W końcu udało mu się wyrwać i umknął do przejścia.

Oparty o zimny mur, dyszał ciężko, próbując zebrać myśli. Nigdy wcześniej nie spotkał się z tak zajadłą nienawiścią. Doszedłszy do siebie, wyciągnął z kieszeni medalion i przez Szczelinę Prawdziwej Wizji zaczął uważnie przyglądać miejscu niedoszłej zbrodni. Tymczasem w przejściu pojawił się Traffeo, zmierzając wprost do strasznej komnaty. Kedrigern poderwał się, by go powstrzymać:

— Nie wchodź tam!

— Dlaczego? Co tam jest? Wyglądasz okropnie, czy coś się stało? — dopytywał się Traffeo, nie na żarty zaniepokojony wyglądem kolegi.

— W tej izbie zebrane są wszystkie najpotworniejsze księgi, jakie znam. I jeszcze wiele, wiele innych, równie okropnych. Ich obecność sprawia, że całe powietrze przesiąknięte jest złem; złe duchy wyzierają z każdego kąta. Nic dziwnego, że zamknięto te tomy tutaj, gdzie nikt nie ma do nich dostępu.

Traffeo kurczowo ścisnął jego ramię i obniżając błękitne światełko, wskazał świeże ślady błota na posadzce wiodące w kierunku jednej z półek.

— Zdaje się, że ktoś tu jednak zagląda.

— Ale nikt nie wytrzymałby ani chwili w tej komnacie! W tym ciężkim od zła powietrzu można się przecież udusić! Chyba że... No tak!... Dobry Boże! — Kedrigern wzdrygnął się porażony nagłym odkryciem. Zbolałym głosem dokończył: — Chyba że ta osoba jest gorsza od tych wszystkich ksiąg razem wziętych.

Przyświecając sobie niebieskim ognikiem, Traffeo śledził bieg śladów. Prowadziły w kąt izby, gdzie ponad stosem wydłubanych ze ściany kamieni kryła się czarna czełuś.

— Tunel! — wykrzyknął.

Kedrigern przytaknął niemrawo.

— Łączy komnatę z wykopem. To tędy wynoszono z podziemi księgi. Zamordowani mnisi wiedzieli o tym. Musimy natychmiast powiadomić Rectoversa.

* * *

Opat spoglądał na nich oczami pełnymi bólu.

— Nie wierzę! To nie może być prawda! Cała nasza praca... A nasza wielka misja? Jak ktoś oddany sprawie ocalenia przyszłych pokoleń od zła mógłby uczynić taką niegodziwość? — Choć słowa brzmiały rozsądnie, Rectoverso wymawiał je tonem generała obserwującego rozsypkę i ucieczkę swej armii w obliczu wroga.

— Sam, ojciec, określiłeś pracowników wewnętrznej biblioteki mianem straceńców

prześlągniętych złem. Możliwe, że któryś z nich jest bardziej zepsuty, niż sądzisz, i działa z premedytacją.

— Po stokroć nie! Pragniemy poświęcić nasze potępione dusze dla dobra przyszłych generacji. Chcemy szerzyć dobro, a nie rozsiewać zło!

Kedrigern spróbował z innej flanki.

— A może znalazł się wśród nich ktoś przeświadczony, że przez przypadek posiadał tajemnicę kamienia filozoficznego, eliksiru życia lub czegoś równie nieprawdopodobnego? Ta myśl zmąciła mu umysł i zatruwa spokój.

— Opętany?! — wykrzyknął z przerażeniem opat. — Tak, powinienem był to przewidzieć. Zagraliśmy o zbyt wysoką stawkę i przegrywamy, przekłęci na wieki, utraciliśmy ostatni skrawek nadziei na zbawienie naszych dusz...

— Jako opat musisz coś przedsięwziąć. To twój obowiązek — zawyrokował Kedrigern, energicznie stawiając bezwolnego Rectoversa na nogi i wypychając go z celi.

— Cóż ja mogę uczynić? — drżącym głosem odparł opat, wlokąc się jak skazaniec na szafot. — Ciężar moich win jest największy. Słusznie nazwałeś mój plan szalonym. Zgubiła mnie pycha, pograżyłem się w herezji, a owoce mego występku straszą wokół. Sprowadziłem zło i śmierć tam, gdzie zbożne zajęcia powinny nieść pocieszenie ludzkim sercom.

— W każdym razie możesz żałować za grzechy — warknął czarnoksiężnik, niecierpliwie popychając opata do przodu.

Rectoverso zatrzymał się jak wryty. Obrzucił nieprzytomnym spojrzeniem gości, po czym objąwszy ich czule ramionami, ze łzami w oczach wykrzyknął:

— Oczywiście, że mogę! I uczynię to! Wyrzeknę się swojego dumnego szaleństwa, odrzucę heretyckie myśli! Wyrządziłem wiele zła, lecz mogę jeszcze to naprawić! — otarł łzy i, śmiejąc się radośnie jak dziecko, popędził przed siebie.

— Dokąd to?

— Do kościoła! Właśnie trwa jutrznia. Wraz z braćmi pomodlę się o wskazówki i siły na dalszą drogę.

— Ale już prawie dnieje! — zawołał z rozpaczą Kedrigern, którym miały sprzeczne uczucia: z jednej strony radował się nawróceniem opata, z drugiej pragnął jak najszybciej odsłonić tajemnicę biblioteki. Potrzebował odpoczynku: nocne wypadki i brak snu nadwątlily jego siły. Lecz opat nie zwracał uwagi na jego protesty. Biegł prosto do kościoła, wyciągając ramiona ku niebiosom i wołając głośno:

— Świt! O tak, świt! Przebudzenie! Nowe życie!

Machając dłonią z rezygnacją i ziewając szeroko, Kedrigern ruszył za nim. Traffeo nie pozostał w tyle. Kompletnie wycieńczeni rozlokowali się na schodach wiodących do kościoła, by tam poczekać na opata. Kedrigern wrócił myślami do wydarzeń ostatniej nocy. Choć dokonał paru ważnych odkryć, wciąż kilka zagadek pozostało nie rozwiązane.

nych. Wiedział już, dlaczego pięciu mnichów postradało życie, ale nadal nie znał imienia mordercy. Mrok tajemnicy spowijał także zasadniczy powód zbrodni. Czy rzeczywiście tak dalece omamiły mnichów ich rzekome odkrycia dokonane przy okazji spisywania ksiąg, czy też zainspirowani pracami przy wykopie zawiązali spisek, którego celem stało się wykradanie diabolicznych dzieł? Może kilku robotników, poszerzając wykop, przez przypadek dotarło aż do ukrytej komnaty i poddało się czyhającemu tam złu? A może to wcale nie mnisi dopuścili się tych czynów, tylko obcy, którzy wdarli się na teren klasztoru w przebraniu robotników lub podstępnie wtopili w szeregi samych mnichów? A jeśli tak, to... jeśli nawet... Czarnoksiężnik zaplątał się w spekulacjach. A jeśli skradziono też „Księgę pięciu błękitnych ślimaków”, co wtedy? Z opowieści Zorscha wynikało, że sama jej oprawa przyciągała wzrok. Możliwe, że teraz, kiedy tajemnica śmierci mnichów bliska jest rozwiązania, otrzyma wreszcie upragnioną zgodę na spenetrowanie najgłębszych piwnic biblioteki. Wejdzie tam triumfalnie za Rectoversem, sięgnie na właściwą półkę i znajdzie puste... Nie, nie. Nie wolno nawet myśleć w ten sposób. To prawda, jest już bardzo zmęczony, a czas ucieka, ale dopóki istnieje szansa do utrzymania obietnicy danej Ithianowi, nie wolno się poddawać.

Z rozmyślań wyrwał go nieśmiały dotyk czyjejś dłoni. Podniósłszy oczy, czarnoksiężnik na tle rozwidniającego się powoli szarego nieba ujrzał ciemną sylwetkę opata.

— Chodźmy. Jestem gotów — oznajmił Rectoverso.

Kedrigern, dźwigając się, jęknął z cicha, a Traffeo zawtórował mu nieco głośniejsze. Zesztywniałe karki, plecy i pozostałe członki bolały ich przy każdym ruchu. Odpoczynek na kamiennych stopniach w chłodny poranek dał się obu mężom we znaki.

Opat położył kościstą dłoń na ramieniu Kedrigerna. Życzliwy uśmiech odmienił jego szczupłą twarz.

— To ty nakłoniłeś mnie do okazania skruchy. Dziękuję ci za to, Sigerze — rzekł.

— Cieszę się, że mogłem pomóc. Teraz jednak nie możemy dłużej zwlekać... tunel...

Rectoverso uciszył go ruchem dłoni.

— Wiele ci zawdzięczam. Zbłądziłem, traktując cię źle i snując podejrzenia. Pragnę ci to jednak wynagrodzić, Sigerze. Powiedz tylko, czego pragniesz, a ja...

— Daj nam „Księgę pięciu błękitnych ślimaków”! — zawołali jednocześnie obaj czarnoksiężnicy.

— Jest twoja! Jak każda inna, której zażadasz. Wszystkie półki w bibliotece są do twojej dyspozycji. A teraz...

Rectoverso zamilkł nagle, gdyż ziemia zadrżała pod ich stopami. Od strony biblioteki dobiegł dudniący łoskot, który zakołysał drzewami oraz zwieszającymi się tu i ówdzie pnączami, i potęgował się przeciągłym echem idącym od ścian wszystkich okolicznych budynków. Huk wzrastał się stopniowo, przypominając teraz odgłosy padających pod toporami drzew, grzmot spadającej lawiny lub zgrzyt skały napierającej na skałę.

Kłęby pyłu wzbiły się w powietrze nad biblioteką, tworząc ciemną, buzującą na tle jaśniejącego nieba chmurę. Obłok ten wkrótce rozwiął się, zasnuwając szarym całunem przestworza. Zwabieni hukiem mnisi tłumnie wylegli na dziedziniec. Niektórzy z nich, widząc niezwykle zjawisko, zastygli nieruchomo jak rażeni piorunem, inni upadli na kolana lub oniemiała spoglądali na siebie nawzajem. Gdy w końcu ucichł hałas i opadł kurz, podwórzec napełnił się lamentami zakonników.

Kedrigern odchrząknął i bez słowa przełknął ślinę. Zduszonym głosem rzekł do opata:

— Jak to dobrze, że zapragnąłeś się pomodlić.

* * *

Kedrigern i Traffeo nie mieli się już po co śpieszyć. Czego nie zdążyli dokonać do tej pory, uleciało w powietrze razem z biblioteką, z której nie pozostał kamień na kamieniu. Nikt stamtąd nie uszedł z życiem.

Poranek przeminał niepostrzeżenie. Po południu obaj czarnoksiężnicy w towarzystwie opata poszli obejrzyć ruinę. W miejscu wielkiego gmachu ziała pustka. Tam gdzie skała zapadła się razem z biblioteką, powstało urwisko, ponad którym rozpościerał się teraz rozległy widok na pasma wzgórz ciągnące się aż do odległych gór. Za nimi leżała Othion, gdzie wkrótce czekało czarnoksiężników wielkie upokorzenie. Kedrigern zdrzął, szczerzej otulając się płaszczem.

— Jak do tego doszło? — zastanawiał się opat, wpatrzony w próżnię po drogim jego sercu budynku.

— Wadliwa budowa skały. Podziemna pusta komora. Usterka w konstrukcji budynku — wyliczył Kedrigern bez większego przekonania.

— A więc nigdy się nie dowiemy — stwierdził opat.

— Nie — zgodził się czarnoksiężnik.

Udało im się ustalić jedynie, że z nieznanego powodu zbocze wzgórz, na którym stali, rozpękało się, wypływając kaskady ziemi i kamieni, które spływały w dół urwistego stoku. Zwały miękkiego błota w wykopie nadwątliły fundamenty nowej biblioteki. W rezultacie cały gmach zawalił się, nadwerężając przy tym ściany biblioteki zewnętrznej, które runęły w następnej kolejności. W kilka chwil efekt wysiłków wielu pokoleń obrócił się w perzynę.

— Nie ma sensu dociekać przyczyny. Co się stało, już się nie odstanie. Może to i lepiej? Wybudujecie tu coś nowego, puszczając przeszłość w niepamięć — odezwał się Kedrigern.

— Nie spodziewałem się tak wielkich zniszczeń — martwił się opat.

— Na przyszłość proponuję pomyśleć o mniej skomplikowanej konstrukcji bez kilkupiętowych podpiwniczeń. To bywa niebezpieczne — zauważył Traffeo.

Zawrócili ku stajni, gdzie siodłano dla nich konie. W drodze pierwszy przemówił opat:

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny, Sigerze.
- Nie ma za co, ojcze opacie.
- Owszem, jest. Obudziłeś mnie z głębokiego snu.

U wejścia do stajni oczekiwał ich William z Primofolio, dzierżąc w dłoni niewielki pakunek zawinięty w płótno. Pakunek ów rozsiewał wokół cudowną woń.

- Nasz nowy brat piwniczny przygotował dla was coś na pożegnanie — rzekł opat.

William wręczył zawiniątko Kedrigernowi, który odgarnął serwetkę i z lubością pociągnął nosem.

— Bułeczki cebulowe! — zawołał z zachwytem. — Uwielbiam je od czasów dzieciństwa! To nad wyraz uprzejme z waszej strony.

Rectoverso odprowadził czarnoksiężników aż do bram opactwa. Kiedy dosiedli wierzchowców, a furtian rozwarł szeroko ciężkie wrota, zwrócił się do nich po raz ostatni:

- Niech wam Bóg błogosławi, Sigerze i Hamishu. Jedźcie w pokoju.
- Dziękujemy tobie i Williamowi za pyszne pieczywo!
- Dość skromna to nagroda — zaśmiał się opat. — Za to w pełni zasłużona!

14. Finał gry

Czarny Błazen nie śpieszył się z atakiem. Całą uwagę poświęcił rozwinięciu skrzydła królowej na szachownicy. Księżniczka natomiast, zachowując obecnie większą wstrzeźliwość w wykonywaniu odważnych ruchów, ograniczała się do hamowania jego zapędów. W tym celu starała się zajmować strategiczne pozycje własnymi figurami.

Myśl o nieuniknionych ofiarach dręczyła ją bezustannie. Wiedziała, że nie można wygrać w szachy bez utraty kilku pionków. Co gorsza, pamiętała nawet partie, które kończyły się pozostawieniem na szachownicy jedynie dwóch figur królewskich i jednego pionka, podczas gdy wszystkie pozostałe zniknęły w trakcie rozgrywki. Ale jakżeby mogła skazać na pewną zgubę tych dzielnych ludzi? Łatwo manipulować kawałkami drewna lub kości słoniowej, lecz wysyłać na śmierć żywe istoty — to zupełnie co innego. Z drugiej strony zwycięstwo w tej grze stanowiło jedyną nadzieję na wyzwolenie z mocy czarów. Księżniczka samodzielnie nie chciała podejmować się odczynienia złego uroku. Ponieważ nie znała treści rzuconego na nich zaklęcia, taka próba groziła zbyt wielkim ryzykiem — uwalniając ich z jednej niedoli, mogła niechcący wtrącić w drugą: na przykład zamieniając w warcaby dla odmiany. Nie, nie ma rady, musi grać i wygrać! To jedyna nadzieja dla nich wszystkich. A o strasznej cenie lepiej w ogóle nie myśleć...

A jak ma to wszystko przekazać Berzel? Czy biedna dziewczyna nie upadnie na duchu, dowiedziawszy się, że grozi jej przeistoczenie w pionek szachowy i śmierć *en passant* lub w bezowocnym gambicie*? Choć wyjawienie prawdy wydaje się nierozsądne, to ukrywanie jej z kolei zakrawa na okrucieństwo. A może powinna od razu użyć magicznej mocy? Czy też lepiej zachować ją na potem na wypadek gorszych tarapatów? Jeżeli goniec nie mylił się, opisując czarodziejską moc błazna jako wszechpotężną, czary Księżniczki mogłyby zostać z łatwością pokonane, a ona sama i jej podopieczni naraziliby się na wymyślną karę. Oto kolejny dylemat do rozwiązania.

Nie musiała głowić się w nieskończoność, albowiem w kilka minut później przeciw-

*En passant (fr.) — przypadkiem, mimochodem, w szachach bicie w przelocie; gambit (prowans. combi = wymiana lub wł. Dare il gambetto = podstawiać nogę) — manewr w grze szachowej polegający na poświęceniu figury lub pionka dla uzyskania szybszej możliwości przejścia do ataku.]

nik przejął inicjatywę, zabierając gońcem jej skoczka. Zrewanżowała się natychmiast, zbijając krwiożerczego gońca pionkiem. Pokonany goniec nie zdążył nawet dowlec się poza obręb szachownicy, by tam na uboczu upaść w konwulsjach, gdy czarny pionek sprzątnął białego mściciela.

— Spokojnie, spokojnie — łagodnie przemówił drugi skoczek po zakończeniu tej ostrej wymiany. — Wygrali tę jedną potyczkę, lecz za to nam udało się dopaść wreszcie tego podrabianego gońca.

— Dostał to, na co zasłużył — odezwał się jeden z pionków.

— Nie ma go co żałować. Pamiętacie, jak się tu puszył? — dodał inny.

— Czy goniec był prawdziwym gońcem? — Księżniczka zwróciła się do swojego własnego gońca.

— O nie, pani. My, białe figury, nie podszywamy się pod nikogo. Ja z drugim gońcem jesteśmy naprawdę gońcami. W żyłach króla i królowej płynie błękitna krew, a skoczki to autentyczni jeźdźcy. W roli pionków występują żołnierze, pielgrzymi, słudzy, wędrowni cyrulicy, a nawet słyszałem, że trafiały się i zaginione dzieci.

— Dzieci? To straszne!

— Niestety. Natomiast czarne pionki i figury to zgraja szelm, łotrów i szubrawców, opryszków, rzezimieszków, rozpustników, łajdaków, rozbójników i wszelkich innych kanalii. Nieboszczyk goniec na przykład był zatwardziałym zbrojem, z powodów bliżej mi nie znanych zwanym Freddie Kulfonem. Drugi czarny goniec to jeszcze mniej przyjemny osobnik, skoczków nie można nazwać inaczej niż łajdakami, a o królewskiej parze lepiej w ogóle nie wspominać... Wystarczy, jeśli krótko nadmienię, że ludzi tego pokroju ty, pani, nie spotykasz nawet przypadkowo.

— A wieże?

— To strażnice wzniesione przez murarzy. Po ukończeniu pracy ludzie ci także wyładowali na szachownicy, pełniąc rolę pionów.

Pod ścianą czarny goniec, wstrząsnąwszy się po raz ostatni, wyzionął ducha. Na ten widok Czarny Błazen poderwał się z rozpaczliwym okrzykiem, zawodząc głośno:

— Freddie, stary druhu, drogo mi za to zapłacą! Zmiotę wszystkich z szachownicy co do jednego, a króla tym razem pogonię tak, że dostanie zadyszki. Obiecuję ci to.

Tego było już za wiele. Księżniczka nie wytrzymała i, podrywając się w przypływie furii, wykrzyknęła:

— Ty nędzniku! Z twojej winy stracił życie on i moi ludzie! Przez tę głupią grę i twoje paskudne czary!

— Wybacz, pani, ale nie czas teraz na takie sceny — odparł wyniośle Czarny Błazen. — Gra toczy się dalej. Freddie wiedział o tym i z pokorą przyjął wyrok losu, jak na prawdziwego chwata przystało. A ja, jeśli tylko zechcę, będę po nim płakał, i już!

— A mój skoczek z pionkiem? Przyzwoici z nich byli ludzie, nie to co twój podły

Freddie Kulfon. To ich powinienes oplakiwac, zamiast jakiego tam laszacego sie opryszka!

— Jesteś, pani, bez serca. Freddie to biedny nieudacznik, ofiara społeczeństwa, zbłąkana owieczka, a przy tym samorodny talent. Nie przesadzę, twierdząc, że bez trudu umiałby, idąc pieszo, wyciągnąć siodło spod jeźdźca galopującego w przeciwnym kierunku. Człowieka o takich zdolnościach, geniusza wręcz, podle oczerniono, nazywając złodziejem! Nie dość na tym — tropiono, szcuzto, prześladowano!

— Miał szczęście, że go nie powieszono! — ponuro podsumowała Księżniczka.

— O serce z kamienia! — westchnął błazen, unosząc dłoń ku czołu i cofając się chwiejnie o krok. — Nie pozwolę, by odszedł bez pożegnania. Ułożę dla niego epitafium, nie, kilka epitafiów — wychrypiał dramatycznie.

— Proszę bardzo. Ja wobec tego zajmę się mową pochwalną dla moich dwóch dobrych podopiecznych. Ci przynajmniej na to zasłużyli.

Czarny Błazen sięgnął po czarną lutnię. Uderzył w struny, odchrząknął i oznajmił:

— Moje pierwsze epitafium dla Freddiego ma charakter filozoficzny. Mówi o losie człowieka i odwiecznych prawach natury — tu zaczął śpiewać głosem cienkim i wysokim, o wyjątkowo nieprzyjemnym brzmieniu:

Freddie nic takiego nie zrobił sobie,

Po prostu leży cichy w grobie.

Wiem, że każdy (w tym i ja)

Kwiatki z dołu wachać ma.

Los ten czeka wszystkich nas,

Lecz dziś Freddiego wybił czas.

Zdumiona Berzel odwróciła się ku Księżniczce, pytając:

— O co tu chodzi? Nic nie rozumiem. Kim jest Freddie?

— Muszę ci wszystko wyjaśnić, kochanie — zaczęła Księżniczka, ujmując dłoń dziewczyny. — Czarny Błazen lamentuje z powodu śmierci swojego gońca.

— Gońca o imieniu Freddie?

— Później ci to wytłumaczę.

— Ale dlaczego leje łzy nad figurą szachową?

— Gонец był prawdziwym człowiekiem. Niezbyt, co prawda, miłym, niemniej z krwi i kości. Nasz skoczek z pionkiem również, tak jak i cała reszta. To żywi ludzie, którzy zostali z czarowani.

— Ach, więc już nie grajmy! To zbyt straszne!

— Musimy grać, kochanie. Jeśli zwyciężymy, wszyscy zostaną uwolnieni.

Ponownie uderzając w struny lutni, Czarny Błazen zapowiedział:

— Mojemu drugiemu epitafium dla kochanego Freddiego nadałem ton realistyczny, uciekając od pretensjonalnego współczucia i tanich sentymentów. Spójrzmy na życie i śmierć chłodnym okiem, nie zapominajmy o przyziemnych szczegółach. — Począł recytować jednostajnie, przytłumionym głosem:

*Freddie biedaczek
Już nie płacze ani nie chce jeść.
Leży zimny,
Całkiem sztywny i trzeba go nieść.
Wkrótce spuchnie,
Ach, jak cuchnie! Żegnaj, Freddie, cześć!*

Podczas recytacji Berzel milczała grzecznie. Teraz jednak, nie kryjąc dłużej niepokoju, zapytała:

— A co będzie, jeśli przegramy?

— Nikt nie odzyska wolności. Ani oni, ani my.

Nie czekając, aż dziewczyna oswoi się z tą myślą, gospodarz kontynuował swoje popisy:

— Moje trzecie epitafium dla drogiego, niezapomnianego Freddiego, człowieka umiejącego docenić inteligentny żart i cięty dowcip, skrzy się humorem. Śławi życie, które zawsze zwycięża nad śmiercią. — Zagrawszy skoczny wstęp, zaintonował:

*Freddie, nasz sąsiad, mieszkał tu;
Umrzeć chciał — odbiło mu.
Nie chcieliśmy, aby znikł.
Dziś go nie pamięta nikt.*

— Mam nadzieję, że po mojej śmierci nikt nie spłodzi podobnych rymowanek. Kochana Księżniczko, obiecaj, że nie zrobisz tego.

— Przez myśl by mi to nie przeszło. Są okropne, wyzbyte wszelkich głębszych uczuć i okrutne. Po prostu niesmaczne.

— Rymują się niezłe — zauważyła Berzel. — Ale, kochana Księżniczko, co właściwie oznacza, że nie odzyskamy wolności? To co się z nami stanie?

— Nie przejmuj się tym. Nie uda mu się zamienić nas w figury szachowe — zapewniła ją Księżniczka, zaciskając szczęki.

— Zakończę bardzo osobistym, płynącym prosto z serca epitafium — znów Czarny Błazen odezwał się prozą. — Opowie ono o wzruszającym żalu i głębokim smutku po bolesnej stracie przyjaciela. — Odłożywszy na bok lutnię, wyrecytował ochryple:

*Drogi Freddie, mój przyjaciel,
Za nim tęsknię, po nim płaczę.
Co za los — taki cios,
Czas złowrogi — wyrok srogi.
Wczoraj tur — dziś jak wiór.
Na nic łzy, wtedy gdy
Wokół chłód; on jak lód.
W sercu ziąb, ani w ząb
Nie rozumiem i nie umiem
Pojąć, że straciłem cię.
Ból mój cóż? On w niebie już!
Bywaj nam, skoro sam
Ruszasz w drogę! Kończyć mogę.*

— Wolałam go już w roli niewzruszonego okrutnika — wyszeptała Księżniczka.

— Dlaczego, kochana Księżniczko, Czarny Błazen chce nas zamienić w figury szachowe? — indagowała Berzel z napięciem. Mówiła bardzo cicho, jakby obawiając się, że głos mógłby jej się załamać.

— Nie mam pojęcia, ale obiecuję ci, że jeśli tylko spróbuje, nie ujdzie mu to na sucho. A teraz przepraszam cię na chwilę... — Księżniczka zwróciła się do gońca. — Czy nie zechciałbyś powiedzieć paru słów dla uczczenia pamięci utraconych skoczka i pionka?

— To dla mnie zaszczyt, pani — odparł goniec, po czym wygłosił ułożoną naprędce, acz niezwykle zgrabną i głęboką mowę pożegnalną.

Po zakończeniu uroczystości żałobnych grę wznowiono. Kolejne figury po obu stronach padały w boju, pograżając w żałobie pozostałych; przeciwnicy walczyli ze zmiennym szczęściem — szala zwycięstwa przechylała się to na tę, to na tamtą stronę. Żadne z grających nie zdołało uzyskać znaczącej przewagi. Przy czterdziestym ruchu obie strony dysponowały jeszcze pięcioma pionkami, królową i jedną wieżą osłaniającą króla. Ponadto białym pozostał jeden goniec, a czarnym — skoczek. W pewnej chwili Księżniczka zorientowała się, że sprawy zaczynają przybierać niepomyślny dla niej obrót. Uważnie przestudiowała sytuację na szachownicy, z ciężkim sercem stwierdziła, że ma znikome szanse wygranej. Pocieszając się, że przecież nie wszystko stracone, rozmyślała intensywnie nad wybrnięciem z trudnego położenia. Przywołałszy w pamięci wszystkie partie szachów rozegrane w przeszłości, w końcu znalazła właściwe rozwiązanie.

— Twój ruch, pani. Nie śpieszysz się już, czyżbyś czuła się znużona? A może powoli przyzwyczajasz się do smaku nieuniknionej porażki? — zagadnął Czarny Błazen

— Porażki? W grze z tobą? Też mi pomysł! — odparowała Księżniczka z drwiną w głosie, przesuając wieżę na pole c7.

Błazen obserwował ten ruch ze zmarszczonymi brwiami, lecz powstrzymał się od komentarza.

— Ty także się nie śpieszysz. Czy śpiew i recytacje tak nadwerżyły twoje siły?

— Jestem pełen energii, pani — sapnął gospodarz, przenosząc wieżę do pierwszego rzędu w tej samej kolumnie. Tym samym unieruchomił gońca, który strzegł białego króla.

Księżniczka w odpowiedzi wycofała swoją wieżę na c4, uciekając z odsłoniętego pola rażenia czarnej królowej i narażając czarnego skoczka na niebezpieczeństwo. Czarny Błazen, po uważnym zanalizowaniu ostatniego posunięcia przeciwniczki, przyjrzał się jej z nie ukrywaną złością. Jego skoczek zboczył na skraj szachownicy, lądując na polu h3 i grożąc szachem białemu królowi. Księżniczka ukradkiem puściła oko do Berzel — wypadki zaczynały układać się po jej myśli. Poleciała białemu królowi przejść o jedno pole po prawej przekątnej w przód. Przemieścił się tam powoli, burcząc coś pod nosem. Czarna królowa, ześlizgnąwszy się po swojej przekątnej, zaatakowała lewoskrzydłowego pionka, który stał na jej drodze. Tak oto poległ niewinny chłopiec, który nigdy nikogo nie skrzywdził, a nawet nie odezwał się ani razu przez całą grę. Biały król ponownie znalazł się w niebezpieczeństwie. Zasłonił go białopolowy goniec, który przeszedłszy o jedno pole w lewo na skos, znalazł się w prostej linii naprzeciwko swojej królowej. Pochylił przed nią z szacunkiem głowę, na co ona odpowiedziała królewskim skinieniem dłoni.

— Bez obaw, gończe, mam stąd baczenie na twoje bezpieczeństwo! — zawołała doń z daleka.

— Jestem wdzięczny waszej wysokości za ochronę — podziękował goniec.

Czarny Błazen kontynuował atak, tym razem strasząc białego króla wieżą, którą przesunął na pole g2. Jego wysokość przemaszerował o jedno pole w bok, tym razem szybko i zwinnie, bez słowa skargi. Dopiero kiedy poczuł się bezpieczny na nowym miejscu, z marsową miną przyjrzał się czarnym przeciwnikom na sąsiednich polach, mrużąc:

— Gdzie się podziała ta kobieta? Kto wpuścił tę hołotę aż tutaj? Ciekawe, do czego to jeszcze może dojść...

Z łoskotem i zgrzytem czarna wieża podążyła za jego wysokością, plasując się na macierzystym polu białej wieży, skąd trzymała króla w szachu. Księżniczka z ciężkim westchnieniem przetarła czoło.

— Kochana Księżniczko, nasz król jest znowu w niebezpieczeństwie! Jak z tego wybrniemy? — zaniepokoiła się Berzel.

Zawracając króla na poprzednie miejsce, Księżniczka uspokoiła ją z uśmiechem:

— Mamy powód do radości, Berzel. Udało mi się doprowadzić do remisu!

— Czy to dobrze?

— W każdym razie lepsze niż porażka, a już przez moment obawiałam się, że przegram. Z dwojga złego wybieram więc pojedynek nie rozstrzygnięty.

Berzel z wyraźną ulgą przyznała jej rację. Ich ponury gospodarz, rzuciwszy z ukosa spojrzenie na szachownicę, zauważył poirytowany:

— Oto wieczny szach. Moja wieża może teraz w nieskończoność gonić twojego króla, który będzie przesuwac się z pola na pole.

— Owszem, a to oznacza, że gra zakończyła się remisem. Puść wolno tych ludzi, a i my pójdziemy swoją drogą — odparła Księżniczka, wstając. Wyglądziwszy suknię, poczęła odwijać rękawy.

— Wolno? Nie mam zamiaru nikogo uwalniać!

— Zrobisz to. Przypominam ci, że nie wygrałeś tej partii.

— Ale i nie przegrałem, pani. Będziemy grać tak długo, dopóki któreś z nas nie zwycięży. A do tego czasu pozostaniecie moimi gośćmi.

— Nie mamy wcale na to ochoty, ponieważ zamieniasz swoich gości w pionki, gońców i skoczki — wybuchnęła Berzel z pałającymi oczami.

— Celnie to ujęłaś, kochanie.

— Sami są sobie winni, młoda damo. Nie powinni zabierać się do gry, skoro daleko im do mistrzów.

— To samo tyczy ciebie — ironicznie spointowała Księżniczka.

— Gratuluję dowcipu. Powinnaś go, pani, raczej zachować na następną rozgrywkę.

— Nie będzie żadnej następnej partii, ty wstrętny błaznie.

— Owszem, będzie. Chcecie czy nie, weźmiecie w niej udział albo jako pionki, albo jako moje przeciwniczki. Wybór należy do was — skwitował Czarny Błazen. Odwróciwszy się, majestatycznie opuścił pawilon szachowy.

* * *

Mijały dni. Księżniczka i Berzel bez ustanku analizowały swoje kłopotliwe położenie, próbując ustalić najwłaściwszy sposób postępowania. Rozważyły szczegółowo wszystkie możliwości i roztrząsały wszystkie za i przeciw, ale niestety, niczego nie wymyśliły. Rozegranie kolejnej partii, choćby i wbrew ich woli, mogłoby być poczytane za współudział w knowaniach Czarnego Błazna. Z kolei odmowa uczestniczenia w grze nieuchronnie skazywała je na przykre konsekwencje. Ale może piękniej i godniej jest przyjąć wyrok losu z podniesionym czołem, niż układać się z prześladowcą? Taka postawa przystoi szlachetnie urodzonym damom.

Z drugiej strony królewskie pochodzenie zobowiązuje je do podjęcia inicjatywy pokonania Czarnego Błazna. Tylko one mają szansę doprowadzić do jego upadku. Księżniczka, co prawda, zaledwie zremisowała w pierwszym starciu, ale za to w trakcie

gry miała sposobność podpatrzeć słabe punkty przeciwnika. Jeśli zrobi właściwy użytek ze swych spostrzeżeń, pobije błazna i ocali jego ofiary.

Natychmiast sprostowała tę myśl — uwolni tych, którzy przeżyją. Nie obejdzie się bowiem bez rozlewu krwi, spowodowanego jej kilkoma nierozważnymi posunięciami na szachownicy. Czy pod taką presją będzie w stanie rozegrać najbłyskotliwszą partię w swoim życiu? Mając tak wiele do stracenia, musi zagrać lepiej niż kiedykolwiek dotąd. Zamyśliwszy się głęboko, przeżywała prawdziwe rozterki.

Chwilami, kiedy w swych rozmyślaniach brnęła w ślepy zaułek, nachodziły ją ciągoty, by po prostu uciec się do magii. Hamowała te zapędy, wiedząc, że jej umiejętności, szczególnie w obchodzeniu się z różdżką, pozostawiają jeszcze wiele do życzenia, gdy tymczasem Czarny Błazen dysponuje wielką mocą, czego dowodzi przewrotny sposób, w jaki traktuje swych gości, a właściwie więźniów. Na pozór dysponowały całkowitą swobodą — w oknach nie było krat ani zamków w drzwiach; mogły się poruszać bez przeszkód po całym domu i ogrodzie. Kiedy jednak zaraz po zakończeniu gry spróbowały wydostać się z siedliska błazna cisową aleją, po przejściu zaledwie trzydziestu kroków Księżniczka wyczuła wyraźnie istnienie magicznej zapory. Każdy mógł wejść, lecz nikt nie wychodził stąd bez zgody gospodarza.

Wróciła do domu przygnębiona. Otoczenie całej siedziby czarodziejską barierą, a do tego nadanie trzydziestu dwóm osobom postaci pionków i figur szachowych to do prawdy wyczyn nie lada. Księżniczka nabrała pewności, że wokół znalazłoby się zapewne więcej przykładów zaklęć działających bez ustanku. Jej podziw dla czarnoksięskiego kunsztu błazna wzrósł niepomrotnie i upewniła się, że swoich skromnych czarów powinna używać bardzo powściągliwie, a najlepiej wcale.

Wraz z upływem kolejnych dni wstąpiła w nią nowa nadzieja: gdyby tylko udało się przeciągnąć rozgrywkę do pełni księżyca, nieszczęsna skłonność Berzel mogłaby obrócić się na ich korzyść. Choć nie miała pojęcia, w jaki sposób to wykorzystać, czuła, że nieoczekiwane pojawienie się wilka nie może pozostać bez echa, a jakakolwiek odmiana może oznaczać jedynie poprawę ich położenia.

Czarny Błazen nie niepokoił obu dam przez osiem dni. Dziewiątego zaś dnia oznajmił, że nazajutrz zamierza ponownie zmierzyć się z nimi w grze. Księżniczka, wymawiając się chorobą, poprosiła o kolejne trzy dni zwłoki na podreperowanie sił i odzyskanie jasności umysłu. Gospodarz odmówił. Nalegała. Nie ugiął się. Błagała. Ustąpił, zgadzając się na dodatkowy dzień. Zachwiała się i osunąwszy na krzesło, słabym głosem poprosiła o trzy. Uległ, obiecując dwa i żadnych ustępstw więcej. Księżniczka westchnęła tylko i machnąwszy dłonią z rezygnacją, omdlała. Berzel przypadła do niej, rozcierając skronie i przemawiając kojąco. Kiedy tylko drzwi zamknęły się za Czarnym Błaznem, Księżniczka poderwała się gwałtownie i poczęła nerwowo przemierzać komnatę tam i z powrotem.

— Jeden dzień. Brakuje nam tylko jednego dnia — powtarzała w wielkim podnieceniu.

— Ale do czego, kochana Księżniczko? — dopytywała się Berzel z siostrzaną czułością w głosie. Jej szeroko otwarte oczy i wpółotwarte usta zdradzały wielką niepewność.

— Za trzy dni przemienisz się w wilka.

Zaskoczona Berzel aż zamruła oczami.

— Rzeczywiście — potwierdziła ze zdziwieniem. — Zupełnie o tym zapomniałam. Czy nie powinniśmy kogoś uprzedzić?

— W żadnym razie. Niech to będzie małą niespodzianką dla naszego gospodarza.

— Czy to nam pomoże?

— Nie wiem, ale na pewno nie zaszkodzi. — Księżniczka, dwukrotnie przemierzywszy całą komnatę z rękami założonymi do tyłu, zatrzymała się. Uniosła dłoń, wskazującym palcem celując w sufit w geście znamionującym nagłe olśnienie. — Mam nadzieję, że na widok wilka błazen tak się przerazi, że uwolni nas i całą resztę.

— Kochana Księżniczko, ale ja tak nie lubię nikogo straszyć, nawet tego okropnego człowieka. To nie leży w mojej naturze.

— Jako wilk możesz mieć inne skłonności.

— Nie sądzę. Wszyscy twierdzą, że wówczas tylko figle mi w głowie, brykam, dokazuję i ganiam w kółko, próbując złapać swój ogon. Nigdy nikogo nie skrzywdziłam.

— Ale Czarny Błazen o tym nie wie. Może tylko troszkę mu pogroźisz — zasugerowała Księżniczka.

— Nie umiem.

— Przynajmniej spróbuj. Nawet jeśli nie przerazisz go tak, by zechciał nas uwolnić, wstrząs może osłabić moc niektórych jego zaklęć. Wówczas ja rzucę nań swoje czary.

— A jeśli on będzie próbował mnie zgładzić?

— Nie ośmieli się. Jesteś księżniczką!

— Może potraktować mnie jak wilka! — Berzel zaniepokoiła się nie na żarty.

— Nie pozwolę mu cię skrzywdzić — zapewniła dziewczynę Księżniczka, głaszcząc ją czule po głowie. Potem ponownie zaczęła nerwowo maszerować po izbie, mamrocząc pod nosem: — Tylko jeden dzień... Jak go zdobyć?

Mimo starań nic nie uzyskały. Ustąpiwszy raz, Czarny Błazen ani myślał ugiąć się ponownie. Rankiem w wyznaczonym dniu Księżniczkę i Berzel zaprowadzono do pawilonu szachowego. Z ciężkim sercem zajęły swoje miejsca.

— Wyświadczenie mi niezwykłą uprzejmość, miłe damy — powitał je błazen z kpiącym uśmieszkiem, zginając się w przesadnie uniżonym ukłonie.

— Wciąż jesteśmy niezdrowe i słabe. Niezbędny nam jeszcze jeden dzień odpoczynku — słabym głosem odezwała się Księżniczka, podczas gdy Berzel wachlowała ją

uperfumowaną chusteczką.

— Tylko jeden dzień — dodała dziewczyna żałośnie.

— Ani minuty dłużej, moje drogie panie.

— Nie zapominaj, że masz do czynienia z księżniczkami, istotami kruchymi i eterycznymi, tak delikatnymi i wrażliwymi, że porazić nas może światło księżycy, poranić pajęczyna, a muśnięcie skrzydła motyla otumanić. Ostatnie przejścia bardzo nas wyczerpały. Potrzebujemy czasu, by zregenerować siły — skarżyła się Księżniczka ledwo słyszalnym głosem.

— Dość tego. Pora grać — uciął bezlitośnie Czarny Błazen.

Pionki i figury przywitały Księżniczkę serdecznie. Rozpoznała króla i królową, gońca i skoczka oraz kilka pionków; reszta została zastąpiona przez nowe twarze. Nie miała pojęcia, skąd się wzięły, ale podejrzewała, że przyprawdzono je z lochów. Pomachała im dłonią, choć miała ochotę raczej zapaść się pod ziemię, po czym wstała, by wygłosić parę słów. Nie znosiła wygłaszać przemówień, ale zyskanie na czasie warte było tego poświęcenia.

— No już, zaczynajmy — niecierpliwił się gospodarz.

— Pragnę przemówić do moich ludzi.

— Wzruszające. Tylko krótko, pani.

Krótko, dobre sobie! — pomyślała Księżniczka. Miała zamiar użyć wszelkich sposobów, aby przeciągnąć grę aż do wieczora; wtedy bowiem nadejdzie pełnia, a wraz z nią ostatnia szansa na wybawienie.

Wygłosiła porywającą mowę, przywołując postaci legendarnych bohaterów, odwołując się do poczucia obowiązku i lojalności, przytaczając przykłady koleżeńskich zachowań i wielkich poświęceń, opisując waleczne czyny i podziwu godne wyrzeczenia. Z wysiłku aż zachrypła, lecz gdy usiadła, biała armia nagrodziła jej wystąpienie głośną owacją. Pionki entuzjastycznie wykrzykiwały jej imię tak długo, póki w końcu nie uspokoiły ich skoczki. Królowa pochwaliła: „Zuch dziewczyna!”, a nawet sam król wymamrotał coś jakby: „Całkiem niezłe. Może być”.

Potem nie pozostało już Księżniczce nic innego, jak ruszyć pionkiem sprzed królowej o dwa pola do przodu. Przeciwnik odpowiedział natychmiast, przesuwając swój pionek sprzed króla o dwa pola. Oparłszy podbródek na dłoni, Księżniczka zapatrzyła się w szachownicę.

— Mitręzysz czas, pani — poganiał ją Czarny Błazen.

— Myślę.

— Po cóż się tyle zastanawiać nad drugim ruchem? Jeśli zamierzasz, pani, marnować czas, to ja...

W sali pojawił się służący, który bezszelestnie podszedł do swego pana i począł szeptać mu coś do ucha. Czarny Błazen słuchał uważnie, z powagą kiwając głową. Potem,

odesławszy posłańca, uśmiechnął się z przymusem do Berzel i Księżniczki.

— Chyba jednak grozi nam małe opóźnienie, ponieważ pojawił się nowy gość. Spróbuję przekonać go do wzięcia udziału w naszej grze — oznajmił.

— Och, nie wątpię, że ci się to uda — z przekąsem zauważyła Księżniczka. — Pozwól, że rzucę okiem na tego człowieka. Jeśli to ktoś przyzwoity, mógłby zasilić moje szeregi.

— Cieszę się, pani, że twój duch bojowy ożywa z wolna. Rzeczywiście przydałaby ci się świeża krew w drużynie, gdyż jak na mój gust niektóre z twoich pionków są zbyt krzykliwe. — Wstając, wskazał na drzwi ze słowami: — Chodźmy więc obejrzeć przybysza!

Udali się do przedsionka, gdzie czekał Zorsch. Choć straszliwie zarośnięty i obszarpany, jego widok był miły sercu Księżniczki. Sądząc po reakcji Zorscha, jej pojawienie się wzbudziło w nim równie ciepłe uczucia.

— O pani! Jesteś cała i zdrowa! — wykrzyknął radośnie, klękając przed nią na jedno kolano.

— Zorschu! Ty tutaj! — zawołała Księżniczka.

Czarny Błazen przyglądał się podejrzliwie na przemian to jednemu, to drugiemu. W końcu zapytał:

— Znasz tego człowieka, pani?

— Owszem, Zorsch... — Księżniczka raptem uprzytomniła sobie, że przedstawienie chłopca jako jej oddanego sługi jest najpewniejszym sposobem skazania go na rolę pionka i wydania tym samym na zgnębienie. Zająknęła się w pół słowa, kaszlem próbując przykryć swoje zmieszanie.

— Tak? Kim on jest? — nalegał ponury gospodarz.

— To mój nauczyciel gry w szachy! — dokończyła w przypływie natchnienia. — Jest doprawdy wytrawnym graczem. Partia z nim dostarczy ci niezapomnianych wrażeń.

— Ze mną? — Zorsch zamrugnął oczami.

— Bez fałszywej skromności, mistrzu. Nie zaprzeczaj. Jesteś przecież wybitnym szachistą! — odparła Księżniczka tonem nie znośnym sprzeciwu.

Zorsch uklonił się nisko.

— Jak pani rozkażesz.

Czarny Błazen, nie spuszczać z nich wzroku, ze zmarszczonym czołem i odętymi ustami trawił zasłyszana nowinę. Po chwili wymruczał:

— Ciekawe...

— To dla ciebie prawdziwa gratka! Postąpiłbyś niezwykle uprzejmie, pozwalając Zorschowi służyć mi radą podczas gry — prosiła Księżniczka.

— Grzeczności to nie moja specjalność — zadrwił błazen.

— Jego pomoc na pewno ożywi tę rozgrywkę!

— To co innego. Kto wie, kto wie... — przez chwilę spoglądał baczenie na Zorscha, aż

wreszcie oświadczył: — Zgoda. Niech ci doradza. A teraz wracajmy do gry!

— Nie pozwolę na to! — żywo zaprotestowała Księżniczka. — To nie pierwszy lepszy pionek, lecz mistrz! Spójrz na niego. Ledwo żyje z głodu, pragnienia i zmęczenia. Nakarm gościa i pozwól mu odpocząć. Nie możesz nakłaniać go do gry w takim stanie!

— Znowu próbujesz zyskać na czasie!

Księżniczka, zakładając ręce na piersi, wycodziła lodowato:

— Żądam jedynie warunków godnych mego tytułu. Jeśli nie możesz ich zapewnić, kłaunie, lepiej zapomnij o dalszej grze.

Prowokowała los, drażniąc się z błaznem. Wierzyła jednak, że jego chęć wzięcia odwetu za remis w poprzedniej rozgrywce zwycięży wszelkie opory. Wciąż nie mając obmyślonego planu, improwizowała na poczekaniu, licząc na łut szczęścia. Dzięki niespodziewanemu pojawieniu się Zorscha znacznie wzrosły jej nadzieje na skuteczne zastraszenie gospodarza — wszak co dwa wilki to nie jeden. Warto więc było podjąć każde ryzyko, aby odwlec tę rozgrywkę do nastania pełni księżyca.

Czarny Błazen milczał przez chwilę, po czym łypnął gniewnie na swą przeciwniczkę.

— Dobrze więc. Niech się posili, zażyje pachnącej kąpieli i wdzieje świeże szaty. Ale o wschodzie księżyca, i ani chwili później, ma być gotów do gry.

— Stanie się według twojej woli — przytaknęła Księżniczka najbardziej niedbałym tonem, na jaki było ją stać.

* * *

Parę godzin później wchodziła do pawilonu szachowego pewnym krokiem, w zanzardzu bowiem chowała plan działania na ten wieczór opracowany wspólnie z Zorschem i Berzel.

W prostych, ciemnych szatach Zorsch wyglądał bardzo urodziwie. Berzel wodziła za nim roziskrzonym wzrokiem, a i on nie mógł oderwać od niej oczu.

Dzięki zabiegom Księżniczki w ciągu zaledwie paru ostatnich dni Berzel przeistoczyła się w piękną dziewczynę. Nauczyła się układać włosy w niezwykle twarzową fryzurę i przy pomocy jednej ze służących zmieniała fason swoich sukien, które, choć ciągle bure, podkreślały teraz jej zgrabną sylwetkę; dla ożywienia ozdobiła je barwnymi szarfami zaimprovizowanymi z serwetek pożyczonych z jadalni. Słowem — z brzydkiego kaczątka przemieniła się we wspaniałego łabędzia. Choć czas nie sprzyjał słodkim umizgom, młoda para posyłała sobie nawzajem spojrzenia świadczące o czymś więcej niż tylko przelotnym zainteresowaniu.

Zajęli miejsca. Na szachownicy dwa wysunięte z szeregów piony niezmiennie mierzyły się złym wzrokiem; pozostałe pionki i figury cierpliwie czekały na rozkaz wyru-

szenia do boju.

— Twój ruch, pani. Mam nadzieję, że nie będziesz z nim zwlekać. Miałaś dość czasu, by go obmyślić — odezwał się Czarny Błazen.

Księżniczka rzuciła okiem na niebo za oknem. Na ciemnym, bezchmurnym tle lśniła pyzata tarcza księżyca.

— Nasz czas się zbliża — wyszeptał Zorsch.

— Jeszcze tylko kilka minut — dodała Berzel.

Księżniczka wstała.

— Mój nauczyciel pragnie ci osobiście złożyć wyrazy uszanowania przed rozpoczęciem gry. To taki zapomniany, starodawny obyczaj, praktykowany przez wielkich mistrzów gry w szachy.

— Dobrze, byle prędko.

— Pójdę z nim — oznajmiła Berzel, podrywając się z krzesła.

Zbliżywszy się do gospodarza, ukłonili się przed nim głęboko — Berzel po jego prawej ręce, a Zorsch po lewej. Czarny Błazen, rwąc się do dalszej gry, odpowiedział jedynie krótkim skinieniem głowy, po czym niecierpliwym machnięciem dłoni nakazał im wrócić na miejsce. Zamiast to uczynić, wycofali się w bok poza zasięg jego wzroku. Tam, na oczach Księżniczki, błyskawicznie i cicho zamienili się w dwa wielkie wilki. W pierwszej chwili zastygli bez ruchu, jak gdyby przyzwyczajając się do swej nowej postaci; potem, poruszając się bezszelestnie, postąpili ku błaznowi.

Ten, ujrawszy znenacka dwa wilki, wrzasnął dziko z przerażenia, wywołując poruszenie wśród figur na szachownicy. Księżniczka, zebrawszy w sobie wszystkie siły, cisnęła na błazna zakłęcie paraliżujące. Zamarł w pół słowa, nieruchomy jak skała, stając się łatwym kąskiem dla dwóch głodnych wilków. Księżniczka zamachała skrzydełkami i wzbiła się wysoko, by usiąść wygodnie na belce ponad głową Czarnego Błazna. Nie mogąc przewidzieć zachowań młodej pary w ich nowych wcieleniach, wołała trzymać się w bezpiecznej odległości. Drżała z emocji, czuła bowiem przez skórę, że bieg wydarzeń nabierze teraz rozpędu.

— Mam dla ciebie propozycję, klaunie. Powstrzymam te wilki przed rozszarpaniem cię na kawałki, jeśli na zawsze przywrócisz im ludzką postać, a na dodatek uwolnisz wszystkich swoich więźniów — przemówiła srogim tonem. Zorsch tymczasem, wspiawszy się przednimi łapami na ramię nieszczęsnego błazna, z zajęciem obwąchiwał jego szyję. — Przywrócę ci teraz mowę, ale nie próbuj żadnych sztuczek — dodała.

— Nic nie zrobię! To jest, tak, uczynię wszystko, czego sobie życzysz, tylko nie pozwól im się zbliżyć! — zdołał wycharczeć spopieliała ze strachu błazen.

— Postaram się. Nie trać czasu i bierz się do dzieła!

— Muszę użyć całej mojej mocy dla odwrócenia wilczego obłądu!

— Na co więc czekasz?

— Stracę ją na dobre! Stanę się zupełnie bezbronny! — żalił się błazen płacząco.

— To świetnie. Przynajmniej wyparują ci z głowy następne bezceństwa.

— A gdzie znajdę obronę przed więźniami? Jeśli nawet nie rozerwą mnie wilki, oni to zrobią z ochotą!

— Pod moją opieką nic ci nie grozi. Dość na tym. Rób swoje!

Podczas gdy Czarny Błazen zajął się Berzel i Zorschem,

Księżniczka skierowała uwagę na szachownicę, z rozbawieniem i zadowoleniem obserwując rozgrywające się tam sceny. Czary przestały już działać, toteż dwie zwaśnione armie, nie skrępowane dłużej sztywnymi regułami gry, stanęły w gotowości naprzeciwko siebie. Właściwe im kształty pionki i figury odzyskiwały stopniowo i bardzo powoli, lecz awanturnicze skłonności właściwe ludzkiej naturze wróciły im w okamgnieniu. Otrząsnąwszy się z pierwszego oszołomienia wywołanego transformacją, biały pionek huknął swego czarnego adwersarza pięścią w nos z takim impetem, że przewrócił go na podłogę; widząc to, pozostałe pionki ruszyły gromadnie w sukurs kolegom. Skoczki z obu drużyn nie pozostały obojętne, z zapałem rzucając się w bój. W kilka sekund na szachownicy rozgorzała zacięta bitwa.

— Wciągnijcie ich do środka! Otoczcie łańcuchem! — dyrygowała biała królowa, wymachując pięściami.

— Zamknij gębę, stara harpio! — wrzasnęła piskliwym głosem jej przeciwniczka, kobieta w jaskrawej sukni z tandetnymi świecidełkami, a postawny zbój o pokancerowanej bliznami twarzy, ubrany w obszarpany płaszcz i sfatygowane buty, który do niedawna pełnił rolę czarnego króla, ryknął:

— Pilnuj swojego nosa, bo ci go rozkwaszę, ty wścibska jędzo!

— Łapać tego łajdaka! — zawyła biała królowa. Na jej rozkaz jeden ze skoczków rucił się ku winowajcy.

— Cóż za piekielny hałas! — gderał biały król, szukając schronienia w cichym zakątku. — Ależ hołota! Zwykły motłoch!

— Zwiewamy, chłopaki! Gra skończona! — dawny czarny król rzucił hasło do odwrotu, czmychając w stronę drzwi z kochanicą uwieszoną ramienia. Za nimi podążyła żwawo reszta czarnej drużyny, młócąc się między sobą zawzięcie dla zatuszowania niechlubnej ucieczki.

Uspokojona zwycięstwem białych Księżniczka ponownie zainteresowała się Czarnym Błaznem, odwracając się ku niemu akurat w momencie, kiedy jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Wróciwszy do swoich ludzkich postaci, Berzel i Zorsch stali przez chwilę oszołomieni, po czym z okrzykiem radości padli sobie w objęcia, łącząc się w namiętym uścisku. Na ten widok Księżniczka z zadowoleniem zatarła dłonie, a potem sfrunęła na ziemię wprost przed oblicze pokonanego gospodarza domu.

— Obroń mnie, jak obiecałeś! Straciłem całą swoją moc! — wyszeptał błazen drżą-

cym głosem.

— Do lochu! Pozostaniesz tam, aż zdecydujemy, co z tobą uczynić.

— Litości! — zaszlochał, błagalnie wznosząc ku niej dłonie.

— Litości? Dla ciebie? Postępowałeś dotąd jak prawdziwy potwór — odparła srogo.

— Nie z własnej winy. Zaczynałem uczciwie.

— Niemniej skończyłeś jako potwór, a teraz za to zapłacisz.

— Ponad wszystko pragnąłem bawić ludzi. Chciałem ich tylko rozśmieszać, i to wszystko. Nigdy mi się to jednak nie udawało.

— Wcale się nie dziwię. Przede wszystkim powinieneś był się przebrać. Czarny strój nie przystoi trefnisiom.

— Chciałem być oryginalny.

— I udało ci się, tylko że to nie jest zabawne.

— Nie zszedłbym na złą drogę i nie szkodziłbym ludziom, gdyby raczyli śmiać się z moich figli. Zachowując kamienne twarze, sami popchnęli mnie w stronę magii. W rozpaczy zacząłem poszukiwać zaklęcia pobudzającego do wesołości — skwitował gorzko.

— Nie ma takiego zaklęcia.

— Teraz już o tym wiem, ale zanim zdołałem to odkryć, po uszy tkwiłem już w sztuce czarnoksiężkiej. A kiedy rozsmakowałem się w niej na dobre, zamiast próbować bezskutecznie uszczęśliwiać ludzi, postanowiłem ich gnębić, gdyż okazało się to o wiele łatwiejsze.

— O tak, to zadanie wypełniałeś z dużym powodzeniem. A teraz ruszaj stąd. Już możesz chodzić! — rozkazała Księżniczka. Zawezwała skoczka, który zakleszczył więźnia w mocnym uścisku. — Zamknij błazna w lochu i bacz, by nikt go nie tknął. Jutro postanowimy o jego dalszym losie.

— Jak rozkażesz, pani. Chodź no, ty — zwrócił się do lamentującego klauna, ciągnąc go ku drzwiom.

Drugiemu skoczkiowi oraz czterem krzepkim pionkom Księżniczka powierzyła pojęmanie całej służby Czarnego Błazna oraz dopilnowanie, by nikt z czarnych pionków i figur nie pozostał na terenie posiadłości. Kiedy dzielna piątka się oddaliła, cała reszta białej armii zgromadziła się wokół swej wybawicielki. Dając upust radości z odzyskania swobody, śmiali się i plotkowali wesoło. Pionki dziękowały wylewnie, gońcy wychwalali jej zalety, aż w końcu wszyscy rozstąpili się z szacunkiem, by przepuścić samą królową.

— Całkiem niezłe! — pochwaliła królowa, grzmotnąwszy Księżniczkę w plecy. — Sprytnie pomyślane! Zaprowadziłaś tu wreszcie porządek, ale o czymś chyba zapomniałaś.

— O czym, wasza wysokość?

— O bankiecie dla uczczenia zwycięstwa! Niech sobie wszyscy użyją!

15. Trudy nagrodzone

Tego dnia Kedrigern i Traffeo jechali wolno, odzywając się do siebie z rzadka i głównie monosylabami. Jeżeli nawet od czasu do czasu wyrywała im się dłuższa wypowiedź, ograniczała się jedynie do żalów i utyskiwań. Traffeo podejmował kilka kolejnych prób rozruszania kolegi, ale nic nie wskórał, gdyż Kedrigern pogrążył się w tak głębokiej melancholii, że nic nie było w stanie go pocieszyć. Gryzł się srodze, gdyż postawił wszystko na „Księgę pięciu błękitnych ślimaków” — i przegrał. Księga zniknęła, a wraz z nią przepadło jego dobre imię. Cały Othion wraz z resztą świata powiadomioną bezzwłocznie przez usłużnego Ithiana będą sobie teraz mogli dworować do woli. Wrogowie spuchną z radości; bez litości wydrwią go alchemicy. Nadadzą mu przydomek Chwalipięta, który przyklei się do jego imienia na długie, długie lata, może nawet wiek cały. Kedrigern Chwalipięta, Kedrigern Przegrany, Kedrigern Pośmiewisko...

Ze złością postanowił, że nigdy już nie zada się z niewdzięcznymi królami. Natychmiast przyszło mu jednak do głowy, że odtąd zarówno królowie, jak i zwykli śmiertelnicy zaprzestaną się zwracać o pomoc do niego, czy tego sobie życzy, czy nie.

Trudno, trzeba się z tym pogodzić, ale jak przyjmie to Księżniczka? Na myśl o ukochanej ogarnęły go wyrzuty sumienia — ona tak lubi podróże, dalekie kraje, ciekawe twarze, nowe wrażenia! Teraz to wszystko się urwie... Koniec z wożaczami! Ta myśl podniosła go na trochę na duchu. Rozpogodził się na chwilę, ale natychmiast ponownie spochmurniał, uprzytamniając sobie, jak wielki zawód sprawi Księżniczce takim obrotem sprawy. Buta i brak rozważli przywiodły go do zguby — niczego dobrego już nie należy oczekiwać!

Dostrzegłszy na skraju ukwieconej łąki wymarzone miejsce na nocleg, Traffeo nakłonił go do zatrzymania się mimo wczesnej pory. Rozłożyli się w cieniu drzew; nieopodal wesołą melodię nucił strumyk. Posilili się kiełbaskami z czosnkiem, zagryzając grubo krojonymi kawałkami cebulowej bułki posmarowanej przepyszną maślano-kasztanową pastą, zapijając solidnymi haustami wytrawnego czerwonego wina i małymi łyżkami źródlanej wody. Przy miłym ogniu Traffeo bawił kolegę opowieściami z czasów swojego pobytu w Otranto. Na nic się to zdało. Kedrigern odpowiadał na pytania nieprzytom-

nie, kiwając głową lub pomrukując niewyraźnie pod nosem. W nocy długo nie mógł zasnąć. Leżał do późna, ciężko wzdychając i popatrując na jasną tarczę księżyca, która przypominała mu o zbliżającej się pełni.

Następnego poranka wstał późno i niemrawo zabrał się do zwijania obozowiska. Ponieważ zmitrężyli na tym postoju zbyt długo, nie mogli zdążyć do Othionu na czas. Nawet pędząc co koń wyskoczy, nie dotarliby tam przed pełnią księżyca. Ale czarnoksiężnik nie dbał o to. Uznał, że nie ma najmniejszego sensu gnać na złamanie karku, by obejrzeć Berzel zamienioną w wilka i stać się obiektem złośliwych docinków. Jeśli już ma się przemykać przez bramy Othionu okryty hańbą, może to równie dobrze zrobić dzień lub dwa po umówionym terminie; dzięki temu oszczędzi sobie wysłuchania kilku obraźliwych uwag.

W końcu ruszyli stępa, wciąż tonąc w ponurych rozmyślaniach. Tak wlekli się noga za nogą przez parę godzin, by wreszcie po południu stanąć na popas. Stamtąd właśnie Traffeo dojrzał w oddali obdartego wieśniaka pędzącego drogą w ich kierunku. Trąciwszy łokciem towarzysza, wskazał mu nadciągającego oberwańca. Kiedy człowiek ów podbiegł bliżej i zniecacka zobaczył obu podróżników, zatrzymał się raptownie, nie wiedząc, czy salwować się ucieczką w las, czy stawić czoło nieprzyjaciołom. Był nieprawdopodobnie brudny, ubranie wisiało na nim w strzępach; do piersi kurczowo przyciskał obszarpany tobołek. Nie umiejąc podjąć żadnej decyzji, stał nieporuszony, popiskując cicho z przestraszenia.

— Nigdy dotąd nie widziałem tak przerażonego człowieka — zdziwił się Traffeo.

Kedrigern westchnął.

— Nic w tym dziwnego. Wieśniacy często tak się zachowują, kiedy mają nieczyste sumienie. Przeskrobał coś, a teraz musi uciekać. Biedak, dam mu monetę. Choć nieudacznik ze mnie, ale hojny. — Podnosząc się, skinął na nieboraka.

Wieśniak z ociąganiem postąpił nieśmiało w ich stronę. Nie spuszczał przy tym obydwu czarnoksiężników z oczu, gotów w każdej chwili czmychnąć. Kedrigern, uśmiechając się blade, podniósł w dwóch palcach błyszczący pieniądz. Chłop z wolna przysuwał się ku niemu bokiem, sapiąc głośno z emocji.

— Proszę, nieszczęśniku, weź — zachęcał Kedrigern, podsuwając mu pod nos monetę na wyciągniętej dłoni.

Wieśniak odskoczył jak oparzony.

— Nie wzionem! — krzyknął. — Skirp dobry! Nie kradnie!

— Oczywiście, że nie. Nikt tak nie twierdzi — przemówił Kedrigern jak najłagodniej.

— Nie wzionem — powtórzył już spokojniej Skirp — spadli z nieba, daje słowo. — Wymierzył jedną rękę w niebo, na dodatek począł prychać i bulgotać, w swoim pojęciu naśladując odgłosy śmigania w powietrzu. Zabulgotawszy na koniec całkiem gło-

śno, zapytał: — Kupita?

— A co masz? — zapytał Traffeo.

— Ptaki! Prosto z nieba.

— Jeden przydałby się na obiad — stwierdził Kedrigern. — Ile ich masz, Skirpie?

— Sto! — wrzasnął oberwaniec, wyciągając trzy przeraźliwie umorusane palce.

— Dostaniesz za nie sto srebrnych pensów — oznajmił Kedrigern, odliczając trzy pieniądze.

Skirp przystał na to ochoczo, wyrażając zgodę dzikim okrzykiem radości. Wyciągnął skwapliwie dłoń po nagrodę, zapominając o hołubionym dotąd tobołku, który gruchnął na ziemię z łoskotem w niczym nie przypominającym ptaka. Kedrigern wręczył wieśniakowi monety, a sam przyklęknął, by sprawdzić zawartość tajemniczego zawiniątka. Odwinąwszy spowijające je gałgany, wydobył ze środka ciężki prostokątny przedmiot pokryty grubą warstwą błota. Zaintrygowany Skirp przysunął się doń chyłkiem, ciężko dysząc, a cuchnął nie do wytrzymania.

Oblizując wargi z przejęcia, Kedrigern zabrał się do ostrożnego zeskrobywania błota. Serce załomotało mu gwałtownie, gdy spod brudu wyłonił się niespodziewanie skrawek skóry — ptak okazał się księgą! Wiedziony nagłym przecuciem, ze zdwojoną energią przystąpił ponownie do usuwania błota, aż nagle wyczuł pod palcami coś twardego. Przyjrzał się uważnie — to coś połyskiwało niebiesko... Cofnął rękę, wstrzymując oddech.

— Nie. To niemożliwe... — wyszeptał bezgłośnie.

— No, dalej! — niecierpliwiał się Traffeo.

Zaniechawszy resztek ostrożności, Kedrigern ścierał błoto obiema rękami tak zamazyście, że rychło oczom ich ukazała się jasnozielona oprawa z intarsją przedstawiającą pięć błękitnych ślimaków. Czarnoksiężnik wciągnął głęboko powietrze i rzekł z rozrzewnieniem:

— Oto ona!

Poderwał się na nogi, wydając dziki okrzyk triumfu, a Traffeo zawtórował mu przeciągle. Następnie, wzięwszy się za ręce, niezgrabnie odtańczyli nad księgą szalony taniec zwycięstwa. Widząc to, Skirp nie wahał się dłużej: wrzasnąwszy ze strachu, czmychnął tam, skąd przybył.

Czarnoksiężnicy, zaaferowani nieoczekiwanym pojawieniem się księgi, nawet tego nie zauważyli. Uszczęśliwiony Kedrigern padł na kolana przed okazałym tomiszczem, wciąż nie wierząc własnym oczom.

— To cud, najprawdziwszy cud, Traffeo — szeptał zadziwiony.

— Siła wybuchu wystrzeliła ją zapewne poza obręb murów klasztornych. Księga poszybowała kawałek w powietrzu i spadła na ziemię wprost w ręce wieśniaka... Niesamowite!

— Niewiarygodne!

— Cudowne!

Zamilkli na chwilę, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia. W końcu Kedrigern zaproponował:

— Zajrzyjmy do środka!

— A gdzie są pozostałe? Skirp twierdził, że znalazł trzy księgi.

— Skirp tak się zna na matematyce, jak na zoologii. To jedyny ptak, który mu się trafił — rozstrzygnął Kedrigern, otwierając księgę na pierwszej stronie. Przez chwilę wpatrywał się uważnie w tekst, po czym przewrócił kartę, następną, jeszcze jedną, aż w końcu przerzuciwszy ze wzrastającym zniecierpliwieniem resztę zapisanych czarnym maczkiem stron, zatrzasnął ze złością okładkę.

— Co się stało? — zapytał Traffeo.

— Treść zapisana jest w języku, którego nie znam! Nigdy wcześniej się z nim nie zetknąłem! — z rozpaczą zawołał Kedrigern.

Traffeo przykucnął obok niego. Przekartkowawszy powoli i z uwagą kilka stron, zatrzymał się na jednej z nich. Wskazał wykaligrafowane tam wersy.

— To po łacinie.

— Co to jest?

— Rozprawa o sposobach wykrywania trucizn.

Następnie, kontynuując poszukiwania, odnalazł jeszcze wykład o morskich żółwiach spisany w grece, po hebrajsku opis metod leczenia kataru oraz kilka łacińskich przepisów na odtrutki. Odkrył też wiele stron zapisanych pismem, które zidentyfikował jako arabskie; nie znając go jednak, nie umiał odczytać treści. Pozostała część księgi zawierała opisy w nie znanym czarnoksiężnikom języku czy językach.

— No tak. Kiedy wreszcie niespodziewanym zrzędzeniem losu spada nam dosłownie z nieba właśnie ta księga, której poszukujemy z takim mozołem od dawna, natychmiast okazuje się, że w połowie jest dla nas niezrozumiała! Mogłem przewidzieć, że to się tak właśnie skończy — z goryczą stwierdził Kedrigern.

Traffeo próbował wymruczeć coś pocieszającego.

— Lepiej wyszlibyśmy na tym, gdyby ten pakunek naprawdę zawierał ptaka — pomstował Kedrigern. — Przynajmniej podjedlibyśmy sobie smacznie. Zamiast tego mamy księgę w jakimś podejrzanym bełkocie.

— Chwileczkę... Już gdzieś widziałem te hieroglify — zastanawiał się Traffeo.

— Tak? Gdzie?

— Nie pamiętam, lecz na pewno zetknąłem się z nimi całkiem niedawno.

— Proszę, zastanów się.

— Nic na siłę, Kedrigernie. Przypomnę sobie, ale to wymaga czasu.

Kedrigern zacisnął tylko zęby i nie odezwał się więcej. Choć było mu to nie w smak,

musiał przyznać rację koledze. Nie pozostało im nic innego, jak zająć się czym innym, cierpliwie czekając na przebłysk pamięci Traffea.

Wrócili więc na szlak, ze zgryzoty nie posiliwszy się nawet. Jechali w milczeniu, lecz kiedy zapadał zmrok, Traffeo doznał nagle tak oczekiwanego olśnienia.

— W jednej z moich ksiąg! Wertowaliśmy ją razem! Tak, widziałem słownik i podręcznik gramatyki tego języka w mojej własnej bibliotece!

Kedrigern poderwał się gwałtownie.

— Śpieszmy więc! Nie ma chwili do stracenia!

Traffeo nie drgnął nawet.

— I tak już zmarnowaliśmy zbyt wiele czasu. W żadnym razie nie zdążymy dotrzeć do Othionu przed pełnią księżyca.

— A może by tak uciec się do czarów? Moglibyśmy się znaleźć w Othionie natychmiast!

— Nie. Po takim zaklęciu na zbyt długo stracimy naszą moc. — Traffeo zamyślił się.

— Poza tym i tak rozszyfrowanie tego języka zabierze nam sporo czasu. Musisz pogodzić się z tym, że nie zdołasz pomóc Berzel przed jej najbliższym przeistoczeniem, i już!

— Ale ja złożyłem obietnicę! Zobowiązałem się, że znajdę dla niej lekarstwo, zanim nadejdzie następna pełnia!

— I znalazłeś! Co prawda, na razie nie umiesz go użyć, ale je masz. Najprawdopodobniej.

— „Najprawdopodobniej”? Ithian nie zna takich słów!

— Wiem. Niemniej twoja ocena sytuacji jest zbyt surowa. Spójrz na to z innej strony. Nie poniosłeś porażki. Zdobyłeś przecież „Księgę pięciu błękitnych ślimaków”, a ja mam odpowiedni słownik i podręcznik gramatyki. Znalezienie i rozszyfrowanie zaklęcia jest tylko kwestią czasu, zapewne zajmie nam zaledwie kilka tygodni.

Traffeo miał oczywiście rację, ale nie zmniejszyło to przygnębienia Kedrigerna. Owszem, uleczy Berzel, tak jak obiecał, lecz uczyni to ze znacznym opóźnieniem. Berzel okaże mu wdzięczność, Ithian sypnie złotem, wszyscy będą podziwiać jego talent. I tylko on sam pozostanie wiecznie niezadowolony, nie mogąc zapomnieć o własnych przechwałkach, którym nie sprostał...

— Tak czy siak, chciałbym jak najprędzej znaleźć się w Othionie — zakończył dyskusję na ten nieprzyjemny temat. — Nie znasz jakiegoś skrótu drogi?

— Owszem, prawdę mówiąc, coś mi świta... Ale, ale, przy okazji... czy dobrze grasz w szachy, Kedrigernie?

— Nie bardzo, Księżniczka zwykle ze mną wygrywa. A o co ci chodzi?

— Hm, moglibyśmy skrócić sobie drogę, jadąc na przełaj przez tereny należące do Czarnego Błazna. Byłoby to jednak ryzykowne przedsięwzięcie, zważywszy na fakt, że

jest on potężnym czarnoksiężnikiem. Czarami skłania ludzi, by grali z nim w szachy, a kiedy przegrywają, zamienia ich w pionki i figury szachowe.

— A jeśli zdarzy im się wygrać?

— Jak dotąd nikomu jeszcze się to nie udało. Czarny Błazen gra po mistrzowsku, co więcej, plotka głosi, że posiłkuje się czarami.

— Skoro w ten sposób możemy zaoszczędzić czas, jedźmy tamtędy, nie zważając na nic! Nas nie wciągnie do swojej gry. Zabawy nam teraz nie w głowie.

— Może próbować swoich sztuczek — ostrzegął Traffeo.

— Niech próbuje, proszę bardzo — w głosie Kedrigerna zadźwięczała stal.

Zatrzymali się na noc w dolinie otoczonej górami. Połyskująca na niebie okrągła tarcza księżycy rozstrajała Kedrigerna. Kręcił się w kółko jak rój pszczół, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Pomimo jego obietnicy Berzel dzisiejszej nocy znowu przemieni się w wilka i będzie wyc do księżycy, podczas kiedy on siedzi sobie tutaj, z dala od niej i co gorsza — bezradny jak dziecko. Biedny Zorsch także ulegnie dziś tej koszarnej przemianie. Co z tego, że Traffeo od kolacji ze sto razy powtarzał, że na pewno oboje zostaną uzdrowieni przed nastaniem następnej pełni. Wszystko to pięknie, ale jak na razie wciąż pozostają pod wpływem czaru, co oznacza, że ich zawiódł. Rozdrażniony i smutny, gryzł się bardzo tą myślą.

Z Traffea nie miał większego pożytku. Choć ten próbował ulżyć udrękom kolegi, przemawiał doń kojąco, cierpliwie wysłuchując jego wybuchów złości, potakując bez słowa, wzdychając, kiwając głową lub uśmiechając się we właściwych momentach, robił to bezdusznie, gdyż serce wyrывało mu się do „Księgi pięciu błękitnych ślimaków”, którą podczytywał we wszystkich wolnych chwilach, robiąc przy tym sążniste notatki. Nawet kiedy znużony Kedrigern w końcu legł na posłaniu, przygotowując się do bezsennej nocy, Traffeo wciąż tkwił przy ognisku, wertując obszerne dzieło.

Następnego poranka wstali bardzo wcześnie. Według oceny Traffea, znajdowali się już na terytorium Czarnego Błazna. Nie życząc sobie żadnej dalszej zwłoki w podróży, pragnęli jak najszybciej je opuścić.

— Jak słyszałem, ten błazen to wyjątkowo ponury osobnik — napomknął Traffeo, kiedy wyruszyli w drogę. — Ubiera się na czarno, obwiesza ołowianymi dzwoneczkami i czyni inne podobne bzdury.

— Niech się odziewa, w co sobie życzy, byleby nie wchodził nam w drogę.

— Mieszka w ponurym domu, a cała okolica też robi wrażenie przygnębiającej.

— Cóż, jeśli to lubi, nie mam nic przeciwko temu — beztrósco podsumował Kedrigern. — O gustach się nie dyskutuje.

— Co więcej, także wszyscy mieszkańcy jego posiadłości mają opinię ponuraków. Nikt się tam nigdy nie śmieje, ba! — nawet nie uśmiecha. Tańce, śpiewy, a nawet zwykłe pogwizdywanie nie są tam znane. Nikt tam od dawna nie uświadczył żadnych naj-

mniejszych bodaj przejawów wesołości. To wręcz zakrawa na...

Urwał, gdyż raptem zza zakrętu dobiegł ich wybuch głośnego śmiechu.

Czarnoksiężnicy spojrzeli na siebie zaskoczeni.

— Niemożliwe. Tu nikt nie odważyłby się śmiać — wydukał Traffeo.

Jego słowa zagłuszyła kolejna salwa śmiechu, po której kilka podniesionych męskich głosów poczęło przekomarzać się zażarcie. Kłótnię jak nożem uciął przeraźliwy gwizd, skwitowany jeszcze jednym wybuchem wesołego rechotu.

— Chyba zbłądziliśmy — zawyrokował Kedrigern.

— Skądże znowu, to włości Czarnego Błazna, nie może być inaczej.

— A jednak te odgłosy są pełne radości!

— To tylko sztuczka — odparł Traffeo posępnie.

Przyjemny tenor zanucił piosenkę o wesołej figlarce Gryzeldzie, a dwa basy zawtórowały mu ochoczo. Słyszac ten wesoły chórek, wyśpiewujący dobrze znane słowa, Kedrigern zachichotał z cicha, a i zdeorientowany Traffeo nie mógł powstrzymać uśmiechu. Tymczasem zza zakrętu wyłonili się trzej mężczyźni maszerujący dziarsko ramię w ramię, wyśpiewując z przejęciem. Na widok podróźnych przestali śpiewać, lecz ich oblicza pozostały pogodne. Jeden uchylił nakrycia głowy na powitanie.

— Dzień dobry waszym miłościom! Piękny dziś poranek — zagadnął.

— Tak, wspaniały — przyznał Traffeo.

— Nie widziałem ładniejszego — dodał drugi z mężczyzn, a trzeci przytaknął z entuzjazmem.

— Chyba zboczyliśmy z drogi. Czy posiadłość Czarnego Błazna leży tu gdzieś w pobliżu? — zapytał Traffeo.

— Ta droga prowadzi wprost do jej bram, ale nie ma się czego obawiać. Czarny Błazen przestał być groźny — wyjaśnił rezolutnie pierwszy z wesołej trójki.

— Jak to?

— Stracił moc na zawsze. Już nie będzie zamieniał porządnych ludzi w pionki szachowe, o nie.

— Ale przecież był czarodziejem, i to wyjątkowo potężnym czarodziejem...

— Trafiała kosa na kamień! Śliczna dama z małymi skrzydełkami poradziła sobie z łotrem.

— Księżniczka! — wykrzyknął osłupiały, ale i uradowany Kedrigern.

— Zdaje się, że rzeczywiście tak się do niej zwracano, wasza miłość — przyznał pierwszy mężczyzna, a dwaj pozostali poparli jego słowa.

— Jak tam się dostała?

— Tak jak wszyscy. Niczego nie podejrzewając, wpadła w podstępne sidła czarów.

— Na szczęście szybko się uwolniła — dodał trzeci z nieznanomych, uśmiechając się szeroko.

— To niewiarygodne! Księżniczka tutaj?! — Kedrigern nie mógł otrząsnąć się z wrażenia.

— Znajdziecie ją, panie, we dworze. To już niedaleko stąd. Trzeba minąć zakręt i pojechać prosto cisową aleją. Szlachetnie urodzeni obradują właśnie nad sposobem ukarania czarnego łotra.

— A wy nie chcieliście zabrać głosu w tej sprawie? Wszyscy trzej zaprzeczyli żywo, kręcąc głowami, a trzeci wyjaśnił:

— Wymierzanie sprawiedliwości bardziej przystoi możliwym, wasza miłość.

— Takie szaraki jak my nie do rozkazywania, ino do roboty — dodał drugi.

— Rozumiem. Gratuluję więc uwolnienia i dziękuję za dobre wieści. — Skinąwszy głową piechurom, Kedrigern odwrócił się do Traffea z pojaśniałą twarzą. — Do dworu!

Drzwi siedziby Czarnego Błazna stały otworem, a z wnętrza domu dobiegał chór ożywionych głosów mieszający się z radosnym śmiechem. Kedrigern zeskoczył z konia i wbiegł do środka. Zaraz za progiem zobaczył ukochaną Księżniczkę, otoczoną wianuszkiem wielbicieli.

— Księżniczko! Jesteś!

— Kedrigern! Cały i zdrowy!

Rzucili się sobie w objęcia, całując i śmiejąc radośnie. Potem ucichli, tuląc się nawzajem, dopóki dyskretne kasznięcie nie wyrwało ich z tego błogostanu. Księżniczka, poprawiwszy diadem na włosach, dokonała prezentacji gościa:

— Wasze wysokości, panowie, oto mój mąż, Kedrigern z Cichego Gromu.

Chuda, koścista jejmość w złotej koronie na głowie, wlepiwszy baczne spojrzenie w twarz przybysza, warknęła:

— Czarnoksiężnik, prawda?

— Tak, wasza wysokość, chociaż moja żona przerasta mnie o głowę w tej sztuce, pokonała przecież samego Czarnego Błazna.

Księżniczka, skromnie spuszcżając oczy, wymruczała:

— Ktoś to w końcu musiał uczynić.

— Chwała jej za to. Wybawiła nas wszystkich — pochwaliła królowa dzielną wybawicielkę.

— Niezwykła z niej osoba — podchwycił goniec. — Nie brak jej sprytu i odwagi, a przy tym wybitny z niej strateg. Nie tylko pokonała błazna na szachownicy, ale później jeszcze na dobre wywiodła go w pole. Zawdzięczamy jej życie.

— Bitna białogłowa! Nie da sobie dmuchać w kaszę! — odezwał się z boku wielki i potężny rycerz. Słowa jego wzbudziły ogólny aplauz.

— A gdzie jest Czarny Błazen? — zainteresował się Kedrigern.

— Siedzi w lochu — gniewnie odparła królowa. — Dostanie, na co zasłużył. Decyzję

podejmiemy przy obiedzie.

Dawny goniec wskazał drzwi.

— Moi państwo, przenieśmy się na obrady na zewnątrz. Małżonkowie zapewne chcą porozmawiać bez świadków.

Kiedy wszyscy wyszli, Księżniczka opowiedziała mężowi o swoich przygodach. Dziwił się niezwykłemu przebiegowi wydarzeń i z pełnym ulgi zadowoleniem wysłuchał o oswobodzeniu od złego uroku Berzel i Zorscha. Kiedy jednak przyszła kolej na jego opowieść, twarz mu spoważniała.

— Cieszę się, że droga Berzel ma już za sobą to ciężkie doświadczenie, łatwiej mi będzie spojrzeć w twarz Ithianowi. Nie zmienia to jednak faktu, że zawiodłem w tej sprawie — zakończył ponuro.

— Jak możesz tak mówić?

— Trzeba rzecz nazwać po imieniu, moja droga. Złożyłem obietnicę, lecz jej nie dotrzymałem. Smutna to prawda. Zobowiązałem się, że ulecę córkę Ithiana przed nastaniem następnej pełni, ale nie udało mi się tego dokonać.

Księżniczka z uśmiechem potrząsnęła głową. Ujawszy dłoń czarnoksiężnika, rzekła łagodnie:

— Nie to obiecałeś Ithianowi.

— Dziękuję, moja droga, lecz nie musisz mnie pocieszać. Zapewniam, że potrafię spojrzeć prawdzie w oczy. Traffeo też próbował różnych sztuczek i wychodziło mu to całkiem zgrabnie, ale ja i tak doskonale pamiętam, co...

— Wcale nie pamiętasz. Nic w tym zresztą nowego. Zakłęcia i ludzkie twarze przypominasz sobie bezbłędnie, i to w mig, ale jeśli chodzi o inne drobiazgi, twoja pamięć jest jak sito. Powiedziałaś Ithianowi, że przed następną pełnią lekarstwo dla Berzel zostanie odnalezione. I tak się stało. A więc dotrzymałeś słowa! — dokończyła triumfalnie Księżniczka.

— Tak to sformułowałem?

— Tak. Pamiętam doskonale.

Kedrigern wydał okrzyk radości i porwawszy żonę w ramiona, z głośnym śmiechem okręcił się w kółko. Po chwili obydwójce wyszli z domu, trzymając się za ręce i uśmiechając beztrosko. Co krok przystawali, ściskając się czule i całując oraz bez ustanku wybuchając na nowo śmiechem.

Wyjaśnwszy Traffeowi powód swej wesołości, zaprosili go do wzięcia udziału w lekkim obiedzie przygotowywanym dla króla, królowej i pozostałych oswobodzonych więźniów przez doskonałego kucharza do niedawna należącego do ich ciemżyciela. Wkrótce całe towarzystwo zgromadzone przy stole delectowało się wyśmienitym posiłkiem i konwersowało zawzięcie na temat sposobu ukarania przestępcy.

Goniec opowiadał się za spaleniem go na stosie. Królowa przyznała, że byłoby to

w najlepszym guście i wielce widowiskowe, szczególnie w nocy, aczkolwiek, niestety, zbyt skrótłoby cierpienia skazańca. Głosowała więc za rozrywaniem kołmi i ćwiartowaniem. Król, ziewając, poparł jej wybór. Rosły rycerz o rumianej twarzy, do niedawna skoczek szachowy, orzekł, że jeśli zależy im na czymś długotrwałym i wymyślnym zarazem, powinni zdecydować się na wywieszenie zbrodniarza w metalowej klatce na murach miasta, gdzie, wystawiony na widok publiczny, konać będzie powoli ku przestrodze innych. Tu zaprotestował drugi rycerz, uznając ten rodzaj śmierci za zbyt łagodny i proponując w zamian łamanie kołem. Choć zewsząd padały rozmaite, coraz to wymyślniejsze i coraz ciężej strawne dla uczujących biesiadników pomysły, przed końcem obiadu nie osiągnięto porozumienia. Wreszcie długi i zacięty spór zakończyła królowa, krzycząc głośno:

— Pozwólmę zdecydować Księżniczce!

Jej słowa wzbudziły powszechny gorący aplauz. Księżniczka, która dotąd nie brała udziału w dyskusji, rumieniąc się uroczo, podziękowała:

— To z waszej strony wielce wspaniałomyślne.

— Przynajmniej w ten sposób możemy okazać ci naszą wdzięczność, dziecko. Chociaż ja zamierzam ci ponadto przesłać niewielki drobiażdżek z królewskiego skarbcza, kiedy tylko znajdę się w domu — wyznała królowa, rzucając reszcie towarzystwa wyzywające spojrzenie.

— Chciałabym prosić o trochę czasu do namysłu.

Zgromadzeni zgodnie przychyłili się do jej prośby. Zakończywszy na tym obrady, przełknęli ostatnie kęsy i wstali od stołu. Król, ziewając, oznajmił chęć udania się na długą, poobiednią drzemkę. Królowa zagoniła resztę towarzystwa do zwiedzania okolicy. Jedynie dawny goniec, odzyskawszy swą prawdziwą postać biskupa, zdołał się wykręcić, zasłaniając się ważnymi sprawami niecierpiącymi zwłoki. Księżniczka zaś zaszła się w cichym zakątku, by w spokoju i samotności rozstrzygnąć o losie Czarnego Błazna.

— Nic tak nie służy żołądkowi i płucom jak dziarski spacer po posiłku — zachęcała do przechadzki królowa.

— Zdrowie i żywotność waszej wysokości są niepodważalnym świadectwem zbalansowanego działania poobiednich spacerów — rzekł z dwornym ukłonem biskup. — Niestety, nieubłagany głos obowiązku wzywa mnie pilnie do opactwa na górze. Kiedy tylko niedobitki moich służących zdołają się uporać z pakowaniem oraz osiodłać konie, ruszę tam bez zwłoki.

Kedrigern uniósł brwi.

— Za pozwoleniem, ekscelencjo, czy mógłbym spytać o cel tej wizyty?

Biskup powstrzymał się od odpowiedzi, dopóki grupka popędzanych przez królową nieszczęśników nie oddaliła się noga za nogą na tyle, że nawet tubalny głos ich nie-

strudzonej przewodniczki rozpląnął się w powietrzu. Wówczas rzekł niepewnie, ważąc każde słowo:

- Doszły nas pewne słuchy o... wątpliwych praktykach w bibliotece klasztornej.
- Wobec tego pośpiech jest już zbyteczny, biblioteka bowiem przestała istnieć.
- Co proszę?! — wyjąkał biskup z niedowierzaniem.

Kedrigern w skrócie opowiedział mu o niedawnym kataklizmie, zręcznie przy tym pomijając szczegóły dotyczące misji zakonu oraz tajemniczego przejścia łączącego wewnętrzną bibliotekę z opactwem. Biskup wysłuchał go z pełną napięcia uwagą.

— Cóż za tragiczne wydarzenie! — westchnął, gdy Kedrigern zakończył swą smutną opowieść. — Chociaż może należałoby je uznać za szczęśliwe rozwiązanie, gdyż ponure wieści o dziwnych zbiorach biblioteki od dłuższego czasu wprawiały nas w nie lada za-kłopotanie.

— Cóż... To już przeszłość, biblioteka zniknęła wraz ze wszystkimi zgromadzonymi w niej zbiorami, a mnisi oddają się teraz wyłącznie pokucie i umartwieniom.

— To jedynie mnie pociesza.

Po tym stwierdzeniu biskup oddalił się spieszenie, by nadzorować przygotowania do wyjazdu, a Kedrigern udał się na poszukiwanie Księżniczki. Znalazł ją na ławie pod oknem w kącie jednej z komnat, pogrążoną w głębokich rozmyślaniach. Usadowił się obok.

— Nie, nie mogę tego zrobić — powiedziała, nie patrząc na niego. Dłonie zaciskała mocno w pięści, a szczeka drgała jej nerwowo.

— O co chodzi, moja droga?

— Nie mogę przyłożyć ręki do zgładzenia Czarnego Błazna. Zapewne rzeczywiście mam zbyt miękkie serce, ale mimo wszystko, wysłuchawszy tych wszystkich potwor-nych propozycji... po prostu nie mogę, i już.

— Cieszę się, że tak mówisz. — Kedrigern objął ją czule.

— Co oni sobie o mnie pomyślą? — westchnęła przygnębiona, składając głowę na ramieniu męża.

— A niech sobie myślą, co chcą. Nie przejmuj się tą bandą. Królowa to zwykły tyran, król — niezguła, a cała reszta tylko dyszy żądzą zemsty.

— To prawda, że błazen wyrządził wiele krzywd, lecz czynił je nie z własnej woli. Działał pod wpływem magii. W rzeczywistości to tylko zagubiony, smutny człowiek. Jestem pewna, że teraz głęboko żałuje swoich niegodziwości — stwierdziła współczu-jąco Księżniczka.

— Nie zapominaj również, moja droga, że ja osobiście wiele zawdzięczam błazno-wi. Dzięki jego czarom dotrzymałem obietnicy danej Ithianowi. Okazałbym czarną nie-wdzięczność, pozwalając żonie skazać na śmierć człowieka, który uratował moje dobre imię.

Księżniczka wyprostowała się.

— To przesądza sprawę. Czarny Błazen nie umrze! Ale nie możemy również puścić go wolno... — zawahała się, z namysłem spoglądając na czarnoksiężnika.

— Czy mógłbym podsunąć ci rozwiązanie?

— Mów, proszę!

— Biskup właśnie udaje się do opactwa, które jest najodpowiedniejszym miejscem dla ludzi pokutujących za swe winy. A kimże jest teraz nasz błazen, jeśli nie skruszonym grzesznikiem? Ergo...

Ująwszy twarz męża w dłonie, ucałowała go z dubeltówki, po czym wstała energicznie, ciągnąc Kedrigerna za sobą.

— Chodź, powiadomimy biskupa o naszym postanowieniu. A potem szybko się spakujemy i wyjedziemy, zanim królowa wróci, by urządzać gry i zabawy towarzyskie z naszym udziałem.

Biskup z zadowoleniem przyjął decyzję Księżniczki, a drżący ze strachu Czarny Błazen, którego przywiedziono przed ich oblicza z lochu, odetchnął z ulgą, okazując wylewną wdzięczność. Biorąc biskupa na świadka, przekazał swój dom i przyległe doń ziemie we władanie Księżniczce, a potem jej potomkom lub wyznaczonym spadkobiercom, aż po wieczne czasy. Wreszcie, mocno przytrzymywany przez kilku roślących służących, opuścił progi dworu, nie przestając wychwalać dobroci swej wybawicielki.

— Błazen zachował się niezwykle uprzejmie. Nie wiem wprawdzie, co uczynię z tym domem, ale zawsze przyjemnie jest posiadać niewielki majątek — cieszyła się Księżniczka po odejściu biskupa i jego świty.

— Może rozejrzemy się tu trochę przed wyjazdem?

— Zwiedziłam już prawie cały dom, ale chciałabym zajrzeć do kuchni.

— Prowadź więc, moja droga.

W pobliżu drzwi kuchennych usłyszeli dobiegający zza nich zawodzący głos:

— Jestem gotów na wszystko, wasza miłość, dosłownie na wszystko. Nie ma dla mnie innej rady. Choć kucharz ze mnie wyśmienity, naprawdę doskonały, nikt nie chce wpuścić tłustego, odrażającego starucha do swojej kuchni. Mówią, że na mój widok tracą apetyt. Teraz, kiedy Czarny Błazen odszedł z tego domu, nikt mnie już nie zatrudni. Czyń więc swoją powinność, panie, jestem gotów!

— To kucharz — szepnęła Księżniczka.

Zaraz potem dobiegł ich cichy męski głos, monotonicznie wypowiadający zaklęcia. Po chwili zagłuszył go głośny, perlisty, dziewczęcy śmiech, któremu natychmiast zawtórowały triumfalne pohukiwania głębokiego basu. Na koniec oba głosy zmieszały się, zgodnie rozbrzmiewając kaskadami wesołego śmiechu i radosnymi pokrzykiwaniami. Nie mogąc dłużej zapanować nad ciekawością, Kedrigern z Księżniczką weszli do środka. Zastali tam piękną młodą dziewczynę, której szczupła kibić ginęła pod wiszącą na

niej workowatą, poplamioną jadłem tuniką oraz bez mała trzy razy za dużym fartuchem. Jej małe stopki dosłownie tonęły w zdeptanych, starych butach. Zjawisko mru-gnęło porozumiewawczo do zdumionych małżonków, zanosząc się melodyjnym śmiechem i wdzięcznie potrząsając grzywą złocistych loków.

— Odnalazłem przeciwzakłęcie! Ono naprawdę istnieje! — Traffeo z daleka wymachiwał „Księgą pięciu błękitnych ślimaków”. — Co więcej, działa!

W tej sytuacji dalsze oględziny kuchni wydawały się nie na miejscu. Pogratulowawszy kucharce wielce udanej przemiany, a Traffeowi zmyślnej sztuczki, wycofali się stamtąd, pozwalając wesołej parze bez przeszkód cieszyć się zwycięstwem. Teraz nie pozostało im już nic innego, jak tylko odnaleźć Berzel i Zorscha i, zebrawszy dobytek, jak najszybciej wymknąć się z domostwa.

Młodzi siedzieli w sadzie pod jabłonią, zapomniawszy o bożym świecie, trzymając się za ręce. Zapatrzeni w siebie, nie widzieli nic, nie zauważyli nawet nadejścia intruzów. Księżniczka, spojrzawszy na nich z rozrzewnieniem, westchnęła tylko:

— Oni chcą się pobrać.

— Doprawdy?

— Tak. Natychmiast po powrocie do Othionu.

To dopiero wiadomość! Kedrigern nie posiadał się z radości. Skłonność tej pary ku sobie zapewne rozwścieczy Ithiana, a ich zamiar zawarcia małżeństwa wprawi go w prawdziwą furję. Niezły początek. Kedrigern uśmiechnął się na tę myśl — w zanadrzu chował jeszcze inne niespodzianki dla króla.

16. Utarczki

— Przemysławszy wszystko, postanowiłam podarować posiadłość Czarnego Błazna naszej młodej parze w prezencie ślubnym — oznajmiła znieścacka Księżniczka Kedrigernowi, kiedy, jadąc obok siebie na czele małej gromadki, przemierzali powrotną drogę do Othionu.

— Niezwykle hojny gest.

— I tak nie mielibyśmy z niej wiele pożytku. A w ten sposób przynajmniej osłodziłoby Ithianowi wieść o małżeńskich planach jego córki.

— Reakcja króla w tej sprawie nic mnie nie obchodzi. Ithian będzie miał znacznie poważniejsze problemy do przemyślenia, zanim się z nim pożegnam — złowieszczo odparł Kedrigern.

— Och, nie powinienes być dla niego zbyt surowy. Nie możemy przecież popsuć uroczystości weselnych — skarciła go Księżniczka.

— Potraktował cię w sposób karygodny i zapłaci za to.

— W przypadku Czarnego Błazna okazałeś się mniej zasadniczy.

— Tam w grę wchodziły okoliczności łagodzące; tymczasem król zachował się odrażająco z własnej, nieprzymuszonej woli. Nie możemy nad tym tak po prostu przejść do porządku.

— Wybacz, ale nie zgadzam się z tobą. Dla dobra Berzel jestem gotowa zapomnieć o jego nieszczęsnym wybryku. Nie dość, że biedne dziecko straciło matkę, to ty jeszcze chcesz zamienić jej ojca w jakieś straszdyło? Czy nie masz sumienia?

— Co więc proponujesz?

— Usatysfakcjonują mnie pokorne i szczerze przeprosiny.

— Pozwalasz mu wymigać się zbyt łatwo — stwierdził Kedrigern, zachowując kamienną twarz.

— I tak będzie miał dość zmartwień. Nie zapominaj, że jego córka pragnie poślubić człowieka z ludu. Żaden król nie przełknie tego gładko.

— Bzdura. Bez przerwy słyszy się opowieści o królach, którzy poślubiają zwykłe śmiertelniczki, dlatego więc sami mieliby sprzeciwić się podobnym małżeństwom

swoich córek?

— O takich przypadkach opowieści milczą. Nigdy nie słyszałam o księżniczce, która poślubiła wieśniaka — chłodno odparła Księżniczka.

— A czy przypominasz sobie historię króla Manatuli i pięknej córki świniopasa? Oto odpowiedni przykład małżeństwa króla z prostą dziewczyną — ciągnął czarnoksiężnik niezrażony.

— Nie znam tej historii.

— Ja przeczytałem ją w kronikach. Otóż w królestwie Manatuli żył pewien stary człowiek, który miał trzy piękne córki. Mieszkał z nimi...

— Czy żona owego czcigodnego staruszka nie zasługuje na wzmiankę? Jak sądzę, miał jakąś połowicę. Sam chyba nie dorobił się tych trzech córek? — przerwała mu gniewnie Księżniczka.

— Oczywiście, że nie. To się rozumie samo przez się.

— Ach, tak. Ciekawe, że zwykle takie niedomówienia pojawiają się w historiach przytaczanych przez mężczyzn. Ich opowieści zawsze zaczynają się tak: „Był sobie staruszek...” albo: „Dwóch podróżnych zatrzymało się w gospodzie...” i tym podobne. Dlaczego w twojej historii nie może wystąpić stara kobieta z trzema przystojnymi synami? Czy to ci psuje wątek?

Po dłuższej chwili zastanowienia Kedrigern odparł:

— Owszem, psuje. Ale jeśli ci to sprawi przyjemność, mogę wspomnieć o matce.

— Bardzo cię proszę.

— Dobrze więc: Dawno temu żył sobie pewien stary człowiek, który miał niewiarygodnie piękną, czułą i oddaną żonę. Żona obdarzyła go trzema czarującymi córkami, a kiedy umarła...

— Wspaniale! Napomykasz o żonie tylko po to, by sprzątnąć ją po chwili bez litości. Uroczy sposób traktowania kobiet, nie ma co — wtrąciła Księżniczka, piorunując męża wzrokiem.

Kedrigern bez słowa uniósł dłonie w geście bezsilności. Następnie, zebrawszy myśli, odezwał się pojednawczo:

— Nie mogłem postąpić inaczej, moja droga, ponieważ brak matki ma istotny wpływ na zachowanie córek.

— Och! — Księżniczka złagodniała troszeczkę. — Mów dalej!

— Król Manatula właśnie poszukiwał żony. Usłyszawszy o pięknych córkach staruszka, postanowił poślubić jedną z nich. Udał się więc do wioski...

— To śmieszne, Keddie, cóż to za bzdury! Królowie nawet dla kaprysu nie poślubiają na zawołanie córki starego wieśniaka ani też żadnej innej kobiety! Najpierw miesiącami trwają rozmowy, konsultacje, targi i konferencje, i Bóg wie co jeszcze, a dopiero potem król może rzucić okiem na wybrankę. A do ślubu i tak jeszcze daleko! — zapro-

testowała Księżniczka.

— Powtarzam tylko to, co wyczytałem w kronice. Proszę cię, moja droga, przyjmij do wiadomości, że ten właśnie król — młody, szalony ekscentryk — zdecydował się postąpić w ten właśnie nietypowy sposób.

— Jeżeli tak kieruje swoim życiem osobistym, boję się nawet myśleć, jak zarządza swoim państwem. Czy ten młodzieniec nie był przypadkiem opętany przez czary? — podejrzliwie sondowała Księżniczka.

— Kroniki nie wspominają nic na ten temat. W każdym razie Manatula, przybywszy do wioski, wyjawiał swe zamiary. Na to stary wieśniak padł mu do nóg, mówiąc: „Niech mi wasza wysokość wybaczy, lecz muszę wyznać gorzką prawdę o moich córkach: wszystkie są piękne i dobre, ale jedna z nich bez przerwy kłamie, druga nie kłamie nigdy, a trzecia kłamie tylko w sprawach dotyczących rodziny”.

— Jak je rozróżnić? — dopytywał się król, uważnie przyglądając się trzem na równi urodziwym pannom.

— Niestety, wasza wysokość, wiek nadwątlił mój rozum, przez co straciłem orientację — wyznał staruszek. — Wasza wysokość musi sam dojść prawdy.

— Już widzę starego wieśniaka przemawiającego w ten sposób do króla — wtrąciła Księżniczka sarkastycznie. — Od razu nauczono by go etykiety.

— Manatula próbował zachęcić wdzięczne obiekty swoich dociekań do szczerej rozmowy — ciągnął Kedrigern. — Pierwsza z nich, Annie, rzekła: „To ja jestem tą, która nigdy nie kłamie, wasza wysokość”. Libbie, druga z dziewcząt, zaprzeczyła jej słowom, mówiąc: „Ona kłamie, wasza wysokość, to ja jestem tą, która mówi tylko prawdę”. Na co trzecia, Bella, słodko się uśmiechając (gwoli ścisłości, wszystkie trzy umiały uśmiechać się wyjątkowo słodko), zaprotestowała: „One obie kłamią, wasza wysokość. To ja jestem tą, której szukasz”.

Księżniczka ziewnęła dyskretnie.

— No i...?

— Manatula popadł w konsternację, ale począł indagować je dalej. Annie powiedziała: „To tamte dwie kłamią, wasza wysokość”, Bella upierała się, że nigdy nie kłamie, ale Libbie zakrzyczała ją, mówiąc: „Tak, tak, kłamiesz i Annie też to robi”. „Nie kłamie” — zaprzeczyła Annie, lecz Bella wpadła jej w słowo, dowodząc, że owszem, kłamie. „Dlaczego nie miałyby kłamać? Wszystkie przecież łżemy” — zdziwiła się Libbie. „Ja nie!” — zapiszczała Annie ze złością. Na to Bella, kręcąc głową, przygwoździła ją: „Kłamiesz bezczelnie!”. „Nie kłamie! Zapytaj tatusia!” — odparowała Annie. Na to zaś Libbie: „Tatus jest największym łgarzem w tej rodzinie. Czy słyszałyście, co naopowiadał temu miłemu królowi?”. Paplały w ten sposób długo, aż wreszcie zniecierpliwiony Manatula rozkazał swojej świcie ściąć im głowy. W drodze powrotnej zatrzymał się u lepianki świniopasa, aby napić się wody. Tam w oko wpadła mu piękna córka świniopasa.

pasa. Zabrał ją ze sobą do pałacu i, rozkazawszy porządnie wyszorować, poślubił jeszcze tego samego wieczoru — zakończył triumfalnie Kedrigern, z błyskiem w oku spoglądając na żonę.

— W życiu nie słyszałam niczego równie pretensjonalnego i niemądrego. Skoro to ma być świetlany przykład postępowania wielkich władców, nie dziwię się, że Ithian zachowuje się jak głupiec. Zapewne czytuje te kroniki — zawyrokowała Księżniczka bezlitośnie.

— Co ci się nie podoba w tej historyjce? — boleśnie zraniony czarnoksiężnik próbował ratować resztki honoru.

— Przede wszystkim żaden król nie pozwoliłby sobie na takie marnowanie talentów poddanych. Gdyby Manatula miał choć krztynę rozumu — w co szczerze wątpię po usłyszeniu tej opowieści — od razu ustaliłby, która z sióstr mówi prawdę, a która kłamie, i wykorzystał to właściwie ku chwale i pożytkowi swojego królestwa. Rzecz jasna, nigdy nie kłamała Bella.

— Doprawdy? Nigdy na to nie wpadłem.

— To całkiem oczywiste. Wobec tego powinien był ją połączyć małżeństwem z królewskim skarbnikiem, co zapewniłoby mu porządek w finansach państwa. Natomiast Annie, która ciągle kłamała, znakomicie nadawała się na żonę ministra spraw zagranicznych. Sam król powinien był ożenić się z Libbie. W gruncie rzeczy, mając taką rodzinkę, potrzebował żony gotowej rzucić gawiedzi garść łgarstw na ten temat.

Kedrigern zaniemówił. Po długim milczeniu zwrócił się do żony głosem pełnym szacunku:

— Twoi rodzice mieli z ciebie pociechę. Zapewne wspierałaś ich mądrymi radami aż do czasu, kiedy zakłęcie wiedźmy Berty pozbawiło cię wrodzonych zdolności.

— Nie pamiętam tego okresu mojego życia, ale miło pomyśleć, że być może przyczyniłam się do rozkwitu naszego królestwa. Choć, mówiąc szczerze, tak naprawdę to nie znam ani jednego królestwa zarządzanego w sposób doskonały — westchnęła cicho.

Wkrótce szlak zwęził się na tyle, że musieli jechać gęsiego, co udaremniło im dalszą rozmowę. Kedrigern oddał się więc obmyśleniu sposobów przykładowego ukarania Ithiana. Księżniczka skłonna była okazać wyrozumiałość; on nie. Jednak mając na względzie jej wolę oraz nie chcąc popsuć uroczystości zaślubin młodej pary, którą szczerze polubił, odstąpił od pierwotnego zamiaru nałożenia surowej kary na króla. Między zemstą a wyrokiem sprawiedliwości istnieje subtelna różnica; toteż rzecz całą poprowadzić trzeba tak, aby nikt nie wątpił, że to sprawiedliwość kieruje dłonią Kedrigerna. Nawet jeśli przy okazji szczęśliwie uda mu się zemścić ociupinę, fakt ten powinien ująć powszechnej uwagi. W końcu najlepszym rozwiązaniem wydało mu się porządne nastroszenie Ithiana. Doszedłszy do tego wniosku, przestał się zajmować tą sprawą, obmyślenie szczegółów odkładając na później.

Następnego poranka, mniej więcej w godzinę od rozpoczęcia podróży, Księżniczka niespodziewanie zarządziła postój. Zamiast zsiąść z konia, użyła swych skrzydełek i przefrunąwszy do męża, obwieściła mu podekscytowana:

— Tutaj właśnie spotkałyśmy się z Berzel. W pobliżu schowałam całą naszą garderobę. Strzegą jej czary. Uważam, że powinniśmy się przebrać, aby jak najokazalej zaprezentować się w Othionie.

— Wyglądasz znakomicie, moja droga, a i Berzel niczego nie brakuje.

— Dziękuję, Keddie, ale gdybyś przyjrzał nam się lepiej, z pewnością zauważyłbyś, że nasze ongiś świetne stroje dziś przypominają raczej łachmany. Tobie też nie zaszkodzi, jeśli korzystając z krótkiej przerwy w podróży, wytrzepiesz płaszcz i oczyścisz buty z błota. Przecież zależy ci na zrobieniu wrażenia na Ithianie.

— Owszem, ale bynajmniej nie szatami chcę go oszołomić — odparł czarnoksiężnik z groźną nutką w głosie.

— Dobrze, dobrze, tylko nie zapominaj o naszej umowie. Żadnych strasznych zaklęć.

— Dopuszczając się tak nagannego zachowania wobec ciebie, a co za tym idzie wobec mnie, zasługuje na najgorsze.

— Żebyś tylko nie zaszkodził Berzel i Zorschowi!

— Nie obawiaj się. Mam zamiar po prostu porządnie nastraszyć tego gburę.

— Nie zagalopuj się, proszę. Nie byłoby wskazane, by postradał zmysły lub wpadł na ceremonię zaślubin osiwiwały z przerażenia.

— Doskonale! — zawołał zniecierpliwiony Kedrigern, unosząc ręce w geście rozpaczy. — Ja go tylko odrobinę zaniepokoję! Napełnię przelotną obawą! Maleńkim dreszczykiem emocji!

— Nie bądź przykry — zbeształa go Księżniczka, odlatując co prędzej.

Nie zdawała sobie sprawy, że akurat w tej kwestii Kedrigern chciał być nieugięty. Wiedział, że nie znajdzie u niej zrozumienia, ale mimo to postanowił działać stanowczo. Jeśli chce nauczyć króla szacunku dla swojej czarnoksiężskiej profesji, nie może puścić płazem tej zniewagi. Wystarczy tylko pozwolić Ithianowi wykręcić się przeprosinami, aby natychmiast chmara najędzniejszych monarchów z małych, zapłutych królestw, zwiędziawszy się o tym, bezkarnie zaczęła znieważać żony czarnoksiężników, kiedy tylko ich mężowie wystawią nogę za próg, udając się gdzieś z trudną i niebezpieczną misją. Nie, pod żadnym pozorem nie wolno do tego dopuścić.

Nie chciał jednak sprawić przykrości Księżniczce ani zaszkodzić młodej parze. I jak tu wybrnąć? Zawsze w takich wypadkach Kedrigern żałował, że nie poszukał sobie innego, mniej wyczerpującego zajęcia. Ach, czemu nie został na przykład stolarzem? Miałby wówczas tylko jedno zmartwienie: wybrać odpowiedni kawałek drewna, precyzyjnie go wymierzyć, równo przyciąć, solidnie połączyć. Tu zmartwienie się kończyło

— można by odpocząć po pracy i przejść do następnej. Zadanie stolarza było jasne i proste. Tymczasem profesja czarnoksiężnika bez przerwy zmuszała do podejmowania się spraw zawiłych i karkołomnych. Czuł się wtedy, jakby kazano mu kuć ciężkie zbroje z nie wysnutych jeszcze nici pajęczyny.

Z rozmyślań wyrwały go Księżniczka i Berzel, które właśnie nadciągnęły ustrojone w przepyszne szaty i obwieszane klejnotami. Natychmiast ruszyli w dalszą drogę. Około południa ujrzeli w oddali zarysy murów Othionu.

— Jak obwieścimy nasze przybycie? — zapytał Traffeo.

— Mam kilka pomysłów — wycedził Kedrigern przez zaciśnięte zęby. Księżniczka posłała mu karcące spojrzenie, lecz się nie odezwała.

— Kochana Księżniczko, uczyn parę magicznych sztuczek, żeby cały Othion zauważył nasz powrót — poprosiła Berzel.

— Ja nie umiem, ale Kedrigern z pewnością mógłby się czymś popisać. Czymś odpowiednim — odparła Księżniczka, kładąc nacisk na ostatnie słowa.

— Może chórki krasnoludków? — podsunął Traffeo.

— Wolę piski duchów — beznamiętnym tonem odrzekł Kedrigern, utkwivszy wzrok w murach miasta.

— Ani się waż! Chcesz wystraszyć cały Othion? — spieszenie zaprotestowała Księżniczka.

— Czemu nie?

— Już wiem! Wróżki zadną w małe srebrne trąbki! — zawołała Berzel. — O tak! To zabrzmi słodko i wdzięcznie! Uczyn to właśnie, mistrzu Kedrigernie, tak cię proszę!

— A nie wolelibyście diabłów walących w kotły z czaszek ludojadów? Nie?

— Czarodziejki są miłsze — orzekła Berzel niepewnie, szukając wzrokiem oparcia w Księżniczce.

Kedrigern przyjrzał się jej z namysłem. Potarłszy podbródek, uśmiechnął się łagodnie.

— A może zatrzymamy się tu na odpoczynek i przy okazji wybierzemy właściwy sposób obwieszczenia naszego przyjazdu? — zaproponował.

— Straż królewska z Othionu zapewne już nas zauważyła. Tata będzie się głowił, co z nas za jedni.

— Nie szkodzi. — Kedrigern zsiadł z konia.

Ledwie zdążyli rozsiaść się wygodnie na trawie i odświeżyć łykiem wody, kiedy z wież Othionu rozbrzmiały uroczyste fanfary. Kedrigern powstał i dobywszy swego medalionu, jął przyglądać się odległemu miastu przez Szczelinę Prawdziwej Wizji. Za jego plecami tymczasem wybuchła wrzawa podniesionych głosów.

— Wspaniale, już nas zauważyli.

— Jak odpowiemy?

— Och, wyślijmy tam wróżki z małymi srebrnymi trąbkami!

— Poczekajmy jeszcze.

— A co zrobimy, jeśli gwardia królewska wyruszy nam na spotkanie?

Gwardziści rzeczywiście wysypali się przez bramę miasta. Kedrigern bez słowa obserwował, jak przemaszerowali kawałek, by następnie utworzyć szpaler wzdłuż obu stron drogi. Wówczas z bramy wyłonił się król Ithian, który minawszy swoich żołnierzy, samotnie skierował się ku miejscu postoju podróżnych. Schowawszy medalion, czarno-księżnik zwrócił się do reszty kompanii:

— Nie musimy niczego robić — rzekł. — Król Ithian właśnie zmierza nam na spotkanie. Jest sam.

— Oto niepodważalna oznaka jego dobrej woli — podsumowała Księżniczka.

Kedrigern parsknął, lecz choć w głębi serca nie uznawał gestu Ithiana za objaw skruchy, nie miał odwagi zaprotestować głośno. Stanąwszy na uboczu, założył ręce na piersiach i w milczeniu czekał na dalszy rozwój wypadków. Król przybył na wspaniałym białym ogierze, okrytym bogato zdobionym rzędem. Zsiadłszy z rumaka, zbliżył się do Księżniczki i zdejmując kapelusz, zgiął przed nią kolano.

— Wybacz nam, pani, nasze nieodpowiednie zachowanie. Zbyt ulegliśmy emocjom. Przemawiał przez nas ból wywołany widokiem cierpienia naszej córki oraz wciąż żywe wspomnienie naszych własnych nieszczęść — rzekł głośno, tak by wszyscy słyszeli.

Trochę zbyt gładka ta przemowa, wygłoszona jednym tchem, bez najmniejszego zająknięcia, pomyślał Kedrigern. Brzmiała nie jak wyznanie z serca płynące, lecz jak wystudiowane przed lustrem cyniczne orędzie. O tak — cyniczne właśnie, obliczone na to, by wygłoszwszy kilka pokornych słów ze skrucą na twarzy, uzyskać przebaczenie i spokojnie przetrwać do następnej okazji. A kiedy ona się nadarzy, bez najmniejszych skrępów dopaść kolejnej bezbronnej ofiary. O nie, Księżniczka z pewnością nie przyłoży ręki do jego niecznych manipulacji.

— Z radością przyjmuję te piękne przeprosiny i z serca ci wybaczam — w tej właśnie chwili odezwała się Księżniczka, wyciągając rękę do Ithiana.

— A ja?! — zawołał zirytowany Kedrigern.

— Ach tak, mistrzu Kedrigernie — przypomniał sobie o nim król, podnosząc się i otrzepując kolano. — Czy nasza córka wyzdrowiała? Dotrzymałeś obietnicy?

Kedrigern spurpurowiał. Przez dłuższą chwilę nie odzywał się, gdyż z wściekłości odebrało mu mowę. Oprzytomniawszy, już miał coś palnąć w ciętej odpowiedzi, gdy wtem Księżniczka, widząc, co się święci, sfrunęła do jego boku, szepcząc błagalnie:

— Proszę, nie psuj zaślubin!

— Już po wszystkim, tatusiu! Już nigdy więcej nie zamienię się w wilka! — zawołała Berzel i zapominając o wszelkich urazach, rzuciła się ojcu na szyję.

— Cieszymy się ogromnie. Czy zostałaś uleczona przed nastaniem pełni?
— O tak, dosłownie w momencie, gdy tarcza księżycy pojawiła się na niebie.
— Cóż, w takim razie, czarnoksiężniku, jesteście ci winni zapłatę.
— I coś jeszcze — dodał Kedrigern z tajoną w głosie groźbą.
— Szczegóły omówimy w pałacu — rzucił zdawkowo Ithian. Odwróciwszy się od czarnoksiężnika, napotkał wzrokiem Zorscha. — A to kto?
— To Zorsch, tatusiu! Nie pamiętasz go? Chcemy się pobrać! — radośnie zaświergotała Berzel.
— To my zdecydujemy, dziecko, kiedy i kogo masz poślubić. Coś ty za jeden, Zorschu, jesteś księciem?
— Nie, niezupełnie, wasza wysokość.
— Zwracaj się do niego „tatusiu”! — zagruchała Berzel.
Ithian uciszył ją groźnym spojrzeniem. Potem ponownie skierował swą uwagę na Zorscha, lustrując go od stóp do głów.
— Jeśli niezupełnie jesteś księciem, to kim w takim razie jesteś zupełnie? Lordem, hrabią, baronem? — dociekał. W miarę wymieniania coraz skromniejszych rangą tytułów jego ton stawał się coraz bardziej pogardliwy. — Jesteś przynajmniej szlachcicem?
— Nie, nie należę do szlachetnie urodzonych. Jestem... wiernym sługą mojej pani Księżniczki i mistrza Kedrigerna — wydukał stropiony Zorsch.
— Sługą! — zawył król. — I ty masz czelność myśleć o poślubieniu naszej córki? Drogo zapłacisz, nędzny parweniuszu, za swą zuchwałość!
— Tatusiu!
— Cicho bądź, dziewczyno! — warknął król. Poczerwieniały z oburzenia, odwrócił się do Kedrigerna i Księżniczki. — A wy, którym z ufnością powierzyliśmy nasze dziecko, podsycaliście ambicje tego lokajczyka! Teraz dopiero przejrzałem całą waszą intrygę, uknutą podstępnie, by przekupiwszy naszego królewskiego czarnoksiężnika, odebrać nam córkę i pogrążyć nas w rozpacz! Ale świat dowie się o tym! Przeklną was we wszystkich królestwach! We wszystkich pałacach! Zadbamy, żeby... już nigdy... — w furii zabrakło mu słów, bełkotał tylko niezrozumiale, wygrażając pięścią.
Księżniczce niebezpiecznie zadrgały skrzydełka nosa.
— Zrób to! — szepnęła do Kedrigerna.
Przygotowany na taką okoliczność czarnoksiężnik wymruczał pod nosem słowa zaklęcia, pomagając sobie zawiłymi ruchami dłoni. Bełkot Ithiana urwał się w pół słowa; czerwonej dotąd z gniewu twarzy króla wróciły normalne barwy, sam zaś monarcha rozejrzał się wokół ze zdziwieniem. Uśmiechając się dobrotliwie, Kedrigern zwrócił się do niego:
— Gdyby wasza wysokość zechciała oddalić się z nami na chwilę, może omówilibyśmy tę kwestię na osobności?

Po czym wraz z Księżniczką udał się powoli w stronę grupy drzew rosnących nieco na uboczu. Ithian zawahał się, przestępując z nogi na nogę i niespokojnie łypiąc wokół. W końcu jednak puścił się truchtem za nimi, otrzepując dłonie zupełnie jak mały berbecę porzucający ulubioną zabawę w piaskownicy. Traffeo, Berzel i Zorsch spoglądali za nim z niedowierzaniem.

Zbliżywszy się do Kedrigerna i jego żony, Ithian popatrzył na nich przerażony nie na żarty.

— Staliśmy się słodkim rozkosznikiem-przyjemnikiem — zagruchał.

— Owszem — potwierdziła Księżniczka.

— I jak ci się to podoba, Ithianie? — zapytał czarnoksiężnik. Oczy króla stały się okrągłe ze zdziwienia, a usta mimowolnie ułożyły się w podkówkę.

— Oooch, jesteśmy najmilszym królusiem-gogusiem na całym świecie! Boli nas brzuszko, kiedy o tym myślimy! — przesłał im całuska, lecz z oczu wciąż wycierało mu przerażenie.

— O tak, wierzę — rzekł Kedrigern obojętnym tonem. — Ciekawe, czy spodobaś się mieszkańcom Othionu. A co na to powie rada królewska? A twoja przyboczna gwardia?

— Na pewno nie spodoba im się ani ciut-ciuteczka, jaśnie panie czarnoksiężniku. Mogą nawet powstać przeciwko nam i strącić nas z tronu.

— Może nawet skrócą cię o małą główkę-makówkę? — wtrąciła Księżniczka z czarującym uśmiechem.

— Oooch, oooch, tak, wstręciuchy gotowe to zrobić! — zapiszczał Ithian, tupiąc nogami i wymachując pięściami.

Kedrigern zimno, jak chirurg podczas sekcji, wyłożył królowi całą prawdę:

— To ja nadałem ci obecną postać. Moje zaklęcie zmusza cię do płaszczenia się przed innymi. Niezbyt przyjemny widok, prawda? Burzysz się w środku, lecz chcesz czy nie, musisz uśmiechać się słodko i przemawiać pieszczotliwie.

— Niesamowite! — wyszeptła z podziwem Księżniczka.

— W dzisiejszych czasach rzadko używa się tego rodzaju zaklęć i to tylko do ostudzenia miłosnych zapędów. Nawet najbardziej upragniony kochanek, zachowując się w ten sposób przez godzinę lub dwie, nieodwracalnie traci swe powaby.

— Wcale mnie to nie dziwi.

— Nie koniec na tym. Obecny twój stan, Ithianie, to zaledwie początek. Z każdym dniem będziesz coraz miłszy i miłszy, aż wreszcie...

— Och, proszę, jaśnie panie czarnoksiężniku i jaśnie pani czarodziejko, oszczędźcie tego naszej małej, biednej królewskiej mości! Będziemy grzeczni, będziemy zgodni, obiecujemy! Będziemy rządzić naszymi poddanymi najmądrzej, jak umiemy, a naszej małej dziewczynce pozwolimy poślubić jej Zorschyka-lokajeżyka i zamieszkać z nim

w pałacu! Uczynimy wszystko, czego tylko sobie zażyczycie! — błagał król, wbijając w nich spojrzenie pełne rozpacz. Jak dziecko kołysał się przy tym rytmicznie na boki i wiercił w błocie dziurę dużym palcem u nogi.

— Hm, a te dzikie wrzaski? Ciężkie oskarżenia rzucone pod naszym adresem?

— A zniewagi? — dorzuciła Księżniczka.

— Przepraszamy — chlipnął Ithian, wysuwając dolną wargę, by połknąć łzę spływającą mu po policzku. — Jeśli jaśnie pan czarnoksiężnik zdejmie z nas to brzydkie zaklęcie, obiecujemy zostać najlepszym królusiem-milusiem, jakiego zdarzyło się wam widzieć.

Kedrigern w milczeniu przyglądał mu się krytycznie. Usta Ithiana poczęły drgać podejrzenie, a po chwili król wybuchnął płaczem, szczebiocząc rozkosznie:

— Tak stłasn timer ładnie plosę, plosę, jaśnie panie calnoksiężniku! Wzbiela w nas taka chętk, by blykać i swawolić, biegać w kółko i fikać koziołki, że jeśli zaraz nas nie odca-lujes, to...

— Och, no dobrze — złamał się Kedrigern, nie mogąc dłużej znieść tego przedstawienia. W przeszłości wielokrotnie rzucał już różne przykre czary, ale efekty tego zaklęcia jemu samemu wydały się wyjątkowo niesmaczne. Uznał, że istnieją pewne granice, których nie należy przekraczać, nawet jeśli się chce słusznie ukarać aroganckich władców, barbarzyńców czy znieawidzonych alchemików. O niebo lepsza już ropucha, niż mizdrząca się czterdziestodwulettnia małpa strojąca cudaczne miny. Doszedłszy do takiego wniosku, czym prędzej wymówił słowa przeciwzaklęcia.

Ithian skrzywił się i zamrugawszy kilkakrotnie, przemówił do Kedrigerna, ostrożnie wymawiając pierwsze słowa:

— Mistrzu Kedrigernie, jesteśmy wdzięczni za uwolnienie.

— Nie ma o czym mówić, wasza wysokość.

— Skrzywdziliśmy was oboje, postaramy się to wkrótce wynagrodzić. Postąpiliśmy też niegodziwie wobec innych, co naprawimy od razu — oznajmił. Jego dotychczasowa pompatyczność przerodziła się w odpowiednią dla monarchy powagę. — Berzel połączy się ze swoim wybrankiem. Ślub odbędzie się za trzy dni, a w hucznych uroczystościach weselnych bawić się będzie cały Othion. Błagam, byście zechcieli również wziąć w nich udział jako nasi honorowi goście.

— Z radością przyjmujemy zaproszenie — wyrwała się Księżniczka, zanim Kedrigern zdążył podziękować, wymawiając się oczekującą go w domu pilną sprawą. — A w prezencie ślubnym — kontynuowała jego żona — pragniemy podarować młodej parze dwór i ziemie dotąd należące do Czarnego Błazna.

— Do tego potwora? Czy ty, pani, i nasza droga Berzel zetknęłyście się z nim? — trwożnie zapytał Ithian.

— Dzięki mojej żonie przestał być groźny — zapewnił go Kedrigern nie bez dumy.

— Berzel także przyczyniła się do tego, no i Zorsch oczywiście też — dokończyła Księżniczka skromnie.

— Może zbyt surowo osądziliśmy tego Zorscha. Całkiem urodziwy z niego młodzieniec, a odpowiedni strój i jeden lub dwa tytuły dopełnią reszty.

— Berzel akceptuje go takim, jaki jest teraz — zauważyła Księżniczka.

— Tak, lecz my zawsze musimy przede wszystkim mieć na względzie przyszłość Othionu — tłumaczył się król. Kładąc dłoń na ramieniu Kedrigerna ciągnął: — My zaś, dzięki tobie, otrzymaliśmy dzisiaj wielce pouczającą lekcję. Kiedy zakończą się uroczystości weselne, przekazemy władzę nad Othionem naszej córce i jej małżonkowi, a sami wycofamy się do jakiegoś cichego zakątka, by tam oddać się nabożnym rozmyśleniom.

— Znam właściwe miejsce — wtrącił czarnoksiężnik.

— Omówimy to wieczorem w Othionie podczas uczy, którą mam zamiar wydać dla uczczenia wszystkich szczęśliwych wydarzeń dzisiejszego dnia. Jedźmy więc!

Ithian ruszył na czele całej kompanii, mając Berzel po jednej i Zorscha po drugiej ręce. W drodze rozmawiał z nimi życzliwie, nie zaniedbując przy tym swego królewskiego czarnoksiężnika, do którego niekiedy kierował ciepłe słowo. Zachowywał się jak zupełnie inny człowiek, co Księżniczka odnotowała z satysfakcją, obserwując go czujnie zza ramienia Berzel. Kedrigern jechał z tyłu, przybrawszy melancholijny wyraz twarzy.

— Co ci dolega? Powinieneś tryskać radością — zaniepokoiła się Księżniczka.

— Nic mi nie jest — próbował wykręcić się od odpowiedzi.

— Sądziłam, że obrót spraw cię zadowoli. Berzel i Zorsch wrócili do zdrowia, Ithian przedzierzgnął się w zacnego i sympatycznego króla, a nam trafiła się gratka wzięcia udziału w ceremonii zaślubin królewskiej córki w zaszczytnym charakterze honorowych gości!

— Tak, wiem — odparł głucho.

— Więc uśmiechnij się!

— Nie chcę być niczym gościem. Chcę do domu!

— Znajdziesz się tam, nim zdążysz kichnąć. A tymczasem zabaw się, skoro trafia się sposobność po temu!

— W domu dobrze się bawię! Brakuje mi moich ksiąg, kulinarnych eksperymentów Ciapka, ogrodu i słodkich drzemek na dziedzińcu w słoneczne popołudnia.

— Ja też lubię nasz dom, ale od czasu do czasu wskazane jest wyrwać się stamtąd, by ujrzeć inne twarze.

— Już widziałem ich dość na ten raz. Marzę o powrocie do Cichego Gromu. Poza tym lada moment spodziewam się przybycia posłańca Vosconu. Chciałbym go przyjąć osobiście, by w ten sposób okazać szacunek dla Vosconu, który jest ważnym klientem.

— Jeszcze wiele dni spędzimy razem w domu — pocieszała go żona, poklepując uspokajająco po dłoni.

— Królewskie ceremonie weselne zazwyczaj przeciągają się w nieskończoność, trwają całe tygodnie, a nawet miesiące.

— Nie będzie tak źle. Ithian pragnie oddalić się jak najspieszniej, by poświęcić się medytacjom, a Berzel z Zorschem aż piszczą do niezwłocznego przejścia władzy nad Othionem. Cierpliwości, wkrótce ujrzysz nasz dom. W każdym razie dąsy i tak nic nie pomogą

— Chyba masz rację — poddał się czarnoksiężnik ze słabym uśmiechem.

— No, tak już lepiej — pochwaliła Księżniczka i ponownie poklepawszy pojednawczo go po dłoni, skierowała konia w stronę Berzel.

Czarnoksiężnik czuł, że postąpił słusznie, ulegając perswazjom żony. Nie myliła się. Nic nie trwa wiecznie, nawet huczne uroczystości. Ludzie prędzej czy później wracają do swoich spraw, a honorowi goście do domu. Zapewne zresztą w ostatecznym rozrachunku te kilka dni będzie wspominał z lubością. Wystawne jadło, wykwintne pokoje gościnne, zewsząd napływające dowody wdzięczności, szacunku i podziwu, godziwa zapłata z królewskiej szkatuły, uśmiechy i pochwały...

Podniósłszy głowę, uśmiechnął się raźniej. Sprawy nie układały się wcale tak najgorzej. Ich siedziba pozostawała w pieczy zaufanego Ciapka; pora roku sprzyjała podrójom; no a przede wszystkim za parę dni wyruszą w upragnionym kierunku: do domu!

Czemu więc tymczasem nie udać się za radą Księżniczki i nie pofolgować sobie trochę? W pełni zasłużył na nagrodę. Bez krygowania się powinien uszczknąć z przyjemności, których niewątpliwie w Othionie mu nie zabraknie. Tak! Będzie spijał miody i pławił się w luksusach. Spędzi wiele godzin na uczonych rozprawach z Traffeem. Może uda im się wspólnie odszyfrować całą zawartość „Księgi pięciu błękitnych ślimaków”?

Na pewno znajdą tam moc pożytecznych kontrzaklęć, recept na odczynianie uroków, przepisów przeciw oczarowaniu. Kto wie, może nawet natkną się na parę nowych sztuczek z różdżką, które przydadzą się Księżniczce? Tak, przez te kilka dni się odpręży.

A potem? Potem co koń wyskoczy już tylko prosto do domu. I koniec z podróżami na długi, długi czas!

SPIS TREŚCI

1. Nocleg w opactwie	4
2. Wilk u drzwi	13
3. Wezwanie do Othionu	24
4. Z Ithianem w Othionie	34
5. Księżniczka w wilczej skórze	44
6. Nie zapomina się starych znajomych	54
7. Królewski kaprys	65
8. Odkurzanie pamięci	77
9. Niespodziewana uczta	86
10. Odwołane postanowienie	98
11. Rozgrywka	111
12. We młynie	121
13. W poszukiwaniu księgi	130
14. Finał gry	146
15. Trudy nagrodzone	161
16. Utarczki	174